

Brühl, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Brühl

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

TOM II

I

W mieszkaniu Sułkowskiego, pod wieczór wiosennego dnia siedzieli naprzeciw siebie dwaj wszechwładni ministrowie w długim milczeniu, jak gdyby obadwa zbadać się pragnęli a nie mogli. Od kwadransa już prawie Sułkowski ze swą pańską dumą, przechadzał się po salonie, stając niekiedy w oknach i patrząc w ogród. Przez otwarte jedno z nich, słychać było śpiew wesoły kosów i szczygłów. Zdaleka dolatywał odgłos wozów i karet, toczących się po bruku.

Twarze dwóch współzawodników napozór nie wiele się różniące charakterem, przedstawiały nadzwyczaj wybitną sprzeczność dla bacznego spostrzegacza. Ktoby był się przypatrzył Brühlowi, gdy ten sądził, iż go nikt nie widzi, dostrzegłby pod jego uśmiechem, prawie dobrodusznym i pełnym uprzejmości, chłodną przewrotność, której głębinę przerazić mogły. W oczach jego błyszczała żywa pojętność, spryt ten światowego człowieka, który nie potrzebuje nic się uczyć, a zgaduje wszystko i rozumie; który jasnowidzeniem sprężyny ruchów społecznych przenika i nie zawaha się nigdy żadnej z nich pochwycić, gdy bezpiecznie może, a dla własnej tego potrzebuje korzyści.

Sułkowski był w dumę wbitym podpankiem, który urosłszy na pana, sądził się tak bezpiecznym na wysokim swym stanowisku, iż mniemał, jakoby mu wszystko już było wolno. Z pewnym lekceważeniem, za rodzaj *malum necessarium*¹, uważał Brühla i z góry nań spoglądał z tą wyższością pewną siebie, która najbliższego nawet nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nie zbywało mu na myślach, lecz leniwo one krążyły w głowie, która bardzo się silić nie widziała potrzeby.

Patrząc na nich, można było i odgadnąć walkę nierówną i lękać się o jej wypadek łatwo przewidziany. Nigdy piękniejsza i miłsza twarz, więcej chytryści i fałszu nie kryła pod swą maską. Brühl wszakże, gdy wiedział że nań patrzano, przybierał tak niemal łatwowierną, naiwną, dziecinną fizyognomią, że się zdawał zupełnie niewinnym stworzeniem.

Dwaj tacy ludzie, postawieni przy sobie i zmuszeni do współzawodnictwa, nie mogli długo wytrwać bez walki. Tu jej wcale jeszcze nie było, owszem najczulsza zawsze panowała przyjaźń. Instykt czasem jakiś sprawiał, że Sułkowski czuł, domyślał się w Brühlu antagonisty, ale się sam śmiał z tego. Brühl doskonale wiedział, że do panowania absolutnego nad królem nie dojdzie, nie obaliwszy Sułkowskiego. Sam on poniekąd dawał oręż przeciwko sobie. Jakkolwiek umiejący dyssymulować i czekać, Sułkowski się czasem z tém wydawał, że mu panowanie duchownych i jezuitów na dworze ciążyło, że przewaga królowej mu zawadzała.

Nie zwierzał się z tego Brühlowi, ale nie ukrywał przed nim tak dalece, aby się nie dał odgadnąć. Gdy Brühl z O. Guarinim był w najściślejszych stosunkach, Sułkowski nigdy go z sobą do poufności nie dopuścił. Dla królowej był z najgłębszym szacunkiem, nie uchybił jej pewnie, ale ani się bardzo nabijał do łask, ani nadskakiwał jej otoczeniu, ani dosyć służył. Czasami wyrывało mu się jakie słówko o tém, że za Augusta II dogodniej było z faworytami, niż teraz z jedną i to tak surową królewicową.

O. Guarini, wiedząc jak był w łaskach u króla, kłaniał mu się, lecz zdaleka.

Sam na sam z Brühlem tak swobodnie, jak dziś, spotykali się rzadko; jeden z nich prawie zawsze przy panu być musiał na służbie, aby mu się nie dać nudzić samemu.

Znać wszystko, o czém mówić mieli wyczerpali, gdyż Sułkowski milczał, a Brühl mu nie przerywał, nie odchodził jednak, jakby coś jeszcze na koniec zostawił.

Po dłuższej dosyć przechadzce, hrabia się zwrócił do siedzącego i rzekł cicho:

— Wszystko to niech pozostanie między nami. Dom habsburgski się kończy, saskiego wielkość rozpocząć powinna. Wiem to doskonale, żeśmy się zrzekli wszelkich praw do spadku, że sankcją pragmatyczną przyjmujemy, ale ze śmiercią cesarza, rzeczy dla nas obrót nowy przybrać muszą. Co najmniej powinniśmy wziąć Czechy, a nawet Szlązk, gdzieindziej wynagradzając Prusy. Mówiłem wam, że skreślił w cichości plan cały. Kazałem go napisać Ludovicemu.

¹*malum necessarium* (łac.) — zło konieczne. [przypis edytorski]

— Radbym mieć go i rozważyć — odezwał się Brühl — plan jest genialny i godny was, a dla przyszłości Saxonii najwyższej wagi. Nie potrzebuję mówić nawet, że do spełnienia jego, najszcześniejszym będę, jeśli się zdołam przyczynić. Masz hrabia we mnie gorącego współzawodnika i sługę.

Ale każcie też Ludovicemu ten plan przepisać dla mnie.

— Plan ten podziału Austrii — odparł Sułkowski, któremu pochlebiało uznanie — nie chcę, aby dwa razy przesuwiał się przed oczyma Ludovicego, ale ja go dla was w wolnej chwili, sam własną ręką przepiszę.

Brühl z najmiłym uśmiechem podziękował.

— Uczynisz mi hrabio największą łaskę — rzekł — tak olbrzymi pomysł, zawczasu już powinien być opracowany i środki wykonania przedsięwzięte. Moznaby zdaleka i ostrożnie wymacać w Berlinie...

— A! — zawołał Sułkowski z uśmiechem — tam, nie ma najmniejszej wątpliwości, z otwartymi przyjmą go rękami: o to ja jestem spokojny, znajdziemy łatwego i chętnego sprzymierzeńca.

— I ja się tego spodziewam — dodał minister — idzie tylko o to, aby sobie zbyt drogo płacić nie kazał.

— Ale też nie czas jeszcze przystąpić do układów.

— Ale pora się przygotować do nich i strategią całą rozważyć, jakiej nam użyć wypadnie.

To mówiąc Brühl powstał i wyciągając się od niechcenia, odezwał:

— Mam prawie pewność, że ten niepocziwy medal, to jest pomysł doń, wyszedł z Drezn, a nawet silnie nader podejrzenie mam o twórcy.

Szybko odwrócił się ku niemu Sułkowski.

— Któżby był tym śmiałkiem?

— Któż, jeśli nie dworak, ufający w swe położenie — mówił Brühl — małeńki człowieczek na tak niebezpieczną rzecz nie ważyłby się: pachnęłaby dłoń katem i pręgierzem.

— Tak, a dla dostojniejszego pana, może czems gorszym grozić, bo bezkarnie tego puścić niepodobna.

— A! spodziewam się! — rzekł Brühl — po głowachby nam jeździli. Zuchwałstwo już i tak dochodzi do najwyższego stopnia, a dobroć pana i wspaniałomyślność wasza ośmiela do wybryków najswawolniejszych. Czy też hrabia uważałeś, ile sobie Watzdorf młodszy pozwala?

Sułkowski, który był ku oknu zwrócony, posłyszawszy te wyrazy, popatrzał na Brühla, jak gdyby z pewnym politowaniem.

— Wy, bo nie lubicie Watzdorfa — rzekł. Jak ojciec tak i on bufonuje, ale to tam nie jest niebezpieczne.

— Przepraszam — podchwycił Brühl żywo — bardzo przepraszam. Kto sobie zwykł ze wszystkiego żartować, nie poszanuje nic. Dostanie się mnie, wam, panie hrabio, a wkońcu i panu naszemu.

— Na to się nie odważy.

Zaczawszy mówić hrabia przerwał, zwrócił się do Brühla i biorąc go za guzik od fraka, rzekł poufale:

— Wy bo do niego coś macie? przyznajcie się: zawadza wam?

— Nudzi mnie — zawołał Brühl — przyznaję, czepia się mnie, żarcikami swojemi dojada...

— Wy sobie pono wyobrażacie, jeśli się nie mylę — pocichutku odezwał się, śmiejąc Sułkowski, — że on się kochał w Frani Kolowrathównie.

— Toby był tylko dowód dobrego gustu i tegobym mu za złe mieć nie mógł — rzekł Brühl, pokrywając rozdrażnienie pozorem obojętności — ale dokuczają hrabinie Moszynskiej, dla której mam najwyższy szacunek.

— A! a! — rozśmiał się hrabia.

— Hrabinyby się obroniła sama, szepnąwszy słowo królewiczowi — mówił dalej Brühl — ja jej nie potrzebuję w pomoc przychodzić; daleko gorzej jest, że drwi z nas wszystkich, nie wyjmując nikogo.

— Jakto? i ze mnie? — spytał Sułkowski.

— Zdaje mi się, że i tobym mu dowiodł.

— O! toby było nadto śmiało! — rzekł Sułkowski sucho.

— Wierście lub nie, powiem otwarcie: ja go mam za twórcę medalu... — zawołał Brühl i rękę położył na piersiach.

Rzuciwszy to słowo parę razy, przeszedł się po salonie.

— To prosty domysł, mój Brühl, to prosty domysł.

— A może i coś więcej, niż domysł — począł minister — wiem już na pewno, że trzy, czy cztery medale rozdał.

— Komu?

— Dworskim osobom. Zkądże ich ma tyle, i co za osobliwsza ochota do rozpowszechniania rzeczy, którą ja wykupuję i niszczę?

— Lecz czyż pewno?

— Henniecke da wam spis osób.

— To już wcale co innego — przerwał Sułkowski — to fakt, i chociaż ja go sobie tłumaczę więcej jego niechęcią dla was, niż dla mnie, zawsze i mnie to dotyka.

— Tak jest — potwierdził Brühl. Powiem wam szczerze, kazałem w jego mieszkaniu potajemną zrobić rewizję. Jeśli się tam znajdzie zapas medalów, mam go za ich autora i proszę was, aby mu to bezkarnie nie uszło.

Wam — dodał, rozgorączkowując się niby Brühl — obojętną to być może rzeczą, ale dla małego jak ja człowieczka...

Sułkowski się zmarszczył.

— Watzdorfa nigdybym nie sądził zdolnym do takiej nikczemności.

— Przekonacie się — kończył minister. Jeśli dowody będę miał w ręku, w takim razie nie chcę nic u królewicza wyjednywać bez was, nic sam przez się czynić, o nic bez waszej wiedzy prosić; ale z góry was błagam: tego płazem nie puścimy. Na Koenigstein...

Zamyślił się Sułkowski.

— Szkodaby mi go było — rzekł — lecz jeśli się okaże jawnie winnym...

— Ja królewicza o to prosić i mówić mu o tym nie będę — powtarzam — was proszę, wy czyńcie: jam wasz sługa i pomocnik, ja sam przez się niczym nie jestem i być nie chcę, tylko pomocą Sułkowskiego, jego podręcznym...

Skłonił się, Sułkowski wziął go za rękę i rzekł z dumą sobie właściwą:

— Przyjaciela chcę mieć w was, tylko przyjaciela, mój Brühl, a z méj strony służycie wam będę po przyjacielsku. Wy mi jesteście potrzebni, ja wam się też przydam.

Ścisnęli się serdecznie; Brühl z wielkiego wzruszenia, które było znakomicie odegrane, pocałował go w ramię.

— Słuchajże Brühl, jak przyjaciel ci to mówię: wiele osób wie, że Watzdorf się kochał w Frani; jeśli go dlatego chcesz oddalić, nie na mnie, ale na was krzyżać będą.

Brühl odskoczył aż z podziwu udanego.

— Ale mój hrabio — krzyknął uderzając się w piersi — ja nie jestem nic a nic, a nic zazdrosny, alem o honor pana, o wasz i o mój, troskliwy...

Dziś — dodał — zaczepiają nas i otarli się o tron, jutro ośmieleni na sam tron się rzucą i na najdroższego nam pana. Trzeba swawoli zapobiedz, bo nic świętego nie będzie.

— Masz słuszność — zimno odparł Sułkowski — ale winy trzeba dowieść.

— Oczywiście — dorzucił Brühl, chwytając za kapelusz, i począł się żegnać.

— Ale spotkamy się przecie...

— Tak, na strzeleniu — rzekł Brühl — królewicz potrzebuje rozrywki. Bądź co bądź, należy mu ich dostarczyć... namiętnie strzelać lubi. Przecież to tak niewinna zabawa...

Brühl pośpiesznie zabierał się do wyjścia, jakoż nadchodziła godzina, w której dwór miał się udać do bażantarni, gdzie tarcze przygotowano. Nie chciano urządzać tego rodzaju zabawy w zamku, aby zachować jeszcze resztkę pozorów żałoby.

W bażantarni, lasku pobliskim Drezna, w którym już stało kilka domków i pałacyk za Augusta II zbudowany, dwór się bardzo często zabawiał. Przepyszne aleje z lip, ogromne buki i dęby, całe posągów szeregi, stawek wykopany świeżo, czyniły to miejsce jednym z najwspanialszych w okolicach Drezna. Niespełna pół godziny drogi dzieliło je od stolicy. Ogród dziki w pośrodku, w którym i amfiteatr był urządony, opasywał zewsząd gęsty las odwieczny. Wśród niego gdzieniegdzie stojące posągi i ogromne wazy marmurowe wytwornie rzeźbione, cudnie wyglądały na ciemnej drzew zieleni. Woń

świeżo rozwitych drzew, cisza dokoła, klomby kwiatów, łąki szmaragdowe ubierały to zacisze.

W amfiteatrze urządzono do strzelania tarcze. O. Guarini nie kontentując się tém, co tam przygotowują łowczy i myśliwski dwór króla, znając charakter Fryderyka, chciał mu tu uczynić niespodziankę i od rana się nad nią krzątał. Trzymano ją w jak najgłębszej tajemnicy. Nieopodal od amfiteatru z tarcic wystawiono szalas, przy którym stała straż, nie dopuszczająca doń nikogo; zawierał w sobie tę tajemnicę Ojca Guariniego. Trzy razy tego dnia z rozmaitemi pudłami przyjeżdżał jezuita i za każdym razem on, i kilku pomocników siedzieli tam dosyć długo. Twarz Ojca nabrała po południu, gdy raz ostatni tu przybył, wyrazu zadowolenia i źle tłumionej uciechy. Próżno okrywał się powagą swojego stanu, oczy mu się śmiały mimowoli. Znać już wszystko gotowem być musiało, bo Pater założywszy ręce w tył, przechadzał się spokojnie, po wiodącej do amfiteatru uliczce, gdy na placyku około pałacu turkot się dał słyszeć. Ekwipaże dworskie jeden za drugim, poprzędzane lauframi, z hajdukami i lokajami na stopniach z boku i z tyłu, konni kawalerowie, kobiety strojne, wszystko to jedno za drugim przybywać zaczęło. Królewicz wiódł pod rękę żonę, która go zwłaszcza przy zabawach i gdziekolwiek kobiety znajdować się miały, nigdy nie odstępowała. Kolowrathowa z córką, frejliny, szambelanowie, pazie, dwór cisnął się za królewiczem na wyznaczone sobie miejsca. Sułkowski i Brühl w wykwintnych myśliwskich strojach, szli tuż przy Fryderyku.

Zawczasu przygotowano sztucce, paziowie, myśliwcy do nabijania i podawania ich stali w amfiteatrze. Właśnie gdy Fryderyk zajmował z widoczną niecierpliwością miejsce swe i strzelanie już się miało rozpocząć, na zielonych wschodkach wiodących z bocznej uliczki do amfiteatru, ukazał się O. Guarini po cywilnemu (bo często bardzo chodził w tym stroju) z laską w ręku.

Udawał niezmiernie zdziwienie na widok dworu i zbliżył się pokornie do królewicza, choć wesoły żarcik zdawał się ulatywać na jego ustach.

— A! Najjaśniejszy Panie — zawołał — co ja widzę, strzelanie do tarczy: co za wyśmienita zabawa.

— Hm? prawda? — śmiejąc się rzekł Fryderyk — ale wy strzelacie do dusz tylko...

— Zawsze jednak do celu, i to dosyć nieszczęśliwie... rzadko trafiam — westchnął jezuita. — Postarzałem. Tu zaś świetne pewnie będą wyścigi... ale gdzie nagrody?

— Jakie nagrody? — spytał zdziwiony nieco królewicz.

— Niech mi Najjaśniejszy Pan daruje — odparł Guarini — po ludzku rzeczy biorąc, tym co najtrafniej strzelać będą, należy coś w nagrodę i na pamiętkę.

— O tém nie pomyślałem — zawołał królewicz, obracając się wkoło i szukając kogoś oczyma.

— Jeżeli mi wolno będzie — przerwał kłaniając się Guarini — to ja zaofiaruję nagród pięć. Wiele nie mogę, ubogi jestem, ale na uciechę mojego najdroższego pana, składam mój mały dar u stóp jego.

Królewiczowi oczy się rozśmiały.

— No co? co? — zapytał.

— A! to moja tajemnica! — zawołał Padre — tego wydać nie mogę przed czasem.

Wskazał ręką na budkę.

— Nagrody moje tam się mieszczą. Pięć najlepszych strzałów je otrzyma.

Zakrawało to na jakąś farsę zabawną, bo O. Guarini liczył się do najgorliwszych króla zabawiaczy; silił się często na koncepta niekoniecznie świeże i wymuskane, byle dobroduszny uśmiech wyprowadzić na twarz spokojną milczącego pana.

— Tom ciekawy — rzekł Fryderyk.

— Wymawiam sobie tylko — dorzucił O. Guarini — abyś N. P. nie należał do współubiegających się o te nagrody. Nie ma wątpliwości, że tu nikt lepiej nie strzela, ale ja dla mojego pana nagrody godnej jego rąk, nie mam. Więc...

Mruknięcie jego oczów, dopowiedziało resztę.

Niecierpliwie sam Fryderyk wziął się do strzelania pierwszy. W istocie od dzieciństwa wprawiając się w użycie broni, strzelał tak, iż mało mu kto mógł zrównać, a gdy w rękę wziął sztuciec, tak już był zajęty i zapalony, że nic w świecie nie widział, nie słyszał, o niczym nie pamiętał, oprócz o strzelbie i kuli. Tarcza była tak urządzona, iż kula, trafiająca

w sam cel jęj, podnosiła do góry chorągiewkę zielono-białą, z barwami saskimi. Kule uderzające w tarczę poza kołem pierwszym, oznaczała chorągiew żółto-czarna, barwy miasta; naostatek najdalej padające, czarną się oznajmywały.

Gdy Fryderyk zaczął strzelać i raz po raz sadzić kule do celu, oklaski i okrzyki mu towarzyszyły. Strzelił tak razy kilkadziesiąt, nim drudzy z kolei poczęli: Sułkowski, Brühl, posłowie obcych dworów, stary generał Baudissin, hrabia Wackerbarth-Salmour, hrabia Loss, baron Schönberg, hrabiowie Gersdorf i inni. Liczono strzały chybione i celne każdego ze współbiegających się. Królewicz zdawał się z niecierpliwością wielką wyglądać rozdania nagród O. Guariniego, który stał na boku skromnie, z rękami w tył założonemi.

Trafiło się przy obliczaniu strzałów, iż stary Baudissin, ociężała dobra figura, poslušna i skromna, wygrał los pierwszy. Królewicz aż wstał z krzesła, szukając oczyma O. Guariniego, który z powagą wielką zawołał dając znak do budki, po włosku, aby wyniesiono pierwszą nagrodę.

Ciekawość obudzona była do najwyższego stopnia. Drzwi się otworzyły, dwóch w liberyi pańskiej pacholków w kanarkowych frakach z granatowemi wyłogami, wyniosło wielki kosz okryty oponą białą, w którym się coś trzepotało.

— Panie generale — odezwał się Guarini z powagą — nie moja wina, że wy na wasz wiek niestosowną otrzymujecie nagrodę; los tak zrzędził: nikt się swojemu przeznaczeniu obronić nie może.

Na dany znak otworzono kosz, podniesiono oponę i na trawniku ukazała się... ogromna gęś, ale nie w tym stroju naturalnym, w jakim przysłała na świat. W rękach znakomitego artysty, stała się ona najpocieszniejsem w świecie stworzeniem. Na skrzydłach miała rozpiętą z wytwornej materii suknię, jaką naówczas modne damy nosiły; na nogach trzewiczki, na głowie fryzurę i pióra.

Przestraszone stworzenie, którego ukazanie się ogromny śmiech powitał, poczęło się kręcić chcąc uciec; ale skrzydła pętała suknia, nogi trzewiki, do których gęsi nienawykłe; otwarła więc dziób, jakby wołając o ratunek i potoczyła się między widzów.

Królewicz wzięwszy się za boki, śmiał się do łez, śmieli się więc wszyscy, nawet surowa królewiczówna.

— Drugi, drugi numer! — wołał Fryderyk.

— N. Panie — rzekł O. Guarini — ta pierwsza nagroda zowie się *Angela o l'amorosa*²!

— Któż bierze drugą nagrodę?

Druga należała Sułkowskiemu, który jakoś kwaśno ten żarcik Guariniego przyjmował.

Wyniesiono kosz drugi i — w stroju arlekina włoskiego teatru, wyskoczyła z niego małpa, nie mniej od gęsi przestraszona; ale ta, mimo stroju, jak tylko się uczuła wolną, poczęła zmykać i dopadłszy najbliższego drzewa, dosyć zręcznie wdrapała się na nie.

Królewicz nie namyślając się, pochwycił coprędzej sztuciec i strzelił: małpa krzycząc, po gałęziach się czepiając, krwawiąc, upadła na ziemię.

Nagrodą trzecią dla Brühla, który jęj wcale nie pożądał, był przyniesiony w koszyku ogromny zając, przebrany także za *Crispino*. Królewicz i tę nagrodę ubił kulą. Niezmiernie zdawał się ożywiony i szczęśliwy, ręce mu drgały, oczy połyskiwały, śmiał się... i zaledwie przysiadłszy, zrywał się, gdy przyniesiono nagrodę.

Czwartą był szary królik ustrojony za *Scaramuzzia*, który też chciał zmykać przerażony i padł ofiarą myśliwskiej gorączki Fryderyka.

Ostatnia była jedną z najpocieszniejszych, i ta, równie jak gęś, ocalała: z kosza wydobył się ogromny indyk ubrany za *Dottore* we fraku, peruce, kamizelce i wszystkiem, co do jego urzędowego stroju należało. Tego komiczna powaga ocalała.

Śmieli się wszyscy.

Królewicz podziękował Guariniemu i zdobył się na przydłużony frazes, w którym go zapewnił, że nie tylko póki życia tej doskonałej farsy nie zapomni, ale ją każe naśladować.

Strzelano potem jeszcze dla zabawy, dopóki mrok dozwolił; wieczór był spokojny, piękny i miły, powietrze wonne, widok czarowny. Nikomu się nie chciało wracać z bażantarni. Dwór rozpadł się nieco dokoła.

Los chciał, by w tłumie szambelan Watzdorf stał przy pięknej Frani Kolowrath. Wcześniej to zobaczyła matka, a że za wachlarzem łatwo było rozmowę prowadzić niepostrze-

²*Angela o l'amorosa* — wszystkie te nagrody są historyczne. P. Vehse. [przypis autorski]

żonym, usiłowała córkę postawić gdzieindziej, nie mogąc odsunąć Watzdorfa. I to się jej wszakże nie udało. Nie chcąc więcej się dać domyślać patrzącym niż wypadało, musiała ich zostawić z sobą.

Watzdorf nie omieszkiał z tego korzystać. Tego wieczora, zwykle szyderski, był jakoś smutnym i przygnębionym. Nikogo blisko bardzo nie było, mógł więc półgłosem odezwać się do panny Franciszki:

— Prawdziwie jestem wdzięczny losowi za dzień dzisiejszy, a rzadko mi się zdarza być mu wdzięcznym. Winienem mu, że panią moją po raz ostatni pożegnać mogę.

— Jakto po raz ostatni? — podchwyciła Kolowrathówna — nie patrząc na niego.

— Niestety, tak jest. Watzdorfa cień tylko tu stoi; czuję, że nademną wisi nie ubłagana zemsta tego ministra-pazia. Jestem szpiegowanym na każdym kroku, być może, iż i sługi moje kupiono. Nie znalazłem wielu papierów, a inne w nieporządku. Domyślam się rewizyi tajemnej. Jeśli ją dopełniono, jestem zgubiony.

— Uciekaj! — zawołała hrabianka gwałtownie — zaklinam cię na wszystko, na miłość moją, na twoją... uchodź. Tu na ciebie nikt nie patrzy, pierwszy lepszy koń i jesteś w Czechach.

— Tak, i Austriacy mnie jutro tu przywiozą.

— Do Prus, do Hollandyi, do Francyi — mówiła żywo Frania.

— Nie mam ani o czem, ani jak — odparł Watzdorf z zupełną obojętnością — A co gorzej, straciłem ochotę do życia, do wszystkiego. Cóż mi tam? Dla mnie niema szczęścia...

Franiu — dodał cicho — nie wiem, co się stanie zemną; ty jedna może nie zapomnisz o mnie, i ty się pomścisz za Watzdorfa. Będziesz żoną tego człowieka: bądź jego katem...

Musieli zamilknąć dla wrzawy, Watzdorf spojrział w jej oczy, które strzeliły ku niemu ogniem.

— Jeżeli jutro nie pokażę się na dworze, zemsta mnie dosięgła — rzekł — mam przeczucia, których się pozbyć nie umiem.

— Ale zkadże podejrzenia? zkad domysły?

— Przed godziną wróciwszy do domu, znalazłem wszystko przewrócone; sługa znikł, a z nim to, co mnie mogło najciężej obwinić.

Bądź zdrowa! — dodał głosem wzruszonym. — Ty będziesz żyć, ja zagasnę gdzieś między czterema murami, wśród głuchego milczenia. Franiu, zaklinam cię, upuść chustkę, zgub rękawiczkę; połóż ją na sercu: ukoj mój ból twojém wspomnieniem.

Wzruszona Kolowrathówna zręcznie upuściła z rąk chustkę, Watzdorf się schylił i niepostrzeżenie wcisnął ją za suknię, na piersi.

— Dziękuję ci — odezwał się — jeszcze chwila, zgasną dla mnie oczy twoje i innym będą świeciły. Franiu, bądź zdrowa! adio na wieki!...

Temi wyrazami dokończył, widząc zbliżającą się matkę, która prawie gwałtem już, korzystając z zamętu i gwaru, odciągnęła córkę. Watzdorf ustąpił nieco w tył. O kilkanaście kroków tylko od niego, gdy królewicza zabawiał O. Guarini i żona, spotkali się na stronie Brühl z Sułkowskim.

— Słowo, — rzekł pierwszy poruszonym głosem — nie omyliły mnie moje domysły.

— Jakie? co? — spytał hrabia dosyć obojętnie.

— Zrobiono rewizyą u Watzdorfa, przetrzęsiono papiery; pełno paszkwilów — mniej-sza o to: pięćdziesiąt sztuk medalów i list fabrykanta, który mu się tłumaczy, iż rysunek przysłany jak mógł najlepiej wykonał.

Dowód tak zabijający, iż więcej na zgubienie człowieka nie potrzeba...

Słyszając to Sułkowski, pobladł.

Brühl wsunął mu w rękę papier.

— Weźcie to, proszę; ja sam przez się nic czynić nie chcę — uczynicie co się wam podoba; lecz jeśli Watzdorfa nie wsadzicie do Koenigsteinu... Któż wie, czy tam jeden z nas później nie zajmie miejsca dlań przeznaczonego. Zuchwalstwo i bezwstyd wiele mogą... Czyń hrabio co chcesz, ja ręce umyвам, osobistój krzywdybym nie poszukiwał... Królewicz jest dotknięty... To zbrodnia obrażonego majestatu, a za tę karzą śmiercią...

To mówiąc Brühl, szybko się usunął; twarz jego przybrała zwykły uśmiech. O kilka kroków zobaczył hr. Moszyńską i zwolna zwrócił się do niej, witając ją z poszanowaniem

i ceremonialną unizonością, na co piękna Fryderyka dumnym i zimnym skinieniem głowy odpowiedziała.

Frana Kolowrathówna szła jakby ciągniona przez matkę, pół martwa, dumna, milcząca, ale bez łzy w oku. Kilka razy obejrzała się, gdzie stał Watzdorf, który się zdawał też ani słyszeć co się dookoła niego działo.

Wśród tego zamyślenia gorzkiego zjawił się przed oczyma Kolowrathównę hrabia Brühl z niskim ukłonem i wdzięcznym uśmiechem. Dumnemu dziewczęciu oczy zaśmiały, wyprostowała się, i z góry, z pewnym rodzajem wzgardy zmierzyla wzrokiem ministra.

— Nieprawdaż — odezwał się słodko — że zabawa była nadzwyczaj dowcipna i piękna?

— A panowie strzelaliście do podziwienia trafnie — odparła Frana — i nie wątpię, że równiebyście i do ludzi potrafil...

Brühl spojrział bystro.

— Niewiele w tym mam wprawy — rzekł zimno — ale gdyby w obronie Najjaśniejszego Pana przyszło wziąć jakąkolwiek broń w ręce, nie wątpię, że celniebym strzelał i śmiało.

Pani się także bawiłaś, jak uważałem, doskonale, rozmową z szambelanem Watzdorfem — dodał spoglądając na nią.

— W istocie — odezwała się Kolowrathówna — Watzdorf jest niezmiernie dowcipny: strzelał słowami jak panowie kulami.

— Niebezpieczna to broń, kto się z nią dobrze obchodzić nie umie — rzekł Brühl — można nieostroźnie zabić się samemu...

Stara Ochmistrzyni przerwała tę niemiłą rozmowę, wejrzenie Frani ją zamknęło. Chciała zrazu przemówić do Brühla, duma jej nie dozwoliła; nie była też pewną, czy Watzdorf nie przesadził niebezpieczeństwa i nie tłumaczył fałszywie kradzieży popełnionej w domu.

Królewiczówna nieco wcześniej wyjechała z damami, Fryderyk w poufałym gronku pozostał. Oddawna już Sułkowski usiłował się zbliżyć do niego. Część drogi chciał królewicz przebyć pieszo, skorzystał z tego ulubieniec i zajął miejsce przy nim.

Inni szli opodal nieco.

Brühl uparcie towarzyszył Ochmistrzyni.

Gdy pozostali sam na sam z królewiczem, który był w bardzo wesołym usposobieniu, Sułkowski nie chciał czekać dłużej ze sprawą Watzdorfa. Ciężka mu ona, rad się był jej pozbyć co rychlej, a być może, iż lękał się ucieczki szambelana, gdyby postrzegł się zdradzonym.

— Po takiej miłej zabawie — odezwał się Sułkowski — co to za niemiły obowiązek, być zmuszonym zasmucić W. Królewiczowską Mość.

Posłyszawszy to Fryderyk, posępną zrobił minę i spojrział z ukosa na ministra, jak gdyby mu się chciał wypraszać, ale ten po małym przestanku mówił dalej:

— Rzecz jest nie cierpiąca zwłoki, wystawieni jesteście ja i Brühl, a nawet pan nasz najmiłościwszy na pośmiewisko Europy; nie mówiłem o tym wprzód, chcąc oszczędzić przykrego wrażenia, jakie niewdzięczność obudza... W Holandyi wybito medal szyderski... ohydny.

Fryderyk przestraszony, zżymnął się, stanął; twarz mu zbladła jak ojcu, gdy w gniew ów straszny wpadał i od pamięci odchodził.

— Nie chciałem wspominać o tym, dopóki nie odkryliśmy sprawcy — kończył Sułkowski. Ja i Brühl przebaczylibyśmy obrazę naszą, ale obrazy majestatu jako ministrowie nie możemy puścić bezkarnie.

— Ale któż? kto? — zapytał Fryderyk.

— Człowiek okryty łaskami waszemi, którego cała rodzina winna wszystko Najjaśniejszego Pana ojcu i jemu. Niewdzięczność i zuchwalstwo bezprzykładne...

— Kto? kto? — nalegał królewicz.

— Szambelan Watzdorf...

Królewicz powiódł oczyma osłupiałemi dookoła.

— Macie dowód?

— Przy sobie: w ręku trzymam list znaleziony u niego i medale...

— Widzieć nie chcę, nie chcę — odparł królewicz, ręką się zasłaniając — ani ich, ani jego: precz... precz.

— Puścić go bezkarnie? — zapytał Sułkowski — nie może być. Poniesie za granicę potwarze i szerzyć je będzie, kto wie jakie? Może na ś. p. ojca W. Królewskiej Mości...

— Szambelan Watzdorf? Watzdorf młodszy? — powtarzał Fryderyk — lecz cóż? lecz jakże...

To mówiąc, otarł pot z czoła.

— Königstein — rzekł krótko Sułkowski.

Nastąpiło milczenie... ze spuszczoną głową szedł z wolna królewicz: była to pierwsza za jego panowania wina i kara tak surowa.

— Gdzie Brühl? — spytał.

— Brühl zostawił to mnie i poruczył — odpowiedział hrabia.

— Watzdorf! Königstein! — powtarzał wzdychając Fryderyk; potem stanął, wlepił oczy w Sułkowskiego i rzekł:

— Nie chcę o tém słyszeć więcej; dość — nie chcę. Róbcie co chcecie...

Sułkowski odwrócił się ku idącemu za niemi O. Guariniemu, który królewicza najlepiej umiał rozśmieszać i skinął nań. Padre przybiegł copędzój, nie domyślając się więcej nic, oprócz że był tu na coś potrzebny.

— Jestem w rozpacz! — zawołał — gęś moja, *Angela o l'amorosa*, zginęła... uleciała, widząc się pogardzoną przez Baudissina; musiała się puścić w lasy szukając śmierci. Biegałem za nią i miałem to nieszczęście, że trzy panie nasze brał z kolei za gęsi: nigdy mi tego nie darują...

Smutna twarz królewicza, w miarę jak słuchał rozjaśniać się zaczęła. Jak z posępnego nieba chmury, schodziły z pięknego jój czoła marszczki; usta ściśnięte rozchodziły się, na policzkach pierwiosnek uśmiechu zarysował dwa ledwie znaczne fałdy; białe zęby pokazały się z pod warg powoli. Patrzał na jezuitę, jakby w jego pogodnej, naiwnie uśmiechniętej twarzy, trochę przypominającej włoskiego pulcinella, chciał zaczerpnąć potrzebnego mu wesela...

Guarini przeczuwszy, że coś dlań niezrozumiałego musiało dobrego pana zasmucić, wysilił się z całym swoim dowcipem, aby co rychłej zetrzeć ślady nie miłego wrażenia.

Jakoż w miarę jak się sypały włoskie żarty i przycinki, królewicz zdawał się zapominać o doznanej przykrości i dobrodusznie znowu mu się uśmiechał. Lecz trzeba było wysiłków kilku wesołego Ojca, aby całkowicie znieść powracającą chmurę tę i nie dał spoczynku królewiczowi, aż póki nie posłyszał tego znanego sobie głośniego, szczerzego śmiechu, który zwiastował, że Naj. Pan o troskach tego świata zapomniał całkowicie.

Nazajutrz znikł radzca i szambelan królewski Watzdorf. Nikt się nie śmiał dopytywać zrazu, co się z nim stało: była to pierwsza tego panowania ofiara. W kilka dni pocichu zaczęto szeptać sobie, iż go zawieziono do Königsteinu. Królewicz nigdy więcej imienia jego nie wspominał; Sułkowski i Brühl zdawali się nie chcieć wiedzieć o tém.

Trwoga padła na dwór i nieprzyjaciół skrytych obu ministrów. Brühl, przy zdarzonej okoliczności, o ile mógł głośnie, umył ręce od téj sprawy, zarzekając się, iż wcale o niej nie wie i do niczego się nie mieszał.

W Merkuryszu historycznym, rodzaju gazety francuzkiej, wychodzącej naówczas, stały wkrótce potem następujące słowa:

„Ci, którzy znali zblizka swawolny i satyryczny sposób myślenia tego młodego pana, który w sprawach bezpośrednio po śmierci Augusta Mocnego zaszłych, nie jedną miał zrzętność, z kaustycznym swym się popisać dowcipem, nie będą zdziwieni katastrofą, jaką mu oddawna wprzód przepowiadano.”

Watzdorf już się nigdy więcej nie pokazał światu. Po czternastoletniem więzieniu na Königsteinie, zmarł dobity tęsknotą i niewolą.

II

W rok po tych wypadkach, pałac w którym Brühl mieszkał, jaśniał rześystemi światłami. Nigdzie wspaniałej jak w Dreźnie nie umiano występować przy uroczystościach, nigdzie się nie bawiono z większym przepychem, którego tradycje po sobie August Mocny zostawił. Od dworu zbytek ten przechodził do otaczających pana, potem do zetkniętych

z nimi: do mających stosunki z wyższém towarzystwem, w części nawet do zamożnego mieszczaństwa. Bankierowie ówczesni dawali bale dla dworu, mile był widziany każdy, kto się do zabawy przyczyniał, a umiał się czémś niespodziewaném przysłużyć.

Ognie sztuczne, illuminacye, wieńce, kwiaty, muzyki, obrazy występowały, ilekroć najmniejsza nastęczała się zrzęczość³.

Brühl był jednym z najrozrzutniejszych dorobkowiczów swojego czasu, dziwił on tych nawet, którzy się czemukolwiek dziwować przestali. Oświecenie jego pałacyku wytwornością swą przechodziło oddawna widywane w stolicy. Ogromny tłum ludu w pewnym przyzwyczajeniu oddaleniu przypatrywał się z poszanowaniem należnym kamienicy tak możnego pana, błyszczącej różnokolorowemi lampami, jakby wieńcami drogich kamieni i kwiatów. Na samym szczycie nad bramą w owalnej tarczy, po nad którą spadały dwie girlandy różowe z zielnią, białemi gwiazdy wysadzone, świeciły dwie czule z sobą złączone głoski: *F* i *H*. Trochę niżej dwie w transparentach tarcze herbowe, pochylone ku sobie i sparte, mieściły dwa pola niezrozumiałemi dla gminu hieroglifami heraldycznymi zapisane. Dworacy tłumaczyli ciekawym, że to były nowożeńców rodowe znamiona.

Cizba stała już dość długo przed pałacykiem, gdy od strony zamku z pochodniami, z laufrem, z pocztylionami przodem nadjechała karetka. Wiozła ona matkę i państwa młodych, którzy po przyjęciu i balu na zamku do własnego powracali domu. Piękna pani pierwszy raz miała jego próg przestąpić.

Chociaż nad nią nie spodziewano się innych gości, od sieni aż na pierwsze piętro wiodące wschody zajęte były po obu stronach całym szeregiem w pyszną liberyą postrojonych lokajów; na górze stali kamerdynerowie, marszałek dworu i paź ministra.

Królewsko już urządzony był dom jego na przybycie żony: wyświeżony, odnowiony i powiększony. Świecił cały od porcelany, sreber, bronzów, kobierców i tysiąca fraszek a cacek, któremi wiek ów otaczać się lubił. Brühl tłumaczył się z tej okazji tem, że panu swojemu honor nią czynił; żaręczał, że ostatni grosz oddawał na nią, aby przepychem swoim saskiemu domowi przyczynić blasku. Gdy powóz zatrzymał się przeddrzwiami pałacu i wielka ochmistrzyni wysiadła z niego z pomocą zięcia, dano jej pierwszy krok i sama powoli weszła na górę. Brühl chciał podać rękę żonie, która udała, że tego ruchu nie widzi i poszła obok niego sama. Piękna twarz panny Franciszki na ten dzień miała wyraz powagi, dumy i smutku, obudzający w świadkach podziwienie. Śladu weselnego szczęścia na tym obliczu pochmurném nie było. Wszystkie cuda i świecące przystrojenia kosztowne domu obojętném mierzyla okiem, jakby ich widzieć nie chciała; szła jak ofiara zrezygnowana, która wie, że się losowi nie oprze, ale się szczęścia nie spodziewa. Znać miała czas ostygnąć, rozmyślić się, oswoić z położeniem swoim, bo i strasznego bólu nie niosła na twarzy, ale chłód tylko przerażający.

Ból jeśli był, stał się chorobą trawiącą, powolną, która się z życiem splotła.

W salce na górze, której ściany rzęsimi wiązkami jarzącego światła były okryte i błyszczały całe lustrami, kryształowemi lzy i iskrzącemi ramami obrazów, zatrzymała się hrabina Kolowrath, obejrzała się, szukając córki idącej za nią. Frania szła i stanęła przy niej milcząca. Z drugiej strony Brühl w fioletowym ze złotem fraku aksamitnym ślubnym, w białej ze złotem kamizelce i koronkach, z uśmiechem na ustach, z bukietem u guzika, stał z pokorą i słodyczą uśmiechając się do matki.

Milcząco przysunęła się ona do córki, pochyliła głowę, przyłożyła usta do jej czoła i długim pocałunkiem żegnała odchodzące dziecię, które nie wzruszyło się tym czułości dowodem. Matce, choć dwór i życie ostudziły ją dawno, lzy się zakręciły w oczach.

— Bądźcież szczęśliwi — szepnęła — błogosławię was! Bądźcie szczęśliwi — i rękę przyłożyła do oczów wzruszona. Brühl pochwycił drugą, okrywając ją pocałunkami.

— Potrzebujecie być sami — dodała głosem złamanym. — Moim obowiązkiem było odwiedzić tu was i pobłogosławić; niechce was męczyć: ja sama muszę spocząć po tych wrażeniach...

Odwróciła się do Brühla.

— Polecam ci żonę — rzekła — bądź dla niej dobrym, bądź przywiązanym mężem. Frania przywiąże się też do ciebie: bądźcie szczęśliwi! Szczęście na ziemi kochać i niestale...

³zrzęczość (daw.) — dziś: sposobność, możliwość [przypis edytorski]

słodzić sobie należy dnie życia a nie zatruwać. Franiu, ufam, że będziesz i ty dobrą dla niego...

Zakryła oczy, jakby jakaś myśl dopowiedzieć jej przeszkadzała, co miała w duszy, jakby coś wstrzymywało jej wyrazy na ustach; jakby się byli powinni dorozumieć wiele, czego dotknąć nie mogła.

Jeszcze raz pochyliła się do czoła córki, która stała jak posąg marmurowy. Brühl pocałował ją w rękę, ruszyła się do powrotu. Zięć podał jej rękę z wdziękiem i nadskakującą grzecznością i prowadził znowu na dół do oczekującego dworskiego powozu, do którego wsiadła, słowa nie mówiąc, w. ochmistrzyni i rzuciła się w głąb jego, ukrywając od oczów ciekawej gawiedzi.

Na górze pozostała sama jedna na chwilę pani młoda, jeszcze się nie poruszyła z miejsca zadumana, a gdy Brühl powrócił i rękę jej chciał ująć, spojrzała nań niemal zdziwionymi oczyma, jakby zapomniała i gdzie była i że się stała żoną jego.

— Na miłość Bożą! — szepnął minister — tysiące oczów i z ulicy i w domu patrzy na nas: bądźmy choć dla nich szczęśliwi. Na scenie życia wszyscyśmy aktorami (był to ulubiony i często powtarzany aksjomat jego), odegrajmyż dobrze naszą rolę.

To mówiąc, podał jej rękę i obojętną poprowadził przez cały szereg oświeconych pokojów, ku jej apartamentom. Wszystko, co roztargnione oczy jej spotykały, było tak wspaniałe, bogate i piękne, że w każdym, prócz niej wywołałoby okrzyk zachwycenia. Ona szła nie patrząc i nie widząc. Znaleźli się wreszcie w gabinecie toaletowym pani, poprzedzającym wyświeżoną sypialnią, w której dwie alabastrowe na kolumnach lampy, blade, tajemnicze światło roztaczały.

Młoda pani zobaczywszy przed sobą drzwi otwarte, stanęła: oczyma poszukała krzesła i padła na stojące przed gotownią. Sparła rękę na stole okrytym koronkową oponą i zadumała się milcząca.

Tu byli sami, szmer tylko ciżby z ulicy, podziwiającej illuminacją dochodził.

— Pani — rzekł Brühl głosem słodkim i miękkim — jesteś w swym domu, a pierwszy twój sługa stoi przed tobą.

Chciał przyklęknąć przed nią; Frania powstała nagle, westchnęła, jakby z piersi zrzuciła ciężar i zawołała głosem, w którym smutku nie było:

— Komedyi dosyć mamy dzień cały, z sobą jej grać nie potrzebujemy: uwolń mnie pan od niej i siebie. Musimy być szczerzy i otwarcie bądźmy nimi od pierwszego dnia. Zawarliśmy nie małżeństwo, nie związek serca, ale kontrakt: starajmy się go korzystnym dla obu stron uczynić.

Zaczęła przed gotownią, nie patrząc na stojącego za nią Brühla, zdejmować wieniec z głowy i długą zasłonę. W głosie wzruszenia czuć nie było.

— Jeśli pan nie życzysz sobie — dodała — aby naszą rozmowę podsłuchiowano, racz się upewnić, żeśmy sami.

— Tego pewien jestem, bo wydałem rozkazy — zawołał Brühl zimno — a moje rozkazy zwykle są szanowane.

Frania nie mówiła nic: z faszki, stojącej na gotowni wzięła dla orzeźwienia się Larendogry i odwilżyła nią skronie.

— Szczęśliwą jak bywają inne kobiety — mówiła głosem jasnym, stojąc ciągle u gotowni i rozpinając drobne stroju swego dodatki, Frania — szczęśliwą być nie mogę... ten którego kochałam, nie kryję się z tém, leży w więzieniu na słomie wilgotnej i niema promyka słońca, ani niebios widoku... Wacpan kochasz inną, jesteśmy sobie obojętni; chociaż nikt mi nie mówił, na jaką jestem przeznaczona ofiarę, rozumiem to dobrze. Ale chcę życia użyć i użyję go... swobodnie, wszystkich jego przyjemności i rozkoszy. Trucizna musi być osłodzona; to mi się należy... Lubię przepych i mieć go będę około siebie, potrzebuję roztargnienia, aby nie płakać; wrzawy, aby głosu serca nie słyszeć: wszystko to być musi... Pan mi jesteś obcym, ja panu... możemy być dobrymi przyjaciółmi, jeśli zasłużysz na to... Któż wie, mogę mieć fantazją jaką i przez parę dni stać się miłą dla niego, ale niewolnicą niczyją nie będę... nawet...

Odwróciła się ku Brühlowi, który stał niemy i zakłopotany.

— Rozumiesz mnie pan?

Minister milczał.

— Nikt mi o niczym w świecie nie mówił — ciągnęła dalej — kobiecym instynktem odgadłam wszystko; przeznaczenie moje znam i wiem...

— Pani — przerwał Brühl — są rzeczy, które przez usta przechodzić nie powinny, które zdradzić, jest to się skazać...

— Nie potrzebujesz mi mówić tego, ja wiem wszystko; powtarzam panu nawet to, co się panu zdaje tajemnicą. August II potrzebował sławy i rozgłosu ze swych miłostek, pobożny syn jego nie dopuści nawet podejrzenia na siebie. Dlatego wszystko się musi ułożyć tak, aby ludzkie oko nie widziało, ludzkie nie słyszało ucho.

I sucho śmiać się zaczęła.

— Spodziewam się, że dając panu władzę... potęgę, łaskę, sama też korzystać z nich muszę, i żądam, aby moje fantazje były poszanowane; a że mieć będę fantazje, to niezawodna. Ciekawą jestem życia, ląknę go, potrzebuję się upić, aby o bólu zapomnieć.

— Myślisz — poczęła żywiej — że mi w którejkolwiek życia godzinie zniknie z oczu obraz tego nieszczęśliwego? Widzę mury, któremiście go otoczyli; izdebkę ciemną, tarczany⁴ twarde, twarz stróża i oblicze jego zwiędłe, w długich jak wieki dniach, wpatrzona w małe okienko. Ale w tym człowieku mieszka wielki duch co go trzyma, co go może będzie trzymać tak długo, aż się kiedy drzwi więzienia otworzą. Prawda to, że druga wasza ofiara, biedny Hoym już się obwiesił w więzieniu?

Brühl patrzył w podłogę.

— Tak — rzekł sucho — i szkoda nie wielka: ja po nim płakać nie będę.

— Ja także nie — odparła Frania — ale tamtego nie zapomnę. Rozumiesz pan, że ręka co go tam strąciła, choć ją z moją u ołtarza związano... ścisnąć méj dłoni nie może... Jesteśmy i będziemy sobie obcy.

Uśmiechnęła się szydersko.

— Przyjąłeś pan katolicką wiarę dla mnie — rzekła — chociaż i to być ma tajemnicą. To także zaleca mi was niepospolicie! Co za takt i polityka!! Król polski potrzebuje ministra katolika w Polsce: Brühl jest tam katolikiem; Kurfirst saski musi mieć protestanta w Saxonii: Brühl tu będzie gorliwym luteraninem. Gdyby Zinzendorf został królem u Morawskich Braci, panbyś pewnie należał do herrnhuckiej gminy... *C'est parfait! c'est délicieux!*

— Pani! — zawołał głosem wzruszonym Brühl — nie wiedząc, dotknęłaś mnie najboleśniej. Ja jestem chrześcianinem i pobożnym; wyznanie dla mnie rzeczą podrzędną, ale ewangelia i jój przepisy, miłość Zbawiciela...

Wzniósł oczy w niebo.

— To należy do pańskiej roli: rozumiem — odezwała się Frania — a więc usuńmy to. Jabym spocząć pragnęła i być samą.

Spojrzała mu w oczy.

— Lecz cóż powiē służba? co pomyślą ludzie, jeśli pani mnie ztąd wypędzisz? To nie może być!

— Ale inaczej być nie może — zawołała Frania — pan możesz tu w gabinecie na sofce, na fotelu, gdzie chcesz przepędzić noc, ja pójdę do sypialni i zamknę się.

Brühl spojrzał na nią niespokojny.

— Pozwolisz więc pani, abym poszedł się przebrać i powrócił tu. Nikt w świecie stosunku naszego znać ani się go domyślać nie powinien. To pani wiadomo.

— Rozumiem! rozumiem! musi to być wszystko tajemnicą, a my najczulszemi małżonkami. Wyznaj pan, że po białym dniu to platoniczne małżeństwo nasze, będzie nadzwyczaj zabawne. Ludzie będą panu zazdrościć, kobiety mnie; bo pan dla innych jesteś nie brzydkim mężczyzną, ale król daleko od was piękniejszy i — król w dodatku! Wołę być tajemną króla kochanką, niż prawdziwą ministra żoną.

Z szyderstwem śmiać się zaczęła.

— Wystawiam sobie jak N. pan na mnie przy żonie obawiać się będzie rzucić okiem, jaki będzie musiał być chłodny...

— Pani — łamiąc ręce przerwał Brühl — ściany mają uszy!

Frانيا ruszyła ramionami.

⁴tarczan (daw.) — dziś: tapczan. [przypis edytorski]

— Pani wiész — szepnął — że gdyby się to nietylko wydać miało, ale gdyby najłżejsze posądzenie, cień tylko prawdy wyszedł na świat, dla mnie i dla was wszystko zgubione.

— Szczególniej dla mnie — odparła kobieta — bobym została z panem *en tête à tête*, bez żadnego widoku pociechy, a toby mi życie struło...

Więc — cicho.

Brühl, nic nie mówiąc, wysunął się z pokoju. Salony, które przechodził, jeszcze stały oświetlone; przesunął się przez nie wolnym krokiem i na drugim ich końcu wszedł do swojego gabinetu. Kamerdyner i lokaj czekali tu na niego, wiedząc, że przyjdzie się przebierać.

Na stoliczku leżał strój ranny: paradny szlafrok z lyońskiego atlasu niebieskiego w żywo barwione kwiaty i świeża, biała jak śnieg bielizna, i lekkie buciki jedwabne. Wszystko to było niepokalaną świeżością.

Ponieważ przejście przez salony miało być znakiem pogaszenia światła, kamerdyner wziął dwa srebrne lichtarze w ręce i poszedł przodem, świecąc mu do sypialni. U drzwi jój Brühl go skinieniem odprawił i wszedł.

W gabinecie nie było nikogo, oprócz zrzuconej zasłony i wianka pani młodej, jój rękawiczek i chustki. Drzwi dalsze od sypialni, były zamknięte.

Nocna lampka paliła się w kątku... w pokoju mrok panował i cisza. Zégar w mieście bił późną nocy godzinę. Brühl spojrzął najprzód przez okno, w ulicy już było pusto, illuminacya gasła. Po nad czarnymi kamienicami, stojącymi w mrokach, księżyc się wzbijał wysoko i pływał w bawelnianych chmurach białych.

Noc była ciepła, letnia, milcząca... otworzył zdaleka okno, bo go powietrze dusiło.

W sypialni najmniejszego nie słychać było szelestu.

Mąż pięknej Frani, przeszedłszy kilka razy po pokoju, obejrzał się, szukając miejsca dla spoczynku. Małeńka sofka i przystawione do niej krzesło, musiały mu zastąpić posłanie. Sparł się na rękę i dumiał... uśmiech ironiczny przebiegał mu usta, kilka razy spojrzął na drzwi sypialni i wkrótce, wszedłszy w innego rodzaju rozmyślenia o przyszłości, znużony drzemać zaczął.

W snach przed oczyma śniło mu się złoto, świeciły brylanty, przewijały koronki, sunął cały przepych królewski, niemy, bez twarzy ludzkiej, bez serca; potem obłoki białe, na nich cyfra z hrabiowską koroną i mroki.

Gdy oczy znużone otworzył, dzień już był biały, który go nieco przestraszył. Ruszył się coperędziej z improwizowanego, a niewygodnego łóżka swego, krzesło postawił w miejscu, obwinął szlafrokiem i na palcach wyszedł do swoich pokojów.

Oczy jego szukały najprzód zégara... z przerażeniem ujrzał na jednym z nich godzinę szóstą ranną, o której zwykł był dzień już rozpoczynać. Wchodząc do gabinetu swego, spostrzegł też stojącego już w pośrodku O. Guariniego, w swym rannym surducie szarym z czarnymi guzickami, uśmiechającego się dobrodusznie.

Jezuita pozdrowił go milczący uściskiem ręki, którą Brühl ucałował, zarumieniony nieco i zmieszany. Nim przemówili, oczy ich nawzajem się badając, po kilkakroć spojrzały na siebie wzajemnie.

Guarini zbliżył się doń z tajemniczą twarzą.

— Ministrowie, jak wy, nawet nazajutrz po ślubie, nie mają prawa wysypiać się długo, szczególniej tacy, jak wy, co macie nieprzyjaciół groźnych.

Rękę podniósł do góry,

— Z wami Ojcie i przy pomocy królowej, obawiać się ich nie mam potrzeby — odezwał się Brühl.

— Obawiać się i być ostrożnym potrzeba zawsze — szepnął O. Guarini... Zawsze, choćbyście mieli za sobą królową nawet, bo królowe nie zawsze panują, mój drogi.

— Ale wy Ojcie — jeszcze ciszej dodał minister — panujecie i panować spodziewam się będziecie sumieniu króla, a pana naszego zawsze.

— Moje dziecko, ja też nie jestem nieśmiertelny, jestem stary i czuję żem grat, który wkrótce pójdzie na śmietnisko.

Chwilkę pomilczeli. Guarini się przeszedł po pokoju z rękami w tył założonemi.

— Księcia Lichtensteina trochę przysposobiłem i ja, i królowa — rzekł — ale powoli idzie, ogłędnie i w ogóle z tą całą kampanią naszą spieszyć nie można.

Dajmy czas królowi, mnie, okolicznościom, aby naszego pana przysposobiły. Dotąd Sułkowski u niego pierwszym. Sułkowski wszystkiem... Wy pamięć ojca macie za sobą; starajcie się mieć coś więcej...

Zamilkł O. Guarini.

— *Piano, piano, pianissimo!* — szeptał.

Do naszego pana, trzeba umieć mówić, umieć trafić. *Al canto si conosce l'ucello, ed ad parlar il cervello* (Ze śpiewu poznać ptaka, a z mowy mózgownicę).

I uśmiechał się pocziwy Padre, a że lubił włoskie, ludowe pogadanki dodał: *Duro con duro non fan mai muro*. (Twardy z twardym muru nie zlepi). Sułkowski bywa *duro*, waćpan powinienes być mięciuchny i giętki.

Ma piano, piano!

Tu zbliżywszy się do ucha, począł coś szeptać żywo i ruchami rąk sobie dopomagając, potem na zégar spojrzawszy, chwycił za kapelusz i wyniósł się pospiesznie.

Z drugiej strony już pukano.

Żółta, pokrzywiona twarz Henniecke, pokazała się ostrożnie we drzwiach napół odemkniętych i cały radzca wszedł za nią. Pod pachą dźwigał masę papierów; najprzód zmierzył okiem Brühla, jakby z twarzy się dobadywał termometru humoru.

— Ekscelencyo — rzekł — najprzód powinszowania moje.

— Najprzód interesa — przerwał minister... — pieniędzy potrzebujemy, pieniędzy i zawsze pieniędzy dla dworu, dla spraw w Polsce, dla króla, dla mnie, dla ciebie, nie licząc Sułkowskiego... Henniecke — pieniędzy!

Zaciął usta ex-lokaj.

— Piszczą łajdaki — odezwał się — szlachta się zżyma, miasteczka burzą, odwołują się do przywilejów, do *immunitates*, do uchwał.

— Kto? — zapytał Brühl.

— Prawie wszyscy.

— Ale któż ich prowadzi? Któż najgłośnień gada?

— Jest ich dosyć.

— Trzech lub czterech... posłać szwajcarów niech wezmą i do Pleissenburga; tam rozum przychodzi: reszta będzie siedzieć cicho.

— Ale kogo wybrać — spytał Henniecke.

— Zwątpiłbym o sobie, gdybyś tego nie rozumiał. Za wysoko nie sięgaj, żeby którego z Sułkowszczyków nie zaczepić. Za nisko nie bierz, bo to się nie zdało na nic. Człowieka, co ma stosunki na dworze, nie ruszaj; ale pokaźnych parę...

— A racya? — spytał ex-lokaj.

Brühl się rozśmiał. Czy ja ci potrzebuję racyą dyktować? Słowo głośno wyrzeczone, obraza majestatu; rozumiesz, lub... głupiś... Henniecke.

— Rozumiem — rzekł Henniecke i westchnął.

Brühl się zaczął przechadzać żywo.

— Nie wiem, czy Globiga dziś zobaczę; trzeba, żebyś mu powiedział odemnie, że moich rozkazów nie spełniają.

Na ostatniem polowaniu o włos mały, nie podano petycyi królowi... Szlachcic się zaczął w krzaku. Na kilka godzin wprzód przed polowaniem, przejażdżką, wyjściem, drogi powinny byś oczyszczone, postawione warty: żywój duszy nie można się dać docisnąć... Kto wie, w jakim zamiarze...

— Ja, Ekscellencyo, wszystkiego sam dopilnować nie mogę... a Loss, a Stammer, a Globig, a inni, co robią?

— Henniecke powinien mieć rozum za wszystkich, jeśli za nich chce mieć łaski.

Znowu rozmowa w poufały się szept zmieniła, ale ten trwał niedługo. Brühl ziewał znużony. Henniecke zrozumiał to i wysunął się. Przyniesiono czekoladę. Połknął ją z kilką biszkoptami prędko Brühl, wody się napił i dzwonił już na swojego mistrza garderoby.

W pokoju do ubierania było wszystko gotowém, tak, że ranny strój nie wiele czasu kosztował. *Port-chaise* stała u ganku z hajdukami.

Była godzina dziewiąta prawie, gdy minister kazał się wieźć do mieszkania posła austriackiego, księcia Wacława Lichtensteina. Poselstwo naówczas zajmowało jeden z domów w Starym Rynku; podróż więc długą nie była. O téj godzinie zwykle Brühl bywał już

u króla, tego ranku korzystał ze swobody, jaką mu dawał ślub wczorajszy, aby odwiedzić księcia Lichtensteina.

Gdy oznajmiono o Brühlu, książę sam wyszedł naprzeciw niego do sali. Minister nie zapominał o tém, że dziś dla całego świata powinien mieć twarz najszcześliwszego w świecie człowieka. Chociaż nieco znużenie na nią widać było, promieniała doskonale przybraną radością i swobodą.

Książę Lichtenstein w całym znaczeniu wyrazu pan i dworak, jednego z najstarszych w Europie domów panujących, miał fizyognomią do swój roli wybornie stworzoną. Słuszny, piękny, rysów szlacheckich, postawy pańskiej, grzeczny, miły, w oczach miał połyski rozumu i przebiegłości dyplomatycznej. Jakkolwiek Brühl niedawno małym był szlachetką, dziś pierwszy minister spokrewnionego z austriackim domem, mąż hrabianki Kolowrath, stał prawie z Lichtensteinem na równi. Miał jednak takt nie okazywać tego po sobie i z grzecznością tylko, ale z uszanowaniem, przywitał posła.

Wymieniwszy słów kilka, wyszli do gabinetu. Książę podał mu krzesło i posadził go naprzeciw siebie.

— Wracam — rzekł — do wczoraj tak nieszczęśliwie przerwanej rozmowy.

Mój drogi panie Henryku, zapewniam was, możecie się wszystkiego dobrego spodziewać od mojego dworu: tytułu, majątku, protekcji, opieki w każdym razie, ale musimy z sobą iść ręka w rękę... rozumiecie mnie.

Brühl podał rękę natychmiast.

— Musimy iść ręka w rękę — rzekł — tak jest; ale rąk naszych nikt nie powinien widzieć... najgłębsza tajemnica: inaczej wszystko to pryśnie jutro. Padnę ja, a ze mną ten, co wam jeden służy tu wiernie.

— Czyż wątpicie? — zapytał książę — moje słowo waży, jak cesarskie...

— Pierwszego mi starczy — podchwycił Brühl.

— Jesteż to prawdą, możeż to być, ażeby Sułkowski miał jakieś myśli i plany na przyszłość? — spytał książę.

— To nie ulega wątpliwości.

— Ale nic określonego.

— A! — zawołał Brühl — określonego tak dalece, iż wiem, że się tyczy zajęcia Czech... plan jest osnuty nie w myśli, ale na papierze...

— Wyście go widzieli!

Brühl się uśmiechnął tylko.

— Moglibyście go mieć? — dodał nagle książę Lichtenstein.

Uśmiech ministra stał się jeszcze wyrazistszym.

Książę pochylał się doń i pochwycił go za obiedwie ręce.

— Jeśli mi dacie ten plan na piśmie, jeśli mi go dacie...

Zawahał się nieco.

— To tak, jakbym głowę moją dał w ręce księciu — odparł cicho Brühl.

— Ale spodziewam się, że moglibyście i ją mi powierzyć — przerwał Lichtenstein.

— Bezwątpienia — mówił dalej minister — lecz gdy plan będzie w rękach waszych, naówczas nie ma innej alternatywy: jeden z nas paść musi. Wiecie książę, jak król jest do niego przywiązany...

Lichtenstein porwał się z siedzenia.

— Ale my mamy królową, my mamy O. Guariniego, my mamy was i O. Voglera, i Faustynę! — zawołał szybko.

Brühl się uśmiechnął.

— Sułkowski ma słabość i serce królewskie.

— Prawda, że ludzie słabi bywają uparci — odezwał się książę — lecz na słabych zawsze powolnie i zęcznie działając, wpłynąć można. Nigdy nagle, bo ich słabość, którą czują sami, rodzi upór: należy ich tak brać, aby nie wiedzieli, że są wzięci, aby sądzili, że działają przez się sami. Od czegoż poczciwy O. Guarini!

— Sułkowski jest towarzyszem młodości króla, jest jego powiernikiem w tych sprawach, w których król nie zwierza się nikomu.

— Nie przeczę, że robota trudna; nie uznaję jęj jednak niepodobną — odparł Lichtenstein... Ale ten plan? na Boga! widzieliście go? czytaliście go?!

Niecierpliwą tę natarczywość księcia, powstrzymał Brühl zimną twarzą i postawą.

— Pozwolisz księżę, abyśmy mówili najprzód o warunkach.

— Z największą chęcią.

— Ubolewam nad tém, bo cenię Sułkowskiego z innych względów — mówił minister — jest przywiązany do króla, jest mu wierny; zdaje mu się, że Saxonią uczyni potężną — ale, jeżeli wpływ jego się zwiększy, ambicya może na niebezpieczne poprowadzić drogi. Sułkowski świętej naszej królowej ocenić nie umie, Sułkowski nie dosyć szanuje duchowieństwo...

— A! mój Brühl kochany — przerwał Lichtenstein — ja go znam, jak wy, a może lepiej, bo się przedemną nie maskuje, znam go, gdy był z królem w Wiedniu.

— Sułkowskiego obalić potrzeba — rzekł Brühl stanowczo. — Więcej nie żądam nic, ale tego dla dobra króla i państwa wymagać muszę. Naówczas ja się potrafię utrzymać sam, a we mnie mieć będziecie najwierniejszego sługę cesarskiego domu.

— Ale ten plan? ten plan? — powtarzał Lichtenstein — daj mi go, na wszystko się zgadzam.

Brühl jakby od niechcienia rękę prawą założył za suknię, szukając bocznej kieszeni; na ten znak księżę drgnął, przysunął się, ręce obie podniósł.

W białych palcach powoli Brühl podniósł do góry papier, trzymając go przed oczyma księcia.

W chwili gdy z ręki jego miał on się przenieść już do ambasadora, zapukano do drzwi; kamerdyner oznajmił:

— Hrabia Sułkowski!

W mgnieniu oka papier znikł w kieszeni, a Brühl rozparty zażywał tabakę z małej emaliowanej tabakiereczki, którą już dobył z kamizelki.

Sułkowski stojąc w progu mierzył oczyma Lichtensteina i Brühla. Z większą ciekawością niż na posła, zwracał oczy na swojego towarzysza, który się pochylił i z uśmiechem doń dłoń wyciągał.

— Otóż to ranny ptaszek! Od młodej żony nazajutrz po ślubie już biega po ambasadorach. Sądziłem — mówił Sułkowski — żeście jeszcze u nóg swjej pani.

— Obowiązki przedewszystkiem — odparł — powiedziano mi, że księżę wyjeżdża do Wiednia, nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie złożyć mojego uszanowania.

— Księżę wyjeżdża do Wiednia? — zapytał zdumiony Sułkowski, zabierając pierwsze miejsce na kanapie — nic o tém nie wiem.

Lichtenstein zdawał się nieco zakłopotany.

— Nie wiem jeszcze, może... może — wyjąknął po chwili — wczoraj coś podobnego powiedziałem na dworze, i widzę, że Brühl, który wie wszystko, wie już i o tém dzisiaj.

Zaśmiał się, Sułkowski ramionami ruszył.

— Więc to niepewna jeszcze...

— Nie wiem, ale być może — rzucając znaczące wejrzenie na Brühla — rzekł Lichtenstein. — Czekam na pewne depesze, jeśli te otrzymam, choć mi żal Drezno opuszczać, pojedę.

Rozmowa zwróciła się ku plotkom miejskim.

III

Najpoufalsze stosunki łączyły jeszcze dwóch przeciwników, chociaż z obu stron rozpoczynała się walka dla oczu niewtajemniczonych nie dostrzeżona. Tego samego poranku Sułkowski z Ludovicim, powiernikiem swym mówili o zamążpójściu Kolowrathównej.

Ludovici podejrzliwszym był daleko od swojego naczelnika.

— Panie hrabio — rzekł mu — ożenienie to powinno nam dać do myślenia. Hrabia Brühl nie z jedną Kolowrathówną się ożenił, ale z dworem austriackim, z O. Guarinim, z Wielką ochmistrzynią, a potrosze z królową.

Brühl jest jak miód słodki, ale podstawił nogę Fleuremu i Manteuflowi, wyrzucił Wackerbartha i Hoyma; wpakował na Königstein Watzdorfa i Hoym się z jego łaski obwiesił: ja Brühlowi nie wierzę.

Sułkowski śmiać się zaczął i ramionami ruszył.

— Mój Ludovici — rzekł z dumą — pamiętaj kto oni byli, a kto ja? Mnie on razem z O. Guarinim i Austryakami nie obali... O. Guariniego i cały ten pułk Jezuitów ztąd wypędzę. Królowej dam dwór inny. Księża ci mi już dokuczili: nie lubię ich.

Co się tyczy Watzdorfa i Hoyma, mylisz się; ja sam ich oddaliłem, ja, nie on.

— To jest on, rękami w. ekscelencyi; *is fecit cui prodest*, jako adwokat pamiętam prawniczy ten aksyomat. Watzdorf mu pannę bałamucił.

— Już tylko ty w rzeczach dworskich nie ucz mnie rozumu — odezwał się Sułkowski — wiem ja co czynię, a żaden z was nie wie, jak stoję mocno.

— Ja o tém nie wątpię — rzekł sucho, kłaniając się Ludovici.

Krótką ta rozmowa utkwiła jednak w pamięci Sułkowskiego. Chociaż nawet przed najpoufalszym ze swych powierników, jakim był Ludovici, nie wydawał się z tą myślą: hrabia oddawna nie dowierzał Brühlowi. Nadewszystko znaczącem wydawało mu się, iż na wzór jego, nieustannie był przy Fryderyku Augustcie, towarzyszył mu wszędzie i godzinami odbywał milczącą służbę razem z trefniasiami i O. Guarinim. Król się do jego twarzy przyzwyczajał. Kilka już razy dawała mu się czuć niebytność dłuższa Brühla i zapytywał się o niego. Zwolna nabierał doń nałogu.

Sułkowski nie mógł nawet przypuścić, ażeby to zagrażać mu miało, ale rywalów nie chciał, był zazdrosnym, pragnął być sam tylko w łaskach...

— Brühla oddalić należy — rzekł w duchu. — Znajdziemy pozór łatwo...

Króla należy przygotować.

Po obiedzie tegoż dnia, gdy król swoim zwyczajem wrócił do swych pokojów i natychmiast rozebrał się do koszuli, aby wdziać szlafrok, sięść w krzesło i fajkę zapalić, Sułkowski był już na zwykłym stanowisku.

Tym razem nie sam. Do przedpokoju za nim wniesiono tajemniczą paczkę, którą odebrawszy od służącego, sam wniósł do królewskiego pokoju.

Król w czasie swojej włoskiej podróży karmiony był widokiem arcydzieł malarstwa włoskiego. Pragnąc być podobnym do ojca i przejąwszy jego zamiłowanie w muzyce i w myślistwie, w wystawności, w teatrze, w jarmarkach nawet lipskich, przejął też miłość obrazów i dzieł sztuki. Z wielką namietnością powiedzieć można, uganiał się za obrazami, lubował w nich i chciał zbogacić nimi już znaczny za Augusta II zawiązek geleryi drezdeńskiej.

Chcąc się przypochlebić N. Panu, nie było lepszego sposobu jak nastreczyć mu lub ofiarować piękne dzieło sztuki. Zimny zwykle i flegmatyczny August III na widok pięknego obrazu przeistaczał się, stawał innym człowiekiem, oczy mu się zapalały tak jak od śpiewu Faustyny... Myśl zdawała żywiej krążyć po głowie, usta nawet, zawsze tak oszczędne w słowa, zdobywały się na wykrzykniki i zdania.

W największym smutku godzina opery, lub oznajmienie obrazu, rozjaśniały lice króla. Sułkowski nie mniej od innych znał tę słabość swego pana.

August III dobywał właśnie pierwszego dymku z fajki, gdy Sułkowski ze szkatułką zjawił się na progu. Spojrzał nań, wyprostował się i nie mówiąc nic, rękę wyciągnął chciwie. Odgadł znać, co zawierała paczka, którą jego ulubieniec sam się nie wahał mu przynosić.

Oczy pańskie zajaśniały... Nie lubiąc mówić, nie rzucił fajki, ręką tylko i ruchem całego ciała naglił Sułkowskiego o pokazanie.

— N. Panie — odezwał się hrabia cicho — jest to arcydzieło sztuki, to pewna, ale... ale...

— Ale cóż? — bąknął król trochę namarszczony.

— Ale — mówił minister — przedmiot jest trochę za mytologiczny, i gdyby uchowaj Boże, Jéj Królewiczowska Mość nadeszła...

Król sposepniał i przestał nalegać, twarz stała się poważną, poruszył głową znacząco.

Sułkowski w kątku pokoju postawił pudełko: oko Augusta poszło za nim.

— A kto malował? — zapytał.

— Mistrz włoski — rzekł Sułkowski — jestto arcydzieło Tycyana; choć drobnego rozmiaru, ale przedziwnego wykonania.

Usłyszawszy nazwisko, król się skłonił, jakby samego Vecellego witał, i szepnął:

— *Gran Maëstro! Maëstro!*

Sułkowski jakby już o obrazie nie było mowy stanął i zaczął co innego. Król popatrzał nań jakby nie rozumiał, słuchał, zamyślił się i sam do siebie rzekł:

— *Troppo mithologico!* hm...

Po chwili gdy minister mówił już o polowaniu — przerwał:

— Co przedstawia?

Hrabia ręką w powietrzu zamachnął.

— Bardzo nieprzyzwoitą scenę.

— A! pfui! schowaj go! Gdyby królowa nadeszła, albo O. Guarini... a pfui!

Mimo to nie spuszczał król oka ze skrzyneczki.

— Najlepiej będzie gdy ja to precz wyniosę — odezwał się Sułkowski, zabierając się do paczki.

Nie śmiał król nic powiedzieć, ale się zmarszczył.

— Przecie co? co reprezentuje...

— Marsa i Wenerę, w chwili gdy ich *in flagranti* Wulkan siecią obrzuca.

Król oczy przymknął, ręką potrząsł.

— Pfui, pfui — zawołał.

Sułkowski brał pod pachę obraz.

— No, widzieć dla malowania — odezwał się król — dla sztuki grzech powszedni, to się wypowiadam O. Guarini... trzy *pater* i po wszystkim...

Rękę wyciągnął. Sułkowski uśmiechając się nieco, otworzył skrzyneczkę, podniósł wieko, dobrał światło i zbliżył obrazek do kolan królewskich. Fajka wypadła patrzącemu z ręki.

Było to istotnie małe arcydzieło, wykończone jak miniatura, znany typ *tėj belli* Tycyana, która mu do jego Venery i Danai służyła; cudnego wdzięku niewiasta, ale w istocie w nader mytologicznej sytuacji.

Król chciwie patrzył, a znać było, że się ciekawości swój i uwielbienia wstydzil; zarumienił się, niby odpychał od siebie obrazek a jednak go nie puszczał. Powtarzał *Un gran Maestro!* i lajał razem. Oczy jego iskrzyły się. Może zapomniał, że go kto słucha, może nie zważał na Sułkowskiego, i począł szeptać: Venus bardzo piękna... kształty klasyczne! co za wdzięk! co za śliczna *tavola*.

Nagle coś mu na myśl przyszło: obejrzał się, odsunął obraz, splunął, przeżegnał się i surowo rzekł:

— Precz z nim! precz z nim! Nie chcę gubić duszy... Co ty mi takie pokazujesz rzeczy...

— Ale malowanie, N. Panie.

— Mistrz jest, ale precz z nim, precz z nim.

Sułkowski prędko zamknął skrzyneczkę i myślał ją wynieść, gdy król go za rękę wstrzymał.

— Czekaj, lepiej jest aby się drudzy nie gorszyli; postaw ją, tam w kącie; potem obaczmy... spalimy...

— Takie arcydzieło?

Król zamyślony umilkł i fajkę palił. Minister zsunął paczkę za kanapę i wrócił na swe miejsce. Pod wrażeniem obrazu ciągle August mrucał: *Diavolo incarnato!* i ruszał ramionami; ale obrazek bardzo piękny... Gdyby nie było tam Marsa i gdyby Wenus mogła się przerobić na pokutującą Magdalę, powiesiłbym ją w pokoju.

— N. Panie, w rzeczach sztuki niema nic nieprzyzwoitego: ceni się pędzel mistrza.

Król milczał.

— I muszę się spowiadać O. Guariniemu.

— Najj. panie — rzekł dosłyszawszy Sułkowski — sam Padre z przyjemnościąby popatrzał na to arcydzieło i wcaleby o spowiedzi nie myślał.

— *Siete un birbante!* — mruknął król — *Tace, basta!*

Skończyła się tedy rozmowa o Wenerze Tycyana, a że Brühla nie było, król kilka razy o niego się upomniał. Sułkowski westchnął. Oczy Augusta podniosły się na niego.

— Brühl, jak widzę, z łaski W. K. Mości mnie ruguje — odezwał się hrabia — boli to mocno starego sługę wiernego. Przyznam się, że za toż samo jużbym go mógł nie lubić.

Król odchrząknął znacząco.

— Nie przeczę, że pożyteczny człowiek, ale ma swe wady, — mówił Sułkowski — obawiam się go. Miesza się do wszystkiego, zagarnia wszystko... pieniędzmi rzuca, zbytek lubi...

— O! o! o! — przebąknął król głową trzęsąc.

— Tak jest N. Panie.

— Mój ojciec go cenił — rzekł krótko August III — to dosyć.

Sułkowski zamilkł, ale smutnie; królowi się go żal zrobiło.

— Nie lękaj się Sułkowski — rzekł — na was dwa miejsca dosyć, a tyś u mnie zawsze pierwszy.

Po tych wyrazach, które już stanowiły wysiłek ze strony milczącego zwykle Augusta, Sułkowski przyszedł do ręki pańskiej i z przejęciem ją ucałował. Król przycisnął go do piersi.

— Ty mój stary przyjaciel, ale Brühl mi potrzebny.

Nie szło też Sułkowskiemu na ten raz o pozbycie się współzawodnika, chciał tylko zagać tę sprawę, obiecując sobie do niej powrócić i powoli działać na króla. Nie mógł się wprawdzie uskarżać na Brühla, ale widział z pewnym niepokojem, że się do niego August przywiązywał coraz więcej.

Król pykał już fajkę siedząc wyprostowany, zamyślony, mrugając tylko brwiami i oczyma jak miał zwyczaj, gdy czuł że mu na świecie wcale dobrze było; wtém puknięto skromnie. Oznaczało to jedną z osób uprzywilejowanych, które do pokoju pańskiego miały przystęp zawsze bez oznajmienia i nie mógł to być kto inny, chyba O. Guarini albo Brühl. Wszedł powoli Padre ze skromnym uśmiechem i złożonemi rękami, król go skinieniem głowy przyjacielskim powitał, chrząknął i fajkę palił, okiem mrugając. Sułkowski stał trochę opodal milczący.

Oko jezuita sznurkując po pokoju, padło na skrzyneczkę za kanapą. Wstał Padre i jakby zdziwiony przytomnością tu sprzętu nieznanego sobie, wybrał się w podróż dla sprawdzenia coby to było. Na widok tego pochodu, którego cel łatwo było odgadnąć, król się mocno zarumienił i z wymówką spojrzął na Sułkowskiego. Minister poskoczył, zabiegł księdzu drogę i szepnął mu coś na ucho, a August wcześniej się uniewinniając, mruknął Guariniemu:

— Ja nie widziałem, nie chciałem na to patrzeć: mytologia.

— E! — śmiejąc się odparł Ojciec — W. K. Mości mytologia może być niebezpieczną, ale mnie staremu...

Sułkowski wstrzymywał, Ojciec nalegał, król był mocno zawstydzony i zakłopotany, marszczył się na ministra. Guarini nie chciał ustąpić i powtarzał: — A! kiedy już tu jest, zobaczyć trzeba.

Położenie Sułkowskiego stawało się przykrém, gdyż obrazem tym niejako króla kompromitował, który chciał uchodzić w oczach ludzi za człowieka surowych obyczajów.

— *Sentite!* — zawołał Guarini do Sułkowskiego — jeśli mi nie pokażecie obrazu, mogę sądzić, żeście tu nie wiem jaką przynieśli szkaradę i że chcąc razem dwom bogom służyć: rządząc państwem i zajmując się sztuką, jedno z dwojga nie ciekawie spełniacie, bo: *Chi due lepri caccia, una non piglia e l'altra lascia...* (kto na dwa zające poluje, jednego nie złapie, a drugiego wypuści).

Ostatnia przymówka ubodła Sułkowskiego i poszedł do skrzynki, a jezuita za nim. Król ku oknu głowę odwrócił. Uchylono wieko: O. Guarini przysiadł na ziemi i uderzył w ręce.

— Arcydzieło! — zawołał — *meraviglia!* Ale cóż mówicie, że obraz nie moralny: owszem! Winowajców spotyka zasłużona kara, Wulkan ich łapie, a Wulkan tu *sensu paganorum* wystawia sprawiedliwość Bożą. Co się tyczy Wenery! biédaczka, trochę nieubrana ma...

Jezuita ręką machnął. Król nań spojrzął i rozśmiał się uszczęśliwiony z tego wykładu, wołając na Sułkowskiego:

— Pokaż tu! pokaż tu!

Minister niósł obraz znowu. Z widoczném zajęciem przypatrywał się król pięknej Wenerze, gdy co mogło najokropniejszego się stać, czego najbardziej obawiali się wszyscy, to właśnie przyszło jak nieuchronna kara za niepotrzebną ciekawość.

Wszyscy nachyleni zachwycali się tą nieszczęsną Wenerą Tycyana, gdy drzwi otwary się jakby piorun uderzył, drzwi od pokojów królowej. Królowa Józefina jak widmo mściwe, ze swą dumną twarzą habsburską i niemiłymi rysy, ukazała się w progu.

W mgnieniu oka zapadło wieczko, O. Guarini cofnął się ku oknu; król wyprostowany patrzył w sufit, a Sułkowski z paczką swą uchodził zręcznie, ukryć się ją starając. Lecz przed oczyma podejrzliwej i zazdrosnej kobiety, może ująć cokolwiek? Królowa Józefina jednym rzutem oka objęła wszystko, odgadła, zarumieniła się, brwi zmarszczyła i posunęła się żywo ku królowi, który powoli wstawał na jęj przyjęcie.

— Mamy dziś operę — rzekł — Faustyna śpiewa.

— Tak — odparła królowa, patrząc na Sułkowskiego — ale widzę, że tu mieliście inną zabawę, którejbym i ja była ciekawa. Cóż to jest, z czym się hrabia tak starannie ukrywa?

Królowa Józefina sama zajmowała się malarstwem i lubiła dosyć sztukę, łatwo jęj po formie paczki odgadnąć było co zawierała. Król znając jęj surowość i nadzwyczajną skromność dochodzącą do przesady, zmieszał się.

— Dosyć sobie ciekawe malowidółko — rzekł król — trochę swawolne, mytologiczne...

Józefina zarumieniona i gniewna spojrzała na Sułkowskiego.

— Ja też bardzo cenię sztukę — rzekła — ale nie tę, która służy najgminniejszym instyktom zwierzęcym człowieka; najpiękniejszy pędzel nie okupi niepocziwej myśli.

Miała królowa przecucie, że jęj nie wypadało nalegać na pokazanie obrazu, lecz wystawiła go sobie może gorszym niż był i Sułkowski łatwo odgadł, iż mu miała za złe karmienie króla podobnemi widokami. W istocie brzydkięj królowęj zdawało się zawsze, iż ktoś jęj męża odbierze, że go dworacy wciągną w podobne mióostki jak ojca, a drogą do nich uważała nastęrczanie Augustowi tego rodzaju widoków.

O. Guarini bardzo zręcznie rozmowę odwrócił, Sułkowskiego osłonił, króla uratował i zaczął mówić o kłótniach aktorów włoskich, które on zawsze godzić musiał, a te dziś ledwie uśmierzone, jutro z nową gwałtownością się odradzały.

Królowa Józefina pozostała zamyśloną i posepną, nie umiała ona uczuć swych taic i nie potrzebowała z niemi się ukrywać. Król wiedział, że w cztery oczy dostanie surową admonicyę, za dawanie zbytnich przywilejów i swobód Sułkowskiemu... westchnął tylko i wyglądał godziny opery, aby zapomnieć w muzykalnym zachwycie o wszystkich troskach nieodłącznych od życia ludzkiego, nawet na takim tronie, na którym przez pół dnia można było fajkę palić w szlafroku, okiem mrugając i uśmiecując się fantazyom powolnie grającęj imaginacyi.

Sułkowski i O. Guarini wysunęli się zaraz, zostawiając małżeństwo sam na sam z sobą, co było najlepszym sposobem przywrócenia królowęj dobrego humoru.

IV

Jedną z zabaw najulubieńszych i najkosztowniejszych dworu saskiego za panowania obu Augustów, była opera i muzyka, nieustępujące najlepszym ówczesnym w Europie, a z wielu względów przechodzące może najświetniejsze teatru i kapele.

Jeszcze za Augusta Mocnego, dobór śpiewaków w operze był znakomity; nie utracił on wcale pod panowaniem syna, który się muzyką zachwycał. Słuchanie jęj uwalniało go od mówienia, którego nie lubił, a dozwalało się pogrążyć w tych dumaniach, w których całe niemal spędził życie. Muzycy wokalni francuzcy, to jest śpiewacy króla, na których czele stał kompozytor Louis André, składali kompanię z dwudziestu głosów; a wśród nich posilkowo występowali i Niemcy, jak tenor Götzl, i Włosi. Annibali alt, zajmował tu pierwsze miejsce. W orkiestrze nadwornej pod wodzą sławnego Hasse, męża z imienia Faustyny, było osób około pięćdziesięciu, dwóch kompozytorów (jeden Czech Zelenka), koncertmajster, solistów mnóstwo, a polska kapela oprócz tego stała osobno. Tą polską, czyli małą kammermuzyką dowodził Schultze, a liczyła osób siedemnaście. Król bierał ją z sobą, gdy dłużej bawił w Warszawie. Naprzemiany grywano opery i komedye francuzkie, do których było jedenastu artystów i szesnaście kobiet, a dla urozmaicenia widowisk, francuzki balet, sześćdziesięciu Francuzów pod panem Favier. Ale któż to

wyliczy?... summy ogromne szły na utrzymanie tych zabaw i ludzi do nich nieodbitnie potrzebnych.

Gdy przedstawiać miano operę Hassego *Ezio*, do której Metastazio pisał libretto, w tryumfalnym pochodzie Cezara zwycięzcy nad barbarzyńcami, występowało na scenie sto koni, cały rzymski senat, rycerstwo, liktorowie, pretoriańskie gwardye, lekka i ciężka jazda, piechota, łupy od srebra i złota ze skarbca królewskiego pożyczone scenie. Zachwycali się widzowie, słupiała orkiestra i pamiętnym jest, że bijący w bęben, z zachwytu wybił w nim tego wieczoru dziurę. Dwieście pięćdziesiąt osób było na scenie; operę oświetlało 8, 000 świec woskowych, a maszynistę sprowadzono umyślnie z Paryża. Był nim Servandoni: przedstawienie niektórych oper kosztowało po 100, 000 talarów. Nadzwyczajny urok wywierała na Augusta III piękna jeszcze postacią, a zachwycająca śpiewem Faustyna Bordoni... Powtarzano jedną operę po kilka miesięcy, a nigdy zadumany król nie znużył się tą jedną powracającą pieśnią, która go do marzeń tak rokosznie kołysała.

Właśnie w tych czasach, obok Faustyny rządzącej samowładnie Włochami zakulisowemi, zjawiała się tak zwana „Faustyna druga” Teresa Albuzzi Todeschi, nie młodsza od niej, piękniejsza może, również śmiała. Głos powszechny przyznawał protektorstwo nad nią szczególne Brühlowi.

Miano tego dnia powtarzać nie wiem po który raz *Cleofidę*. Król już w swęj łoży siedział, teatr był pełen, godzina zwykła nadeszła... a zasłona się nie podnosiła.

Było w tém coś nadzwyczajnego. Lecz artyści włoscy, szczególnie *la diva* Faustyna, mieli swe przywileje; czekano cierpliwie...

Tymczasem za kulisami wrzała burza. Faustyna nie chciała śpiewać obok Teresy... Teresa zaklinała się, że z tą niegodną Bordoni nie wyjdzie na scenę.

Ciemnym było i tajemniczym dla wszystkich o co im szło, co ich tak podrażniło. Obie zapalczywie, zajadle, wściekle kłóciły się z sobą, ale nawet puściwszy wodze językom, nie wypowiadały właściwego powodu tego gwałtownego zajścia.

Pilaja, trzecia i nie tak wysoko patrząca śpiewaczka, stała z założonemi rękami, przysłuchując się potokowi najmniej dobranych i strojnych wyrazów ulicznych, i uśmiechała się jako widz na doskonałej komedyi.

Zza kulisów dochodziły wykrzykniki niektóre do sali, i Sułkowski niespokojny wysłał pazia na zwiady.

Paż wrócił, nie mogąc nic więcej donieść nad to, że Neptuna z trójzębem trzeba było, ażeby rozigrane uśmierzył fale. Szepnął Sułkowski królowi coś na ucho, posłano pazia po jedyne co umiał zakląć i ukoić, po O. Guariniego.

Tymczasem Faustyna i Teresa stały naprzeciw siebie jak do boju, obie ubrane jak na scenę, nie zważając, że gniew niszczył farby, któremi miały pomalowane twarze, i miały bogate szaty, w których występować musiały.

W oddaleniu Indyjanie i Grecy w strojach teatralnych, ale niektórzy z fajkami, spokojnie się przyglądali temu duetowi przekleństw i słuchali ich jak szumu kaskady.

Jużby było może przyszło do pojedynku, gdyby jak *Deus ex machina*, nie wpadł w swym surducie szaraczkowym O. Guarini. Na widok jego ucichły obie, jakby wspólnemi siły na tego nieproszonego pośrednika rzucić się miały. Padre spojrzął na nie, i odciągnął na bok najprzód królową Faustynę. Zdawał się ją spowiadać łagodnemi słowy.

Cisza oczekiwana nastąpiła po walce. Słysząc było orkiestrę, strojącą instrumenta. Bordoni wprost od téj spowiedzi poszła do zwierciadła, co było dobrym znakiem, a Guarini wziął Albuzzi na konfessaty, grożąc jęj palcem na ogromnym swym nosie. Teresse zabierało się na łzy. Szeptano długo, Padre rozsunął ręce i zawołał:

— *Pace!* — Jeśli się uprzesz Teresso miła, możesz *cader dalla padella nelle brage*, (z pieca na łeb upaść); dość tego. Niech kapela rozpoczyna uwerturę; król czeka.

W téj saméj chwili zjawił się i Brühl za sceną, spojrzął na Faustynę najprzód, pozdrawiając ją, potem na Albuzzi, której dał znak potajemny, i wśród dźwięków muzyki, wszyscy na swych miejscach stanęli.

O. Guarini skinął na ministra i wyszli z nim razem przez ciasne przesmyki, w których panowali maszyniści, władający piorunami, burzami, niebiosami, pogodą i bóstwy (spuszczanemi na ziemię na drutach), aż do pustego pokoiku za sceną, którego gotownia i porozrzucane resztki kobiecych strojów, dawały odgadnąć garderobę jednej z tych pań przed chwilą tak zajadłych, a teraz już rozpoczynających trele pełne pogody i wesela.

Guarini i Brühl obaj byli zmęczeni i milczący, siedli obok siebie, spoglądając wzajem na swe twarze. Jezuita się zaczynał uśmiechać.

— Tu — rzekł — ani nas nikt nie podsłucha, ani podpatrzy, to schówka tój źmijki Albuzzi, jesteście w niej bezpieczni. Mówmy...

Uderzył go szeroką ręką po kolanie.

Brühl nachylił się do ucha Ojcu.

— Plan jest w rękach Lichtensteina, jedźcie z nim do Wiednia.

— *Va bene* — odparł Guarini — ja przysposobiłem królowę. Wiem z pewnością, iż Sułkowski grozi, że nas wszystkich ze dworu wypędzi, że króla oderwie od żony i da mu inną.

Jezuita się rozśmiał i ruszył ramionami.

— O tém trochę zapóźno pomyślał!!

Twarz Brühla przybrała wyraz posępny.

— Z nim, z tą pocziwą naturą naszego pana, trzeba wiedzieć jak postępować — mówił Guarini — Nie winien on, że po ojcu dostał w spuściznie jego namiętności i walczyć musi z niemi. Otóż to, co pismo nazywa pokutą za ojców grzechy. Dając mu życie, Wielki August przelał w niego naturę swą niepohamowaną. Nie podoła jój król pobożny, trzeba przynajmniej od grzechu odjąć zgorzenie, pokryć go tajemnicą, osłonić go, nie dopuścić podejrzenia nawet.

Gdybyśmy od niego wymagali zupełnej wstrzemięźliwości, mogłoby przyjść do wybuchu, któryby nas wszystkich w gruzach pogrzebał. *Cosa fatto capo ha*. Co się stało, dobrze się stało... Sułkowski źle rachował i przerachował się nieborak: miejsce zajęte, sprawa skończona, a choć król go lubi, ale przed nim swój tajemnicy nie wyda. Jesteśmy panami sytuacji; a ja cieszę się, bo nie wątpię, że zbawiam duszę... Co tam w tém grzechu, biorę na siebie.

Poczęli szeptać cicho.

— Sułkowski — rzekł Brühl — nudzi się nieco, jest generałem z łaski N. Pana, a w pokoju nie może się czynami rycerskimi wślawić. Wspomniał mi, że chętnieby uczynił wycieczkę wojskową nad Ren, do Węgier. Czyby król sam mu nie poddał tój myśli! Przez ten czas...

Guarini mrugnął, że kończyć nie potrzeba, że rozumie wszystko i głową potwierdził dobrą radę.

— Powiem królowi, że ten pocziwy Sułkowski powinienby po tak ciężkiej pracy mieć prawo wytchnąć nieco: i zrobi się.

Włoch szparko mignął palcami, jak kuglarz przed oczyma Brühla i wstał.

— Idź do króla — rzekł — poklaskuj Faustynie, abyś mu się podobał. I cicho szepnął na ucho: — Nie wstrzymuj Sułkowskiego od zbliżenia się do króla, nie przeszkadzaj mu. Z pewnych znaków wnoszę, że ma myśl poddania N. Panu pewnych wad, których król nie przyjmie, które odepchnie ze zgrozą, a to się przyda, to się przyda...

Rozśmiał się O. Guarini, szybko głową poruszył, otworzył drzwi i wysunąwszy się w ciemne labirynty zakulisowe, zniknął wśród nich, jak człowiek doskonale z miejscowością obeznany.

Daleko ostrożniej i trudniej było wydobyć się z tych ciemności na światło Brühlowi. Po chwili jednak znalazł się w łoży królewskiej.

Sala opery jaśniała światłami rześnistemi. Dwór również wspaniała jak za Augusta II, przepelniał wszystkie miejsca. Świeżo przybyli z Polski senatorowie w swych bogatych strojach, lamowanych pasach złocistych, ze spinkami z brylantów, guzami z rubinów, zajmowali pierwsze miejsca. Król na nich niekiedy z przyjaznym poglądem uśmiechem.

W rzędach kobiet widać było najświetniejsze gwiazdy dworu: strojną hrabinę Moczyńską, dumną panią Brühl, cichą Sułkowską, żony posłów, frejliny królowej i wszystko, co do dworu przystęp miało.

Król z nadzwyczajną bacnością zwracał się ku scenie, ilekroć na niej zjawiała się piękna Faustyna, a słuchając jój głosu w błogim upojeniu przymykał oczy, jakby śnił o aniołach. Niekiedy przyklaskiwał *divie*, a naówczas klaskali za nim wszyscy i panie wiewały chustkami.

Rzadko bardzo wzrok pański ze sceny zszedł na salę, a jeśli się oczy jego zablakały czasem na różnobarwne rzędy piękności, zdawały się przebiegać po nich z trwogą i powracały do Faustyny.

Uwielbienie dla niej tłumaczył głos, uniewinniała muzyka.

Prawie na przodzie naprzeciwko króla siedziała pani Brühlowa, ubrana wytwornie, podparta od niechcenia na brzeżku swój łoży i zadumana. Piękność jej wyzywająca, śmiała, imponująca, wszystkich oczy ściągała ku sobie; jeden tylko król zdawał się jej nie widzieć, albo nie chciał zobaczyć, wymijał ją, unikał i gdyby August III nie był tym dobrodusznym człowiekiem, prostoty pełnym, możnaby go było posądzić, iż się z czemś ukryć pragnął.

Tuż obok Brühlowej siedziała skromnie ubrana hr. Sułkowska, frejlina niegdyś królowej jako panna von Stein-Jettingen. Piękna jej twarz spokojna, nie miała tego uroku drażniącego, jakim Brühlowa najobojętniejsze oczy wabiła ku sobie. Na parterze siedzący młody Tarło starosta jasielski i Działyński, poglądali po kobietach, i ostatni szepnął w ucho sąsiadowi:

— Starosto, duszo moja, jesteśmy jak owi młodzieniaszkowie wrzuceni w piec gorący; nie wie człowiek gdzie schować oczy. Spojrzę przed się, stoi ta Włoszka gdyby marmurowy posąg napół obnażony, a wywodzi trele aż po duszy chodzą; odwrócę się w prawo, siedzi jejmość strojna, której oczy jak dwie wędki zaprawne; odchyłę się w lewo, patrz, starosto co za cudo!

Spojrzał młody Tarło i oczy mu przyłgnęły do tego zjawiska, które się poraz pierwszy ukazywało na dworze.

Okolo hr. Sułkowskiej i pod jej opieką, wprost naprzeciwko króla samego, siedziało dziewcze młode. Nikt go tu nie znał na dworze. Z towarzystwa hrabiniej, ze stroju jej i z twarzy można się było domyślać znacznego rodu i znakomitego pochodzenia.

Ówczesne piękności w ogóle, więcej pełnością wdzięków i kształtów się odznaczały niż dzisiejsze. Drobne i wątłe dziewczątka mało się komu podobały. Owe słynne ulubienice Augusta II, wszystkie niemal doskonałe Amazonki, lubiące łowy, strzelbę i konie, wyglądały jak leśne boginie nielekające się spotkać ze zwierzem i z człowiekiem. Nieznajoma dziewczica siedząca przy hr. Sułkowskiej była z rodzaju tych piękności bujno uposażonych i jak zdrowy silny kwiat wyrosły na krzepkiej lodydze. Biała, różowa, zbudowana jak Diana, czarnooka i czarnobrewa, patrzała śmiało i dumnie. W tej odwadze dziewczęcia czuć jednak było raczej nieświadomą świata niewinność, niż wyzywające go doświadczenie. Oczy jej z dziecinnym zachwytem i śmiałością spoglądały na wszystko co ją otaczało.

Czarna suknia i koronki, ożywione tylko szkarłatnymi wstęgami i trochę złota, podnosiły jeszcze tę piękność zachwycającą, na którą ze wszech stron teatru podnosiły się wejrzenia ciekawe i jedni drugich zapytywali rozgorączkowani:

— Któż to taki?

Wzrok pani Brühlowej badał ciekawie także nieznaną sąsiadkę. Hr. Moszyńska nie spuszczała z niej oka. Na zwiady poleciała młodzież do służby hrabiniej Sułkowskiej, ale z niej nic, nawet datkiem dobyć nie umiała, oprócz, że to była krewna hrabiniej przybyła z Wiednia.

Gdy się to działo na sali, Sułkowski ujrawszy, iż Brühl ceremonialnie poszedł żonę powitać i że reszta służby nieco się oddaliła, schylił się do ucha króla.

— N. Panie — rzekł cicho — dzieła sztuki warte są uwielbienia, ale dzieła Stwórcy godzi się także uczcić wejrzeniem. Chociaż hrabianka Stein jest mojej żony daleką krewną, ośmielam się zwrócić uwagę W. K. Mości na jej nadzwyczajną piękność. Żaden Tycjan ani Paul Veronese nic podobnego nie stworzył.

Słyszac te słowa, król zwrócił się jakby przestraszony do ministra, spojrzał nań z pewnym rodzajem wymówki i podziwienia i natychmiast zagłębił się znowu w kontemplacji wdzięków i uwielbianiu głosu Faustyny.

Sułkowski odstąpił. Znał tyle już pana swego, iż wiedział, że walcząc z sobą odegra tu pewnie tę samą scenę, co z obrazem Tycjana i zakazaną Wenerą. Nie omyliła go rachuba. Król z nadzwyczajną ostrożnością i niby gdzieindziej idąc oczyma, powiódł niemi tak, iż trafiły na twarz pięknej panny Stein.

Jakby przerażone tém zjawiskiem, uciekły.

Po chwili głowa królewska nie śmiejąc już zwrócić się w tamtą stronę, posłała oczy tylko. August III patrzył głową na scenę, ale źrenice z pod powiek przymkniętych pochylały się tam, gdzie ta nowa jaśniała gwiazda i szybciej niż poszły, wróciły.

W tym pochodzie musiały zaczepić o panią Brühl, która zapewne jakimś przypadkiem, biały paluszek miała jakby z groźby przytknięty do marmurowego noska.

Król w tymże momencie uderzył w dłonie śpiewaczce, jak gdyby ję tylko słuchał i na nią spoglądał, a za znakiem pańskim idąc, sala biła brawo! Ktoby był bocznie śledził grę oczów, dostrzegłby, jak Faustyna brwi się marszczyły na króla, jak nań spoziérała niecierpliwie Brühlowa, jak Moszyńska szpiegowała wejrzenia męża, ministra i uśmiechała się złośliwie. Krzyżowały się tam i inne w różnych kierunkach wzroki mniej wydatnych, skrytych po kątach osobistości nieznanych, którym odpowiadały błyski oczów przelotne z łóż pańskich.

Nareszcie ostatni chór brzmiał już potęgą wszystkich głosów... i rozlewał się w powietrzu jak fala tęczowa... wszyscy się poruszali; opera się kończyła. W łóżach podnosiły się panie i piękna Stein, bohaterka tego wieczora podniosła się, jakby chciała pokazać śliczną swą postać. Królewskie oko już się w tę stronę skierować nie śmiało.

Król znikł z ostatnimi dźwiękami muzyki.

— Człowiek po tém widowisku — zawołał Działyński do Tarły — prostoby powinien iść do konfesjonatu... My, cośmy nie nawykli do téj rozpusty oczów i uszu, pijani wyjdziemy, a póki się wszystko ukołysze w głowie i piersi, a przyjdzie do należytego porządku, dobrze się człek namęczy. To mospanie wodzenie na pokuszenie i po wszystkich.

Tarło się roześmiał: — nie wiem czy gdzie na świecie tyle pięknych kobiet razem zobaczyć można.

Działyński pochylił mu się do ucha.

— Syreny są, moja duszo, naprzeciw którym nietylko uszy, ale i oczyby sobie pozalepiać trzeba i uciekać.

Dwór po widowisku i wieczerzy, jak powszednich dni przed północą się rozchodził. Brühl wzięwszy rozkazy króla, pojechał do domu; Sułkowski został. O. Guarini, choć często i wieczorem jeszcze przychodził króla zabawiać, tego dnia się nie pokazał.

Frosch i Storch już wieczorem spali po kątach. August III znowu się dostał do szlafroka i po wieczerzy u siebie fajkę palił, bo we wspólnych z królową apartamentach, tytuniowi się znajdować nie było wolno. Wszyscy co go palili, mieli dlań izby osobne; a kobiety czując w nim nieprzyjaciela, cierpieć go naówczas nie mogły.

Król ze swym ulubieńcem znaleźli się więc sam na sam. Tego wieczora Sułkowski bardzo był ożywiony. August III zamyślony mocniej, niż kiedykolwiek.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się minister — nie wiem, czy raczyłeś zwrócić swe królewskie oko na Adelajdę Stein; co to za piękność! co to za wdzięk! Gdyby ś. p. pan nasz miłościwy król August Mocny żył jeszcze, pewien jestem, że nie spuściłby z niej wzroku.

Żywo odwrócił się król, popatrzał na Sułkowskiego i zamilkł, chociaż już był usta otworzył, chcąc coś powiedzieć.

Sułkowski się rozśmiał, przyszedł do ręki pańskiej i pocałował ją.

— Jam stary sługa W. Kr. Mości — rzekł — wydziwić się nie mogę cnocie pańskiej. Królom się coś więcej przecie niż prostym śmiertelnikom należy, a W. K. Mość żyjesz jak skromny szlachcic, nie śmiejąc podnieść na świat oczów.

W czasie dzisiejszego teatru, patrzałem jak kobiety z uwielbieniem, ukradkowo spoglądały ku słońcu, a słońce na nie spojrzeć nie chciało. Adelajda Stein przyznała się przed żoną moją, że piękniejszego mężczyzny nad W. Kr. Mość nie widziała w życiu.

Umilkł. Król fajkę porcelanową odlęwał i nie śmiał nań spojrzeć, udawał nawet, że kusiciela nie słucha.

— Faustyna śpiewała jak bogini! — rzekł zwracając rozmowę.

— Ale Faustyna ze swym śpiewem i wdziękami tylko na scenie uchodzi. Ona, jeśli się nie mylę, ma lat trzydzieści kilka, a Włoszki prędko starzeją. Stein, to prawdziwy anioł, ale W. K. Mość nie spojrzaleś nawet na nią.

August zamiast odpowiedzi, popatrzał na Sułkowskiego i ramionami ruszył.

— Niech mi wolno będzie szczerze wyrazić podziwienie moje: świętym być możesz W. K. Mość, ale szczęśliwym trudno. Mnie prawdziwie żal mojego króla i pana, wszak to klasztor nie dwór pański.

August III słuchał, poprawiając szlafrok na sobie, patrząc w sufit, to na podłogę, to spluwając potrosze.

— W. Kr. Mość pozwoliś, aby moja żona na dworze hr. Stein przedstawiła — mówił nieustraszony milczeniem minister.

— U królowej, u królowej — dorzucił August z pewną niecierpliwością.

— Jestto sierota, która postradała rodziców, rodziny prawie żadnej; nasza, to jest żony mojej, krewna bardzo daleka. Chcielibyśmy się zająć jej losem. Przy łaskawej protekcji W. K. Mości, łatwobyśmy tu jej męża znaleźli na dworze, a widzę, że się jej tu wszystko wielce podobało, że radaby pozostać.

Przestał mówić, czekając słowa lub znaku. Milczenie w błąd go wprowadziło, sądził, iż oszczędzając niememu królowi słowa, powinien był może stać się wyraźniejszym jeszcze.

Zaczął tylko przystąpiwszy bliżej, mówić ciszej trochę:

— Gdyby się Stein W. Kr. Mości podobać mogła, nikt w świecieby się nie domyślał stosunków żadnych. Przecież W. Kr. Mość tak zawsze pozostać nie będziesz mógł...

Spojrzał mówiąc to na króla, którego twarz pobladła, a oczy zapadały, ręce mu zaczęły drżać. Sułkowski przestraszony umilkł nagle. August wstał z krzesła, rzucając oczyma dokoła, jak gdyby szukał ratunku.

— Sułkowski! — zawołał stłumionym głosem — ja, ja się na ciebie gniewać nie chcę... nie chcę, ale ty, ty się *zapominasz*.

Wielkimi krokami widocznie mocno wzruszony król przeszedł się kilka razy po pokoju. Na twarz jego bladą zaczynał zwolna powracać rumieniec. Widocznie walczył z sobą, ażeby nie wybuchnąć gniewem; zaciął usta.

Nigdy jeszcze ulubieniec nie widział go tak wzburzonym ze swjej przyczyny; uląkł się i kolano zginając, wyciągnął rękę po dłoń króla. Zawahał się August III, ale mu ją podał w końcu.

— Proszę cię, ani słowa: to skończone, zapomniane. Stein niech jedzie ztąd, proszę.

To mówiąc, odwrócił się żywo.

— Jutro — odezwał się po krótkim milczeniu — do Hubertsburga wyprawić przedem psy i ludzi; nie polowałem dawno. Brühl i wy, jedzicie ze mną... królowa, naturalnie: zawsze trzy dni chcę tam polować. Piérwszego dnia na jelenie, drugiego *par force*, trzeciego na cietrzewie.

Sułkowski się skłonił.

— Natychmiast wydam rozkazy.

— Niech wszystko będzie gotowém... Jedziemy rano...

I skinieniem głowy pożegnawszy Sułkowskiego, który stał nie mogąc przyjść do siebie, skierował się August III ku pokojom królowej. Niespokojny minister rzucił się jeszcze raz ku niemu w milczeniu, domagając się ręki królewskiej. August zdawał się już zapominać o tém co zaszło, podał mu ją chętnie i uśmiechnął się tak obojętnie i dobrodusznie jak zawsze.

Nazajutrz i dni następnych polowano w Hubertsburgu i sąsiednich lasach. Król był w tak dobrym humorze jak zwykle, gdy łowy wypadły szczęśliwie. Brühl i Sułkowski mu towarzyszyli. Piérwszego wieczora królowa coś wspomniała, jakby słyszała od Padre Guarini, który bardzo Sułkowskiego kochał, że hrabia wzdychał do wycieczki rycerskiej nad Ren, albo do Węgier. Przypisywano to jego chęci wprawienia się w wojskowe rzemiosło, aby tém skuteczniej mógł służyć Saxonii. Król wysłuchał żony i głową potrząsnął.

— On i tak dowódcą jest wyborym, ja się bez niego obejść nie mogę.

Królowa Józefina nie nalegała. Trzeciego dnia z łowów powrócono do Drezna i tegoż wieczora król urządzić kazał strzelanie do celu w dziedzińcu, a bawił się niém do późna i był bardzo wesołym. Zwyczajni towarzysze musieli z nim razem próbować zręczności, a Brühl choć strzelał wybornie, starał się pilnie, ażeby króla ilością trafnych strzałów nie przeszedł.

Ledwie dzień jeden spoczawszy, król się wybrał na nowe łowy do Klappendorf. Drugiego uganiał się za jeleniem pod Grossenheyn, trzeciego pod Stauchitz, a nocował w Moritzburgu.

Następnego rana wrócił do Drezna, bo Faustyna śpiewać miała. W operze nie śmiał prawie podnieść oczów. Też same miejsca zajmowały panie dworu. August patrzył tylko na Faustynę. Dopiero później, gdy spostrzegł przy sobie generała Baudissina, zwracając się ku niemu, powiódł oczyma po łóżach.

Hrabina Sułkowska siedziała w swojej samej, nikogo przy niej nie było. Król swobodnie jakoś odetchnął. Mruknął coś kilka razy do starego dworaka, który mu się kłaniał bardzo nisko, a gdy śpiew znowu się rozpoczął, biegnąc oczyma ku scenie, prześliznął się tylko po nad Brühlową, która siedziała zadumana, strojna, piękna, ale jakby jej świat cały był obojętnym, spoglądała nań z jakąś niewysłowioną pogardą.

V

Wkrótce potem d. 7 października obchodzono urodziny królewskie, w ulubionym zamku jego Hubertsburgu. August III pilnował bardzo starych zwyczajów i dworskiej etykiety, do której nawyknięcie królowa też z sobą przywiozła. W Dreźnie zaś cokolwiek za Augusta II zaprowadzonym było, zachowywało się jak najtroskliwiej. Cały dwór wystąpił przystrojony galowo... Zrana o godzinie ósmej czekał on w sali na przechodzącego króla, który o tej godzinie na mszę się udawał. Wszyscy wdziali na ten dzień cytrynowe mundury, ale że polowanie zaraz po śniadaniu nastąpić miało, byli w butach. Wprost ze mszy, korzystając z bardzo pięknego poranku, król, królowa i co żyło, a przypodobać się chciało, ciągnęło do tak zwanego Rubensteińskiego krzyża... Ztąd rozpoczęto łowy, i król z zapalem rzucił się za jeleniami, które już osaczone stały. Sułkowski, Brühl, stary generał Baudissin i wszyscy dworscy towarzyszyli panu, który był w jak najlepszym usposobieniu ducha. Z rana królowa Jmć uczyniła mu miłą niespodziankę, był to jej własny portret przez nią malowany, i ofiarowany na pamiątkę. Z uczuciem ucalowawszy rękę dostojnej artystki, August kazał szacowne malowidło zawiesić w swoim pokoju. Sułkowski sprowadził za pośrednictwem Giurtinianiego z Wenecyi bardzo piękny obraz Palmy starego, który złożył u nóg królewskich; Brühl przyniósł mu piękny portret Rembrandt'a, nabyty w Hollandyi. Obrazy wprawiały zawsze króla w najlepszy humor. Te, które mu się podobały, kazał najprzód stawić w swoim pokoju, długo się w nie wpatrywał nic nie mówiąc, i dopiero gdy się widzeniem ich nasycił, do nowej galerii przenosić je kazał.

Trzy jelenie wzięto dnia tego, co humor pański jeszcze lepszym uczyniło; nie mówił więcej, ale się uśmiechał, okiem mrugał, głowę podnosił do góry, i całym obliczem zdradzał wewnętrzne zadowolenie. Sułkowskiemu szczególnie para znaczących uśmiechów się dostała, jakby dla zatarcia wrazenia, po owym nieszczęśliwym jego zapomnieniu się.

Wcześniej bardzo szczęśliwe łowy się skończyły; poobijano rogi na pamiątkę zabitym rogowcom, i zawieziono je w tryumfie do Hubertsburga, gdzie obiad już czekał. Przez cały czas polowania, królowa była jak zwykle nieodstępna, i choć na posępnej twarzy jej znać było zmęczenie, starała się uśmiechać i być grzeczną dla wszystkich. Sułkowski nawet zbliżywszy się do niej, słów parę dobrych pozyskał.

Zaledwie obiad się skończył, konie i powozy stały już w gotowości do Dreznia, gdzie na króla opera i trzy balety w międzyaktach oczekiwały, uśmiech Faustyny i kantata ułożona umyślnie przez Hassego na cześć pana. O piątej w teatrze oświeconym z przepychem, przepelnionym dworem i ciekawymi w galowych ubiorach, podniosła się kurtyna, i Faustyna, która się na ten dzień z nadzwyczajnym przybrała staraniem, wystąpiła z oczyma wlepionymi w lożę królewską.

Rozpromieniony siedział w niej nowy król, w stanie ubłogosławienia, milczący, spokojny, szczęśliwy tém, że mu płynęło życie według programu, niezamącone niczem, jak w zegarku. Więcej nigdy od losu nie żądał nad to ani sławy, ani zdobyczy, ani rozgłosu swych czynów, tylko tego spokoju, któryby mu dozwalał zjeść spokojnie, śmiejąc się z Froscha i Storcha... wypalić fajkę, popatrzeć na piękne obrazy, posłuchać gwarzenia patra Guarini, nasycić się śpiewem Faustyny i pójść spać bez troski o jutro.

W międzyaktach przyciemnionych tego życia — co pokrywała tajemnica, tego — oprócz zaufanych, nikt w świecie nie powinien był się ani domyślać. Nikt lepiej nie znał króla i jego charakteru nad Sułkowskiego, został mu tylko zakryty ten tajemniczy zakątek jego, w którym się kryły nieubłagane namiętności, wstydząc świata i ludzi.

Jeden Ojciec Guarini powiernik pański wiedział co się tam działo, i on jeden mógł pomódz do zupełnego zawojowania króla, wskazując pewne środki i drogi. Za jego wskazówkami idąc Brühl z pomocą W. Ochmistrzyni i żony swój, owdładnął tą twierdzą niezdobytą i był jej panem, nim się Sułkowski o jej posiadanie pokusił. Gdy krok ten nieszczęśliwy przedsięwziął, już było zapóźno. Miejsce zostało zajętym, nikt więcej przystępu

doń mieć nie mógł, nawet najzaufańszy z przyjaciół. Brühl, który doskonale udawał, że nic nie wie i nic wiedzieć nie chce, który nigdy żadną aluzją się nie zdradził, na którego milczenie we własnym jego interesie, rachować było można — stał więc mocniej jeszcze od Sułkowskiego, gdy ten oślepiiony, nie dostrzegł nic i nie przypuszczał nawet, aby ktoś królowi nad niego mógł być potrzebniejszym.

Po owej próbie z p. Stein, czuł się jeszcze bezpieczniejszym, uważając to za dowód, że króla nikt mu w ten sposób odebrać nie może, jeżeli on tego nie dokazał. W chwili właśnie gdy się tak ubezpieczonym czuł i pewnym siebie, stał u brzegu przepaści niewidocznej. Faustyna wysilała się dnia tego, a fioritury płynęły z jej piersi jak perły czystej wody... Król wznosząc oczy ku niebu, z uśmiechem na ustach zachwycał się. Zdawał się nią tylko zajęty, na nią patrzył tylko, chociaż niekiedy baczne oko byłoby dostrzegło strzelające ku Brühlowej wejrzenia.

Zachwycającą była dnia tego pani Brühlowa. Dziwili się wszyscy, jak mężowi i jej starczyć mogło na ten przepych niezmierny, który ją otaczał. Chciała snąć być najpiękniejszą Frania, i włożyła białą, złotemi przetykaną deseniami suknię, w której wyglądała dziewczęco... Prześlizgnie do wdzięcznej twarzy zastosowana fryzura, której długie loki spadały na gors śnieżny, brylantowe kolczyki w uszach, lśniące jak dwie gwiazdy, nad czołem strumień diamentów z wielką perłą, która się chwiała w pośrodku, brabanckie koronki, których matowa białość wychodziła malowniczo na połyskującym stroju atłasie; na tle śnieżnym bukiet kwiatów żywymi barwami młodości śmiejący się, czynił ją królową tego wieczoru.

Piękną była Moszyńska z surową swą twarzą, przypominającą Cosel, ale z Brühlową walczyć nie mogła. Wszystkich oczy zwracały się ku niej, ona nie patrzyła na nikogo. Wsparta na rękę zwróconą była ku scenie, ale jej oczy wlepione w jakiś kątek, stężały bezmyślnym wzrokiem.

Zazdroszczono Brühlowi — on się uśmiechał. Co się w jego sercu działo, któż zgadnie. Strojny jak żona na cześć króla przepysznie, wyglądający młodo, świeżo, miał raczej pozór roztargnionego próżniaka, niż najpracowitszego z ministrów, na którego ramionach spoczywały państwa losy. Po pierwszym akcie wystąpił balet francuzki, wiedziony przez p. Favier, ze sławnym solistą Desnoyers, z paniami Rottier i Vauriaville, które w strojach idealnych wieśniaczek, wyglądały jak boginie.

Wybór dworu, najdostojniejsi panowie, najpiękniejsze panie, po operze zaproszeni byli na uroczystą wieczerzę, naśladowaną z tych tradycyjalnych Augusta Mocnego, co się zwykle kończyły małańką orgią w ciasnym kółku.

Olbrzymią zwana sala na zamku, wcześniej już tysiącami świec była uilluminowaną; w pośrodku przepysznie zastawiono stół na osiemdziesiąt osób dla gości, a na podwyższeniu dla króla i królowej, która do swojego stołu mało kogo, nawet z posłów cudzoziemskich przypuszczała. Wedle etykiety dworu austriackiego, tylko kardynałowie zapraszani doń bywali; uczyniono jednak wyjątek dla pierwszych ministrów. Wprost z opery wszyscy przeszli do sali. Rzadko można było widywać króla w tak słonecznym humorze. Królowa była jak zazwyczaj chmurną, niespokojną i smutną. Piękności co ją otaczały, w których blasku gasł jej majestat, smuciły ją i drażniły, choć król najmniejszego nie dał powodu do zazdrości. Owszem, czułym był i nadskakującym, a na żadną z pań nie wejrzał nawet.

Ceremonialnie bardzo podawano wieczerzę, przynoszono uroczyście półmiski, a za każdym zdrowiem, muzyka na galerii odzywała się trąbami i bębniami, dając znać światu jaki toast wznoszono, a działa na Krakowskim Przedmieściu stojące, były salwy na cześć królewskiej pary.

Wszyscy w dobrych humorach po dziesiątej wstali od stołów; król z Sułkowskim i Brühlem cofnął się spieszonym krokiem do swoich pokojów. Przechodząc obok rzędem stojących pań, August III miał głowę podniesioną, z pewną afektacją patrzył przed siebie; jednak mijając Brühlową, która nań śmiało spoglądała, wymienił z nią niedostrzeżone, błyskawiczne wejrzenie.

Sułkowski ani się go domyślał, ani zobaczył. Miał właśnie zamiar korzystając z humoru pana, poufałe z nim pomówić i życzył sobie odprawić Brühla, nie wiedział tylko, jak się miał wziąć do dzieła. August z równą czułością dnia tego patrzył na obu.

Już byli weszli do pokojów, gdzie szatny czekał z szlafrokiem, a kamerdynerowie natychmiast pomogli do zdjęcia stroju. Oba ministrowie stali przed rozpromienionym panem, gdy wyczekawszy, aby się służba miała czas oddalić, Sułkowski szepnął coś cicho królowi, który się uśmiechnął nieznacznie i Brühla wskazał.

Skinienie to jego baczności nie uszło: zbliżył się.

Sułkowski żywo sygnął mu słowami do ucha. Widać było jak one nie smakowały Brühlowi, który wzrok zwrócił na pana, zawahał się nieco, jakby mu żal było stanowisko opuścić, ale z uległością skłoniwszy się, natychmiast się oddalił.

Po odejściu jego, gdy drzwi się zamknęły, August III uśmiechnął się siadając, wskazał na nie i rzekł ze zwykłym swym lakonizmem:

— Niema jak ty i Brühl.

Ostatnie nazwisko nie było może do smaku Sułkowskiemu, ale je przelknąć musiał.

Przed królem stały ofiarowane mu dnia tego obrazy, w które się z widoczną radością wpatrywał. Sułkowski śledził wzrok, rad był myśli odgadnąć.

— Brühl w istocie — rzekł po namyśle — jest z wielu względów nieoceniony. I macie z nim dobrze; posłuszny, skromny, daje sobie wytłumaczyć co potrzeba, nie sprzeciwia się nigdy, kieruję nim jak chcę, jestem z niego kontent.

Król tylko głową pokiwał. Może mu się to trochę dziwném zdało, że Sułkowski pozwał sobie być zadowolnionym z niego, ale nie okazał tego po sobie.

Minister chodził swobodnie po pokoju.

— Nie mam najmniejszego powodu — mówił dalej, w sprawach powierzonych mi z Brühlem się ścięrać. Człowiek pojętny, zdolny, ma jednak wady...

Król bystro spojrzął — Sułkowski kończył nie zmieszany:

— Niepomierne rozrzutny i żyje na zbyt wielką stopę... będzie *nas* wiele kosztował.

To mówiąc, stanął hrabia przed królem, jakby czekał, co mu na to powie — Król głośno chrząknął, spojrzął w górę i milczał.

— Dobry człek, dobry człek... szepnął nareszcie, widząc że hrabia na odpowiedź czeka. Resztę dopełnił milczący pan uderzeniem ręki po krzesła poręczy, i zapatrzył się na obrazy.

— Gdyby pan mój miłościwy pozwolił mi wypowiedzieć całą myśl moją — ciągnął Sułkowski.

Głowę tylko potwierdził to August.

Minister stanął i pochylił się nieco.

— Nie teraz, bo nam Brühl jest potrzebny, ale później — dodał zcicha — należałoby go z podarkiem jakim usunąć. Rozrzutności się nie oduczysz, małemi urzędnikami obejdziemy się bez niego, oszczędzi się wiele, a nie da mu czasu nabrać ambicyi. Choć ja się w sercu mojego miłościwego pana nie lękam współzawodników, ale na cóż go czynić nieszczęśliwym i wbijać w pychę.

W Czechach Kolowrathom cesarzby pewnie na prośbę króla nadał jakie dobra. Mogliby później tam spocząć sobie.

Patrzył Sułkowski, jakie to na królu uczyni wrażenie, ale zapatrzony był tak w obrazy, że zdawał się nie chcieć słuchać, czy słyszeć planu tego.

Hrabia parę razy dorzucił: — później, później! — a August popatrzawszy nań, wstrzymał się od zaprzeczenia i potwierdzenia, zbył go milczeniem.

Po krótkiej chwile wstał król przypatrywać się obrazom, kazał sobie poświecić, zawrócił się po pokoju kilka razy, popatrzył w zwierciadło, pogładził brodę i ziewnął. Był to znak, że chciał iść do łóżka, a dla Sułkowskiego odprawa. Niedosć zadowolniony wieczorną audyencyą przystąpił do ucałowania ręki pańskiej i bardzo powoli się oddalił.

Gdy się to działo na zamku, Brühl pod jakimś pozorem odesłany, odszedłszy z pokorą, kazał się nieść do domu. Godzina już dosyć była spóźniona. Dziwnym trafem złożyło się tak, że o kilka kroków przed jego *port-chaise*, dostrzegł ludzi niosących drugą podobną i poznał w niej lektykę żony. Zatrzymała się ona w sieni pałacu i państwo razem prawie wysiedli. Brühl rzadko się spotykający z żoną, z wielką uprzejmością podał jej rękę. Zrazu zdziwiła się tém i niemal cofnąć chciała, ale po namyśle z szyderskim tłumionym uśmiechem, ostrożnie wzięła rękę męża, i nic nie mówiąc, zwolna z nim poszła na górę.

Brühl na wschodach nie odezwał się wcale. Na górze w salii chociaż pani zdawała się chcieć od jego towarzystwa uwolnić, nie puścił ręki i przeprowadził ją do jej pokojów.

Znaleźli się znowu w tym gabinecie, w którym pierwszego wieczoru po ślubie, tak ciekawą rozmową rozpoczęli małżeńskie pożycie...

Od tej chwili spotykali się tylko albo na bardzo krótko, albo przy świadkach. Rankami matka bywała u córki, zabierała ją z sobą, a niekiedy pod różnymi pozorami nie dawała jej nawet powracać do domu. Brühl miał tylko obowiązek dogadzać wszystkim zachciankom żony, co spełniał zawsze z jaknajwiększą uprzejmością; zresztą byli z sobą ni źle ni dobrze, jak dwie osoby prawie obce, które się muszą ocierać o siebie, starać jak najmniej zawadzać sobie. Brühl był cierpliwy i grzeczny. Spotykał niekiedy ciekawe oko żony wlepione w siebie, badające go, i uciekające natychmiast, gdy je na tém badaniu pochwycił.

Frania wielce się przez ten czas zmieniła, nabrała śmiałości jeszcze większej i fantazyj dziwnych, nauczyła się rozkazywać w domu i wymagać aby w mgnieniu oka jej wola była spełnioną. Brühl widywał ją nienaturalnie wesołą, czasem szyderską nielitościwie, niekiedy zalotną z obcemi aż do rozbudzenia zazdrości nawet w mężu zrezygnowanym i obojętnym, jakiego on grał rolę. Frania stawała się piękniejszą codzien. Jakkolwiek rozmiłowany w Moszyńskiej, chociaż mu przypisywano czule stosunki z piękną Albuzzi, był młodym i nie mógł być obojętnym na te wdzięki, które się zdawały z niego i jego namiętnych wejrzeń urągać...

Gdy weszli do gabinetu, pani Brühl odebrała mu swą rękę i poszła do zwierciadła, zrzuciła przed nim rękawiczki i błyskotki. Wśród tego zajęcia, jakby się spodziewała że mąż ją pożegna i odejdzie, odwróciła się zdziwiona ku stojącemu uporczywie między progiem a stolikiem.

Wzrok ten wyraźnie mówił: pan tu jeszcze? Na twarzy Brühla błędził uśmieszek niezrozumiały, niby odpowiedź: tak pani, czekam.

— Czy mamy co z sobą do pomówienia? — zapytała obojętnie.

— Pani mi może pozwoli usiąść, spocząć i choćby na jej piękność popatrzeć z uwielbieniem.

Odwróciła się Frania i rozśmiała, ruszając białemi ramionami; ale natychmiast wróciła oczyma do zwierciadła, nie bez pewnego zalotnego ruchu, który nie uszedł oczu Brühla.

— Przyznasz pani, że moje położenie bardzo szczególne?

— Moje także, to prawda; lecz ani pan, ani ja dziwić się mu nie powinniśmy.

— Paniś mi uczyniła nadzieję, że kiedyś... możesz mieć choć fantazję dla męża.

— A! może! nie przypominam sobie — odpowiedziała obojętnie — to pewna, że jej nie mam wcale. Jedź pan sobie na karty do Moszyńskiej, lub na zabawę do Albuzzi, ale mnie daj pokój. Nudzisz mnie.

— Ja tylko proszę o chwilę rozmowy.

— Mówmy, ale o czém inném.

— Więc może o królu? — rzekł Brühl.

— Nie wiem czy mi wolno — śmiejąc się odparła Frania.

— Między nami... przecież jeśli nie mamy sentymentów, mamy wspólne interesa.

— Dobrze pan mówisz, a więc...

— Jak król jest usposobiony dla Sułkowskiego? — zapytał Brühl.

Nastąpiło długie milczenie. Ktoby był zstąpił do duszy tej kobiety, mógłby się przekonać, że ją pytanie ubodło. Widziała jak mało znaczyła dla tego człowieka, a przez dziwny kaprys chciała go drażnić i pragnęła mu się podobać, aby mieć przyjemność obchodzenia się z nim srogo. Zapytanie obojętne uraziło ją, ale tego nie pokazała po sobie.

— A! — odezwała się nagle — chcesz pan, bym była szczerą? Sułkowski, wy, a nawet król, nudzicie mnie okrutnie! Co mi tam do waszych ambicji i sporów? Ja chcę żyć!! Król jest lalką bez życia.

— Na miłość Boga! — krzyknął Brühl łamiąc ręce.

— Przecież nas nikt nie słucha — poczęła obojętnie Brühlowa. — Tą lalką kazaliście mi się bawić, albo raczej daliście mnie jej na zabawę, ale nie możecie żądać, abym się w nią kochała! Waćpan wiesz najlepiej, co jest nasz król... Piękny, dobry, niezdolny do niczego, mężczyzna — namiętny bez uczucia, przywiązany bez odwagi, pobożny i zabobonny a lubieżny i rozkosznik, skryty, bojaźliwy, bezmyślny, nudny, śmiertelnie nudny.

— Pani — zawołał Brühl — gdyby to nawet wszystko było prawdą, pani mówić, a mnie się słuchać nie godzi.

— Ziewajmyż — odparła kobieta i otworzyła szeroko usta, a potem padła na fotel jakby osłabła, z głową zwieszoną na piersi, z rękami opuszczonymi bezwładnie; w tej postawie smętniej, kapryśniej, była niezrównanie piękną: Brühl spojrzal i westchnął.

— Pytałeś mnie o Sułkowskiego? — z wolna poczęła Frania...

Minister ruchem głowy potwierdził.

— Któż odgadnie, co się w tej lalce dzieje? czy tam jest serce? czy tam może mieszkać miłość? czy on kogo kocha, czy się może przywiązać? Do Sułkowskiego ma nałóg jak do trefnisiów nadwornych; więcej nie wiem.

— Ale my, jeśli mu panować mamy, pani i ja, ja przez panią — dodał Brühl — musimy go usunąć.

— Jak Watzdorfa do Königsteinu? — brwi marszcząc, podchwyciła Brühlowa.

Wspomnienie tego imienia jak kamień padło między nich; minister się zmieszał.

— Daję pani słowo honoru, że ja Watzdorfa nie posłał do Königsteinu, ale Sułkowski.

— Słowo honoru ministra? dyplomaty?

— Nie, uczciwego człowieka — podchwycił Brühl, rękę kładąc na piersi. — Przecież nie przez zazdrość się go ztąd pozbyto... Ja do niej *dotąd* prawa nie mam.

— Cóż to znaczy *dotąd*? czy pan spodziewasz się mieć to prawo?

— Tak mi się zdaje — grzecznie rzekł Brühl — nie dziś, to jutro, znudzona, ktoś wie? raczysz pani spojrzeć na sługę swego.

— Zdaje mi się, że na to poczekaś pan długo — szepnęła kobieta.

— Będę cierpliwy — odezwał się Brühl.

— *Croyez-y, et buvez de l'eau* — szydersko dorzuciła kobieta.

Brühl drgnął, ale natychmiast z zimną krwią począł.

— Pani powinnaś pomódz do obalenia Sułkowskiego.

Brühlowa spojrzała.

— Tak, matka mi mówiła toż samo. Każą mi się obawiać, aby panny Stein lub jakiejś innej nie wprowadził.

Ruszyła ramionami. — Czyż mnie to obchodzi?

— Ale pani lubisz brylanty, stroje, przepych, życie? — zapytał Brühl. — Spojrzeli sobie w oczy.

— Pani byś na wygnaniu i w ubóstwie żyć nie potrafiła.

Wyrazy te zdawały się trafiać do jej przekonania.

— Bardzo dobrze — odezwała się — obalimy Sułkowskiego, będzie to zemsta za mojego Watzdorfa; będzie to rozrywka. Obalimy tego pyszałka.

Ziewnęła znowu. — Więc skończone? — spytała. — Dobranoc?

Brühl się zatrzymał.

— Właśnie o tym pomówić należy. Obalić go przecie nie można odrazu, potrzeba ostrożności, trzeba...

Zbierał się długo zapewne wykladać teorią obalenia, gdy Frania wstała żywo z krzesła, jakby jej cierpliwości zabrakło.

— To wymaga instrukcyj? nieprawdaż? — poczęła śmiejąc się. — A na cóż ja jestem kobietą? Pan myślisz, że mnie uczyć potrzeba jak być chytrą? jak po kropelce sączyć truciznę? jak podstępnie szeptać słowa? kiedy w ucho rzucić dwuznacznik, co zabija, podejrzanie, co podkopuje?

Al! panie, jam się od dziecka wychowała na dworze, ja patrzałam na was, na mistrzów; jam miała nauczycielkę w matce, jam z kolebki wyniosła umiejętność kłamstwa, wprawę w szalbierstwa, miłość fałszu!

I śmiać się zaczęła dziwnie, prawie rozpaczliwym głosem.

— Bądź pan spokojnym, potrafię obalić jego, a gdy zechcę i gdy mi się to podoba, was, i...

Zamilkła nagle, chustkę przyłożyła do oczów i nie mówiąc słowa, krokiem poważnym, milcząca, weszła do sypialni. Drzwi zatrzasnęła za sobą, słychać było klucz okręcający się w zamku: Brühl pozostał sam.

VI

W małej uliczce pod murem starego miasta, która po wolnej pochyłości schodziła ku Elbie, stał domek w ogródku, wśród drzewek, otoczony murem, z zamczystą bramą. Poznać było po nim łatwo, że go niedawno wzniesiono, starając się, by trochę wdzięczniej od innych kamienic wyglądał. Na ścianach poczepiał budowniczy girlandy kamiennych kwiatów, wkoło okien pospłatał sznury, powyginał ozdoby tak, aby twardy piaskowiec wydawał się miękką masą, którą jeden podmuch fantazyi zmusił ułożyć się w zalotne kształty jakiejś, niewidzianej architektury. Nigdzie linia prosta nie ostała się długo, kaprys rysownika kazał się jej zginać, opadać, zakreślać owale, zacierać kąty, a ze szpar patrzyły wszędzie to wytrysłe niespodzianie liście, to wymarzone owoce, to gałęzie suche zwijające się pośmiertnym uściskiem.

Na bramie stały dwa wazy, niby z Włoch kędyś skradzione i przyniesione aby je przypominały. Z jednej strony domu wystawka bluszczem opleciona, przypominała też włoskie *pergole*. Przodem kamieniczka zwrócona była ku Elbie, jakby na miasto patrzeć nie chciała. Zdala przed nią świecił pałac Japoński. Posadzone drzewa choć młode rosły tu bujnie i już trochę cieniu rzucały, a dwie starsze lipy pozostałe z dawnych czasów, z popróchniałymi pniami, szeroko rozciągały gałęzie.

Nad znakiem u pierwszego piętra, jednego wieczoru jesieni na balkonie kamiennym, siedziała kobieta sama jedna. Istny to był obraz tęsknicy. Młoda, piękna, smutną była jak noc; czarne brwi ściągnięte, w ciemnych oczach świeciły lzy niewyронione, ręce oparła na kolanach obie, na białych dłoniach zwiesiła głowę przechyloną i patrzyła w dal zadumana.

Łatwo w niej włoszkę poznać było, bo tak bujnie rosną tylko kobiety i kwiaty pod tamtym słońcem ożywczym; tak piękne kształty nadaje tylko natura wybranym dzieciom w atmosferze woniejącej kwiatem pomarańczowym i morskimi zapachy. Na różowych ustach wół otwartych, z pod których perłowe wyglądały zębki, błąkała się piosenka. Myśl ją przerywała, głos ustawał i po chwili jakby od niechcenia, cichy płynął z piersi, niby senny, stłumiony i umierał milczeniem znowu i rodził się westchnieniem.

Była sama z sobą, cała w sobie, skamieniała tęsknicą, zdrętwiała nudą, znękana życiem. Pieśń płynęła z nałogu, lzy płynęły z serca.

Ubrana jak w domu i do domu, mogła śnić o włoskiej cieplej jesieni, tak dzień był gorący, a powietrze parne prawie. To też za ledwie osłoniona, dała białej sukni spadać z ramion, a czarnym włosom płynąć po ziemi i na nogach miała tylko pantofelki, a ręce do pół wychodziły jakby na okaz dla snycerza. Wieku trudno było odgadnąć, pierwsza młodość uciekała ledwie, a poczynają się te lata, co tęsknią już za nią i pragną przyszłości a lękają się jej razem. Oczy już płakać umiały, a usta śmiały się nieraz pocałunkom i nie zdawały się ich pragnąć. Myślą była gdzieś daleko, za morzami, za górami, ale nie tu nad smutną Elbą i pod niebem bladym Północy.

Niekiedy jakby wewnętrzna jakaś fala nią poruszała, kołysała się tak siedząc i naówczas śpiewka głośniejsza dobywała się z jej piersi, ła spłynęła po twarzyczce, oko po niej czarniejszym i płomienistszym się zdawało.

Na lewo w pomarańczowych blaskach zachodziło słońce, ku tej części nieba miała zwrócone oczy. Wtém zaszeleściło coś w ciasnej uliczce: słychać było jakby pośpieszne kroki. Odgłos ich uderzył ucho zamyśloną kobiety i obudził ją ze snu. Strwożyła się, stanęła, słuchała w milczeniu.

W bramę ktoś stuknął. Przerazona, otulając się suknią, chwytając włosy rozrzucone, wbiegła do domu i znikła.

Drugie stuknięcie dało się słyszeć w bramie, w domku było cicho; ktoś uderzył raz trzeci i furtka się otwarła. Mężczyzna stary, odarty, w bieliźnie tylko i narzuconym na ramiona aksamitnym przyodziewku zszarzanym, w czapce włóczkowej zblakłej, na siwych rozczochranych włosach, wyjrzał rozglądając się ciekawie. Przed bramą stał płaszczkiem otulony młody mężczyzna, pięknej twarzy, który nie patrząc i nie pytając, natychmiast wcisnął się do wnętrza. Stary pomruczawszy zamknął za nim i włókł się do domu.

Po włosku zapytał go obracając się przybyły, czy Teresa w domu, i odebrał obojętną odpowiedź potwierdzającą. Szybkimi krokami posunął się do domku, którego drzwi od ogrodu stały otworem. Sień na przestrzał była pusta, przez drugie drzwi widać było dwa laurowe drzewa w wazonach, kwiatem bujnym okryte. Na wschodkach wszędzie

pusto było i cicho, a gdy przybyły gość drzwi usiłował otworzyć, oparły mu się. Pukaniem długiemi rozbudził wreszcie starą kobietę, z siwym włosom, napół wypełzłym, nędznie ubraną, która popatrzawszy nań, ustąpiła mu i wpuściła go do środka. Pokoiki przybrane wdzięcznie mogły być wesołe, a smutne były jak pustka.

Mnóstwo w nich porozrzucanych rzeczy, ubiorów, nut, w największym nieładzie błąkało się po sprzętach nowych a już zniszczonych. Drzwi szklane na balkon stały otworem. Gość wszedł tu szukać kogoś i znalazł tylko niski stołeczek, na którym włoszka siedziała przed chwilą. Widok ztąd tak był ładny, że się zatrzymał spojrzeć i zadumał trochę.

Wtém po zanim zaszeleściła suknia. Powolnym krokiem szła ta sama kobieta, którąśmy widzieli przed chwilą, ale w sukni ciemnej, szerokiej, którą na siebie narzuciła, i z włosami związanemi niedbale. Nóżki tylko pozostały bosc, a na twarzy ten sam wyraz znudzenia.

Gość odwrócił się witając, odpowiedziała mu skinieniem głowy. Rozmowa toczyła się po włosku.

— Cóż ci to jest? — spytał przybyły.

— Jestem chora, no! umieram z nudy i tęsknoty — odparła włoszka zniechęconym głosem — tu żyć nie można, nie, nie!

— Zkądże te rozpacz?

— Z powietrza! — zawołała kobieta rzucając się na sofę.

Mężczyzna wziął krzesło i siadł przy niej blisko. Oparła się na ręce, na której białych ale przybrukanych palcach widać było pełno pierścieni.

— Z powietrza! — powtórzyła — tu nie ma czém oddychać! nie ma czém żyć; tu trzeba umierać!

— Cóż ci to?

— Pytacie? widzicie.

— Więc znowu te tęsknoty wracają?

— Nigdy mnie nie opuszczały.

— Znowu zawiniła pewnie Faustyna — rzekł przybyły.

Był nim Brühl, jak się domyśleć łatwo.

— Faustyna? — powtórzyła rzucając nań okiem gniewnym. U was jest jedna ona: na myśli, na języku, we wszystkich.

— A dlaczegoż nie starasz się zaćmić Faustyny? podobać N. Panu, zwyciężyć ją? Starsza...

— Stara jęzda jak świat — przerwała żywo Teresa — obrzydła kuglarka. Ale z tym królem...

— Proszę z respektem o królu!

Teresa usta wykrzywiła.

— Więc nic nie powiem.

Posiedzieli trochę w milczeniu.

— Dam ci jedną dobrą radę — odezwał się Brühl — gdy śpiewasz, zwracaj się do króla, patrz na niego, uśmiechaj mu się, bądź zalotną. Gdy on ci pokłaśnie, będziesz królową.

— A tymczasem królową stara Faustyna. Król ma nałogi, fe! a nie ma oczów ni smaku. Śpiewa mu głosem ochryplym, włosów połowę ma siwych. Cóż z tego? Ona *diva* a my *comparsy*?

Z boleścią domówiła tych słów.

— Słuchaj Teresso — rzekł Brühl — nie rozpaczaj, to się zmieni. Faustyna wróci do domu, ty zostaniesz.

— Wolalabym przeciwnie! — mruknęła Teresa i zamilkła nagle.

— Dziś nie ma czasu mówić o tém — odezwał się Brühl — za chwilę, tylko co nie słyhać, ktoś zapuka do bramy, niech go stary Beppo wpuści. Nie mogłem swobodnie, niepostrzeżony rozmówić się z Padre Guarinim, przyjdzie tutaj. Daj mu co słodkiego, tylko nie ust twoich, które są najslodsze, i zostaw nas samych.

Teresa słuchała obojętnie; potem jakby zmuszona do posłuszeństwa wstała z sofki i gnuśnie poszła ku drzwiom, wołając starą matkę, której kilka słów szepnęła. Brühl niecierpliwie przechadzał się po pokoju, patrząc w ziemię.

Teressa zwróciła się, spojrzała nań, i poszła nazad na swe miejsce.

Głuche uderzenie do furtki, zaledwie usiadającą poruszyło, wstała gotując się na przyjęcie Guariniego, rozpatrując po izbie, którą sprzątać dopiero zaczęła.

Żwawy krok dał się słyszeć na wschodach, długa twarz jezuity, nos jego spuścisty i dobroduszny uśmiech dał się widzieć na progu.

Zobaczył krzątającą się Teresę.

— Porzuć! — zawołał — jam nie gość, ja u moich w domu. Beppo mnie w rękę pocałował, stara o mało nie uścisnęła aż mi lżej, gdym ze współwyznawcami.

Teressa także pocałowała w rękę Ojca, co mogła zabrała i znikła.

Brühl szybko się zbliżył do Guariniego.

— A cóż? — zapytał — jedzie? nie jedzie?

— Jedzie — rzekł śmiejąc się Ojciec — król sam mu powiedział, że powinien się rozerwać po pracy.

Rozumiesz mnie? — rozśmiał się.

Nadzwyczaj zrećnie rzecz była osnuta. Nigdybym się nie spodziewał, ażeby królowa tak potrafiła dyssymulować. Z największym współczuciem dla niego namówiła króla, aby go sam do tego zachęcił.

„Wiem, rzekła, że ci Sułkowskiego brak będzie, że zatęsknisz po nim... my ci go nie potrafimy zastąpić, ale on się zabija tą pracą. On stworzony na żołnierza, do życia czynnego... niech sobie spocznie, niech się przejedzie i powącha prochu: wróci odmłodzonym. Król w rękę pocałował za to królowę i ucieszył się z jej współczucia dla przyjaciela... Dziś jeszcze rozkażę Sułkowskiemu jechać i dam mu piękny wiatyk na podróż. Nie trzeba żałować na to pieniędzy; niech jedzie! niech jedzie!” — zawołał O. Guarini.

Brühl mu wtórował.

— Niech jedzie!

— Zabawi kilka miesięcy — mówił Padre — będziemy mieli dosyć czasu, aby przygotować odprawę. Król się odzwyczaiał od niego.

Brühlowi twarz się wyjaśniła.

— Przez ten czas, ja wam nie potrzebuję mówić, co do czynienia macie — dodał Guarini. Wy nie potrzebujecie działać przeciwko niemu osobiście, toby było szkodliwem. Zostawcie to królowej i mnie; Sułkowski dość swoją dumą narobił tu sobie nieprzyjaciół, jak skoro ludzie postrzegą, że szczęście może się odwrócić od niego, pomogą nam nieproszeni. Wam należy dotrzeć wiernym przyjacielem do końca.

— Tak też myślałem — odezwał się Brühl — będę nawet czekał, aż mi o wyjeździe powiedzą, a może zlekka przeciw niemu protestował, dowodząc, że mi się bez Sułkowskiego obejść będzie trudno.

— Doskonale — zawołał Guarini — *Al nemico il ponte d'oro che fuge...* gdy król zażąda pieniędzy, sypcie.

— Choćby ostatnie — odezwał się Brühl i zatarł ręce, a potem jakby sobie przypomniał obowiązek, księdza uścisnął i w rękę pocałował.

— *Lontano degli occhi, lontano dal cuore* — pomrukiwał Padre powoli. — Król się odczy od niego, a wy mu go zastąpicie.

Zaczęli chodzić po pokoju obaj... Padre jednak był zamyślony.

— Żonę zostawia, będzie mu donosiła — rzekł cicho.

— Koło niéj trzeba mieć ludzi.

— Dosyćby było jednego — uśmiechnął się Guarini — ale tamto pono trudno... a i kandydata na tę funkcję znaleźć mi nie łatwo.

Zaczęli coś szeptać pocichu...

— *A goccia à goccia si cava la pietra* — dodał Padre...

Z drugiego pokoju wyszła w tej chwili powoli Teressa, trochę już przez poszanowanie dla duchownego przybrana, niosąc w ręku talerz owoców... który z uśmiechem na stoliku postawiła.

Ksiądz ją na sposób włoski po ramieniu poklepał, ona pocałowała go w rękę. Dobył z sukni medale na sznurku, a było ich razem związanych kilka i wydzieliwszy jeden Teressie, dwa przyrzucił dla matki i starego Beppa, za co otrzymał jeszcze jeden rękę pocałunek.

Mówili potem z Brühlem długo, cicho, a żywo; minister z pokorą przyjmował instrukcje, lecz z zamyślenia i roztargnienia jego wnosić było łatwo, że sam w tej chwili układał swe postępowanie. Zaczynało już dobrze zmiernić, gdy O. Guarini się wyniósł pocichu. Teresa wbiegła, aby coś powiedzieć czy prosić o coś u Brühla, ale i ten już spieszył, obiecując jej przyjść później.

Została więc znowu sama i siadła w pustej izdebce tak zadumana i smutna, jak wprzódy. Stara matka z założonymi rękami, milcząca, przyszła naprzeciw niej przysiąc także; lecz tęsknica na nie obie jakaś powiała i przemówić nie miały o czem: wzdychały tylko.

Jeszcze nie myślano o zapaleniu lampki, aby przez otwarte drzwi do domu nie ściągnąć równie dokuczliwych z nad Elby, jak włoskie komary, gdy stukano znowu do bramy. Teresa się nie podniosła nawet z siedzenia, choć może ciekawą była kto przyjdzie; któż jej tu mógł jaką przynieść pociechę?

Na wschodach słychać było głos i rozmowę włoską z Beppem, po tym głosie poznała Albuzzi kobietę, i machinalnie przyglądając włosy zerwała się z siedzenia, a matka widząc to, wstała także. W mroku zobaczyły na progu stojącą postać kobiety słusznego wzrostu, po pańsku ubraną i pańskiego oblicza.

Przybyła strojną była jak najwykwintniej, w jedwabną suknię, fryzurę, koronki i obwieszona ulubionymi włoskimi błyskotkami.

Teresa z podziwieniem poznała w niej swoją nieprzyjaciółkę i współzawodniczkę, Bordoni-Hasse, słynną Faustynę.

Zakulisowa królowa rozpatrywała się w mieszkaniu swjej rywalki i zdawała namyślać co ma powiedzieć.

Teresa stała milcząca naprzeciw niej.

— Widzisz, przychodzę do ciebie: ja! — zawołała, śmiejąc się Faustyna — czekałam próżno, ażebyś ty na zgodę przyszła do mnie; widzę, że ja muszę ci pierwsza podać rękę! E! Teresso moja! myśmy przecie obie włoski, obie z pod tego pięknego nieba, pod którym pomarańcze i cytryny kwitną i zamiast sobie życie słodzić, my je sobie trujemy. Daj mi rękę, bądźmy siostrami!

Teresa zawahała się, na płacz się jej zebrało i wybuchnąwszy nim, rzuciła się na szyję Faustynie.

— Jam nigdy nie była nieprzyjaciółką tobie! — zawołała — jam ci nie odebrała kochanka, nie powiedziała złego słowa.

— A! dosyć! dosyć! niech przepadnie przeszłość — odparła Faustyna — nie wspominałmy jej, weźmy się za ręce i idźmy zgodnie. Życie nasze i tak ciężkie a smutne, trują je drudzy; myśmy nie powinny.

Faustyna westchnęła.

— Przyszłam do ciebie, bo mi cię z duszy żal; ale cóż pomoże dobra rada i dobre słowo? przyjdzie zapóźno, a co konieczne, tego żadna siła nie przemoże.

Zamilkła chwilę; matka Teresy wyszła powoli, ona sama na niskim stołeczku siadła u nóg Faustyny, podparła się na rękach jak wprzódy i zadumała.

— Ludzie nam szczęścia zazdroszczą — mówiła Faustyna — a my łzy łykać musimy. To nie nasz świat... a na dworze ich, jak na ich lodzie ostrożnie chodzić potrzeba, ażeby się nie pośliznąć i nie paść. Szczęściem ja mam króla, a ten mojemu głosowi będzie wiernym. Dobre stworzenie, które jak do żłobu idzie do swjej łoży, a ja mu obrok zasypuję piosenką.

Rozśmiała się, pochyliła do Teresy i pocałowała ją w czoło.

— Ciebie mi żal, tyś wpadła w ręce. Albuzzi...

Zniżyły głos. Teresa obejrzała się bojaźliwie i szepnęła cicho i ostrożnie: ja się własnej matki boję!

— A ja nikogo — odparła Faustyna — ale znaszże ty tego przyszłego króla, który ci chustkę rzucił?

Wzdrygnęła się. To straszny człowiek! Miły, słodki, dobry, ale mi jego śmiech syczy jak gadzina; on ma uśmiechy ale serca niema. A taki pobożny, a taki pokorny...

I wstrząsała się Faustyna.

— Przyszłam doprawdy uznać się nad tobą, bo on wkrótce nam tu wszystkim panować będzie... a biada nam pod panowaniem jego, jeśli z nas która sprzeciwić mu się odważy: *Poverina!*

Teresa zmilczała; Faustynie lice gorzało.

— Dla ciebie dobrym on może! lecz gdybyś ty jak ja codzień słyszała jęki i skargi na uciski i tłumione łzy ludzi, o! jakbyś go nienawidziła.

— Moja dobra Faustyno — odezwała się w końcu Teresa — trafiłaś na dzień taki, gdy mi to łzy jeszcze nie oschły od płaczu. O! myśmy tu bardzo biedne. Śpię i we śnie słyszę szum mojego Adryatyku, zdaje mi się, że tam znowu na progu domku wieczorem; *luciole* migają w powietrzu. Andrea brzdąka na gitarze... piosnka brzmi w powietrzu, wiatr przynosi zapach kwiatów i liści. Budzę się, słucham: szumi, ale wicher, szumi ze śniegiem i brzmi mowa nienawistna i ludzie się śmieją, których szyderstwo rani, a miłość upokarza.

Zakryła twarz rękami Teresa.

— Droga moja — odezwała się Faustyna, całując ją — więc nie dogryzajmy sobie wzajem, pomóżmy na cierniowej drodze.

I podała jej rękę, szepcząc w ucho:

— Strzeż się tego, który cię opanował: straszny jest! i niech cię Madonna ma w swęj opiece.

Teresa wstała, odprowadzając ją do drzwi.

— Adio! — rzekła — niech ci Bóg płaci dobre serce; przysłaś w smutku... jaśniej mi teraz, gdy nas dwie razem a nie przeciw siebie.

Tak się rozstały, a zamyślona Faustyna, której *port-chaise* czekała u bramy, szepnęła ludziom, ażeby ją nieśli do domu.

Przez odsłonięte okna lektyki mogła widzieć wszystko, sama nie będąc widzianą. Z uliczki, przy której stał nowy domek Albuzzi, czekając aż jej wspaniały protektor rotundę wzniesie na Frydrychstacie, Faustyna prędko dostała się do bramy i miasta. Wązką uliczką musiała przejeżdżać na Zamkową. Z roztargnieniem spoglądała przeciwko siebie. Mrok w mieście nie był jeszcze tak gęsty jak w domach, twarze ludzi rozeznac było łatwo. Z przeciwnej strony spostrzegła niesioną szybko od zamku lektykę; poznała, a raczej domyślała się w niej Sułkowskiego, którego blada twarz i czarny wąsik, mignęła jej wśród cieni.

Szyby dwóch lektyk o mało się nie otarły o siebie, Faustyna, jakby nagle jakies rozbudziło się w niej męztwo, w chwili, gdy lektyka Sułkowskiego mijała ją, zadzwoniła w okno swojej i zawołała:

— *Fermate!*...

Sułkowski, który był głęboko zanurzony na siedzeniu, wychylił głowę i spojrzął... Lektyki obie stanęły, ludzie niosący postawili je tak okno w okno, że siedzący w nich wygodnie z sobą rozmawiać mogli.

Spuściła okno Faustyna i wychyliła się wzruszona. Minister ze swęj strony zdziwiony trochę, zbliżył twarz ku oknu.

— Niech wasza Excellencya trochę każe ludziom ustąpić, albo pozwoli mi mówić po włosku; potrzebuję poufale, choćbym zginąć miała, mówić z wami.

Na te słowa hrabia drgnął i przechylił się ku niej.

— Piękna divo — zawołał — jeśli chodzi o jaki spór, na to jest padre Guarini; jeśli idzie o łaskę jaką, król pan nasz nigdy wam nic nie odmawia, a ja... ja czasu nie mam, piękna pani.

— Hrabio, tu nie idzie o mnie! ani o łaski, bo temi mnie obsypujecie, i ja od was nic nie żądam, nic... idzie o was i o króla — odezwała się śmiało Faustyna.

Sułkowski zdawał się nie rozumieć, jednakże kazał podnieść wieko, wydobyl się z lektyki i podszedł ku śpiewaczce.

— Jestem na wasze usługi i słucham — rzekł z uśmiechem.

— A gdybyście też i wierzyć nie chcieli! — westchnęła...

Hrabia milczał, widać było zniecierpliwienie, które przemódz usiłował.

— Hrabio — mówiła żywo Faustyna — prawdaż to, że się oddalacie? że myślicie odjechać? że się usuwacie, i zostawujecie plac wolny nieprzyjaciółom waszym?

Sułkowski poczał się śmiać.

— Ja nie mam nieprzyjaciół — rzekł spokojnie — a gdybym był tak szczęśliwy i miał ich (bo za zaszczytbym poczytał zarobić na nieprzyjaźń służąc panu), wcalebym się ich nie lękał.

— Czy wy niedowierzacie? — przerwała Faustyna — i szczerym nie chcecie być z biedną śpiewaczką! Ale z za kulis wiele widać świata, ale za niemi lepiej się poznaje ludzi niż w salonach; ja wam hrabio dobrze życzę, bo wy kochacie króla i chcecie dobra dla tego kraju, który ja za drugą uważam ojczyznę. Wy jesteście czysti i pragniecie, aby pana kochano; drudzy myślą o sobie, a o kraj nie dbają wcale.

Namarszczył się Sułkowski.

— Ale któż! kto!

— Jakto, wyście tak ślepi! — zawołała zapalając się Faustyna — czy nie widzicie nic? Czyż ja wam to pierwsza odsłonić i pokazać muszę? Królowa Pani nawet zazdrości wam łaski króla, macie nieprzyjaciela we wszechmogącym Ojcu Guarinim, a współzawodnika w Brühlu. Długo knuty spisek w cichości nareszcie doprowadzili do skutku; was wyprowadzają ztąd aby wasze posiąść miejsce, aby wam serce króla odebrać! I wynie widzicie tego! wy dobrowolnie zaprzędajecie swoją przyszłość! Ten człowiek pochwyti wszystko; dla was tu miejsca nie będzie.

Mówiąc to, załamała rękę. Sułkowski stał, słuchał, ale nie czyniło to na nim wrażenia, drgnął tylko i wnet rumieniec mu na twarz bladą wystąpił.

— Kochana pani — rzekł — to doprawdy sny są i przywidzenia. Ja wyjeżdżam, ale sam prosiłem o to; ja nie mam nieprzyjaciół, a mam serce króla, którego tak jestem pewny, że żadna moc w świecie odebrać mi go nie potrafi...

— Uspokójcie się signora, to są czcze plotki, które około każdego dworu jak komary nad błotami latają. Wierzcie mi, ślepy nie byłem i nie jestem, i oszukać mnie nie łatwo i pozbyć się mnie.

Począł się śmiać wesoło.

— A! signora Faustina — rzekł — wierzcie mi, że wam wdzięczny jestem za tę troskliwość o mnie, za to dobre mniemanie. Wierzcie mi, że o tej naszej rozmowie nikomu w świecie nie wspomnę; zostanie ona między nami.

Chciał odstąpić kłaniając się od lektyki, gdy załamawszy wyciągnięte ku niemu rękę Faustyna zawołała:

— Hrabio! byćże to może, abyście wy do tego stopnia ślepemi byli? Jestże to podobna? Szlachetny wasz charakter nie przypuszcza zdrady, ale ona w oczy bije: wszyscy widzą to, czego wy widzieć nie chcecie.

— Ale bo to są przywidzenia, domysły, potwarze! Brühl winien mi wiele, i aniby się mógł ważyć porwać na mnie, choćby miał tak potężnych sprzymierzeńców jak N. Pani i najczcigodniejszy Padre...

Potrząsł głową.

Faustyna zamilkła i spuściła oczy.

— A więc co przeznaczone, to nieuniknione! *Chi alta corte è destinato muore santo o disperato* — szepnęła jakby sama do siebie — *adio, signor Conte*, i niech Opatrzność was prowadzi i przyprowadza... Nie bawcie długo... Kiedyś może przypomniecie przestrożę głupiej Faustyny, ale już będzie po czasie.

Skloniła głowę smutnie, hrabia ujął ją za rękę ze wzruszeniem.

— Śliczna i dobra Bordoni — rzekł — wierzcie mi, że wam wdzięczny bardzo; zawsze to, coście uczynili, wielkiego serca dowodzi. Mało go jest między nami i cenić go umiem. Lecz nie jest tak źle jeszcze... a! nie. Króla mogę nazwać przyjacielem, ufam mu i nie zawiodę się; bądźcie o mnie spokojni.

Faustyna nic nie mówiąc już, rzuciła się w głąb *port-chaisy*, a hrabia, uśmiechnąwszy się jój i skłoniwszy głowę siadł do swojej.

Lecz zmienił w tej chwili postanowienie, i ludziom co go nieśli, kazał iść do pałacu Brühla.

Godzina była, w której go mógł zastać jeszcze. Zamyślony przebiegł niewielką przestrzęń, dzielącą od niego, w bardzo krótkim czasie. Nie potrzebował ani pytać, ani prosić o przyjęcie, byle minister był w domu, bo przed wszechmogącym Sułkowskim, drzwi się naówczas wszędzie otwierały jak w zamku.

Brühl był u siebie.

Nie pytając więc co robił, Sułkowski wbiegł na górę, nie uważając, że go poprzedził paź, który drugimi drzwiami spadł o nim oznajmić.

Brühl naradzał się z Hennickem, którego odprawił szybko i nim Sułkowski zmuszony przechodzić przez cały szereg sal i pokojów doszedł do gabinetu, padł na kolana przed krucyfiksem stojącym na rodzaju klęcznika, ręce złożył i zatopił się w ekstatycznej modlitwie.

Łatwość, z jaką mu przyszło przybrać tę postawę, dowodziła, że nie po raz pierwszy używał jęj, gdy mu było potrzeba, ażeby go ktoś niby niespodzianie, zastał oddanego modlitwie. Ta postać strojnego dworaka, w aksamitnym fraku, przy szpadce i w peruce fryzowanej, na rozmowie z Panem Bogiem, wydałaby się może śmieszną, gdyby kiedykolwiek modlitwa być nią mogła.

Bardzo często, jak świadczą współcześni, zastawano Brühla zatopionego w takich religijnych rozmyślaniach.

Sułkowski nie pukając, otworzył drzwi i stanął w progu zdumiony; po raz pierwszy w życiu trafiło mu się pochwycić Brühla na modlitwie; oczom swoim nie wierząc prawie, stał nie ruszając się, a Brühl jakby otwierających się drzwi nie usłyszał, klęczał ciągle plecami do nich odwrócony, z głową podniesioną, wydając głośne westchnienia. Wreszcie prawą rękę podniósł i począł się bić w piersi, schylając głowę z taką gorącością ducha, z takim zapalem, jak żebrak pod kościołem, gdy chce na jałmużnę zarobić.

Sułkowski nie ruszał się z miejsca, nie mógł przypuścić, aby to wszystko udaniem było i komedią, wszedł bowiem nie oznajmiony dosyć szybko, a mrok wieczora lektyki jego w ulicy widzieć nie dozwalał.

Ta scena niema trwała długą chwilę. Brühl schylił się do ziemi, rozkrzyżował ręce, słychać było szmer modlitwy. Ilekroć prawa dłoń jego się podniosła, hrabia mógł na niej dostrzedz przywiązany różaniec. Nareszcie zlekka odkaslnął.

Usłyszawszy głos, Brühl jakby przerażony porwał się, poskoczył, a ujrawszy Sułkowskiego, zakrył sobie oczy.

— A! hrabio kochany, przepraszam... wstydzę się... zastaliście mnie na uczynku! Cza-sem dusza potrzebuje zbliżyć się do Stwórcy swojego. Tyle czasu poświęcamy rozkoszom ziemskim, choć chwilę pragnę oddać Bogu i modlitwie⁵.

— To ja was przepraszam — odparł powoli wchodząc Sułkowski — i buduję się istotnie pobożnością waszą.

Przebaczcie mi, żem przerwał modlitwę.

— A! ona się już kończyła! — zawołał Brühl i wskazał kanapę.

Świece dwie palily się już na stole.

Człowiek, który się tak modli, pomyślał w duchu Sułkowski, złym być i zepsutym nie może: to niepodobieństwo. Ciężar mu spadł z serca. Popatrzał na Brühla. Ten miał minę ledwie rozbudzonego po modlitwie, rozmarzonego nią jeszcze, nie ostygłego po ekstazie.

— No — rzekł Sułkowski powoli, rozpierając się wygodnie — wiecie że jadę?

Spojrzał Brühl, nie okazał wzruszenia, smutną twarz przybrał.

— Czynicie, co się wam podobało — odparł powoli — ja ani pochwaląłem tój podróży, anim wam jęj radził! Szczerze powiedziawszy, byłem przeciwko niej i jestem. Naj-przód, że przy królu nikt was nie zastąpi: to próżno. Z wami otwartym być mogę i muszę, powinienem. Z ciężkością mi to wymówić przychodzi, królowa jest panią świętą, pobożną, przywiązaną do króla, ale kobietą. Wpływ jęj, który tylko wasz mógł przeważać, zwiększy się przez to, król popadnie w niewolę jęj i Ojca Guariniego.

Znaleźliście mnie na modlitwie, widzicie, żem pobożny, katolikiem zostałem i jestem nim szczerze; ale, ale nie radbym, aby księża zbyt wyłączny wpływ mieli na umysł króla. Nasz drogi pan i tak aż nadto im jest posłusznym, a zraża swych saskich poddanych.

Sułkowski słuchał z uwagą wielką.

— Mój Brühl — rzekł — masz najzupełniejszą słuszność w tém co mówisz, ja całkowicie podzielam zdanie twoje. Wszystko to prawda. Lecz ty tu zostajesz w miejscu, a ja nie zabawię długo. Masz mi za złe że jadę, ale ja żołnierzem jestem. Król mi dał dowództwo, wojny się spodziewam, przekonałem pana, że jest nieuchronną, że Saxonia korzystać musi z położenia Austrii i upomnieć się o swe prawa. To powód, dla którego chcę wprawy rycerskiej nabyć, jadę więc, jak widzisz, nie dla fantazyi.

⁵Historyczne. [przypis autorski]

— A wolałbym żebyście nie jechali — dodał Brühl. Mówicie, że ja zostaję, ale ja takiego wpływu na króla nie mam.

— Tymczasem wiesz, co ludzie roją i mówią? — zapytał Sułkowski.

Brühl zdziwiony podniósł głowę.

— To w istocie ciekawe — opowiadał Sułkowski powoli. Przestrzegają mnie, abym się miał na baczności, że na mnie wy z Ojcem Guarinim uknuliście spisek, że oddalacie mnie umyślnie, aby podkopać i obalić.

Brühl ręce załamał, zerwał się z krzeselka i wybuchnął gwałtownie:

— Dajcie mi tego potwarce! Na mnie, na mnie to śmieją mówić!!

Ha! nie ma na świecie nic, czegoby obluźać niemożna. Na mnie!! Ja i Ojciec Guarini! ja, który go się lękam jak ognia, ja i królowa, która mnie nie cierpi. No, powiedcież!!

Ja miałbym się porwać na was, mizerny robak przeciw człowiekowi, którego król przyjacielem nazywa. A! toby było okropne, gdyby nie było śmieszne, głupie, i podle!!

— A! a! uspokójże się — śmiejąc się, obojętnie zawołał Sułkowski — powtarzam ci to tylko, abym dowiódł, co ludzie marzą, o co posądzają. Przecież nie sądzicie, abym wam nie ufał i lękał się.

I po chwili dorzucił:

— Mógłby zapewne człowiek ambitny a miłkiego rozumu porwać się na co podobnego; lecz srodzeby tego musiał pożałować. Ja króla jestem pewnym, dla mnie on nie ma tajemnic.

Ruszył ramionami pogardliwie.

— Wszystko to prawda — rzekł poruszony Brühl — ale kiedy tak jest, tém mocniej bym obstawał przy tém, ażebyście się podróży wyrzekli.

— Przepraszam cię, to właśnie powód, dla którego ja jechać muszę, ażeby dowieść głupcom i przekonać ich, iż się nikogo nie lękam, że się z tego śmieję, że gardzę.

Ramionami rzucił i Brühl ręką machnął.

— A że to niema sensu! to gdzieś ulica wymyśliła, albo z Berlina przyszło, gdzie się dla Saxonii plotki płodzą... to głupie.

— Mój Brühl, u mnie wszystko gotowe, jutro ruszam do Pragi — wtrącił, rozmowę umyślnie przerywając Sułkowski — nie bez przyczyny obieram tę drogę. Muszę Pragę strategicznie obejrzeć, bo my ją brać i zająć natychmiast będziemy zniewoleni. Chcę się przekonać, jakich sił potrzebować możemy, jaką obrać drogę. Jutro rano się puszczam, proszę cię, pożegnałbym żonę waszą.

Brühl pochwycił za dzwonek.

Wszedł galonowany kamerdyner.

— Pani w domu?

— Tak jest.

— Sama?

— Tak sądzę, ekscelencyjo!

— Oznajm hrabiemu Sułkowskiemu z pożegnaniem i mnie.

Kamerdyner wyszedł żywo, w pokoju panowało milczenie.

Bardzo prędko otworzyły się drzwi.

— Pani prosi!

Sułkowski z ciężkością, jakby zmęczony, powstał z kanapki i poszedł ku salonowi, Brühl za nim.

Mimo wstrząśnięcia, jakiego doznał, niktby go z jego twarzy nie wyczytał; gotowało mu się wewnątrz, ale się uśmiechał obojętnie.

W salonie zastali stojącą piękną panią Brühlową. Właśnie wracała z asambli u królowej, które zwykle trwały od godziny 4-tój do 6-ój po obiedzie. Strojna była i jaśniejąca pięknnością, która więcej dziwiła niż ujmowała. Coś dzikiego błyskało w jej oczach, coś okrutnego śmiało się czasem w ustach, jakiś niepokój ogarniał patrząc na nią. Było to odbicie tego niepokoju, jaki w jej duszy panował.

Spojrzała na Sułkowskiego.

— Przychodzę się pani polecić, — z pewną niedbałością pańską rzekł obojętnie, trochę głowę uchylając Sułkowski — wiesz pani zapewne, że jadę. Smutno mi tak miły dwór opuszczać, ale są konieczności. Szczęściem spodziewam się, że to nie potrwa długo.

— A! — odezwała się piękna Frania — a! słyszałam właśnie u N. pani na *cerle*, że hrabia nas osierocasz. Niezmiernie mnie to zdziwiło.

— Mąż pani o tém nie wspomniał? — spytał Sułkowski.

— Mąż! — minkę strojąc dziwną zawołała pani Brühlowa — mój pan mąż tak jest zajęty, że czasem po miesiącu się z nim nie widzimy, mieszkając w jednym domu. Jam zmuszona o nim się od obcych dowiadywać.

— Powinnaś go pani skarcić za to!

— A! nie — zaśmiała się szydersko Frania — on swobodny, ja także; czy może być co miłszego w małżeństwie? Nie mamy czasu się sobą przesyć, i dlatego bardzo jesteśmy szczęśliwi.

Spojrzała szydersko na męża; Brühl wesoło to brał i śmiał się jak mógł najnaturalniej.

— A hrabina zostaje? — zapytała Brühlowa.

— Niestety! muszę ją porzucić! — odezwał się Sułkowski — Choćbym najmocniej pragnął na koń ją wsadzić, aby przy mnie kampanię odbywała, niepodobieństwo.

— To pan myślisz wojować? — spytała Frania.

— Tak jest! Niechże mi pani życzy powodzenia, abym głowę Turka mógł jój przywieźć.

— Ja od tego uwalniam — odezwała się figlarnie. — Hrabio, przywieź nam tylko swoją całą, a będziemy mieli dosyć. Laurą przepasana będzie się ładnie wydawać, kiedyś na medalu.

Wspomnienie medalu, które jój na myśl przyprowadziło Watzdorfa, ogniem dzikim zapaliło źrenice.

— Życzę panu hrabiemu szczęścia! — odezwała się z ukłonem.

Oczy mówiły co innego.

Sułkowski się od niechcenia znowu skłonił. Brühlowa zwróciła się ku swoim pokojom. Gospodarz ujął go pod rękę i tak poufale szepcząc coś, powoli nazad skierowali się ku gabinetowi.

VII

W kilka miesięcy po wyjeździe Sułkowskiego, szarym wieczorem zimowym O. Guarini wszedł do królewskiego gabinetu. Była to godzina o której zwykły był August III udawać się do królowej, na operę, słuchać muzyki, lub strzelać do celu.

Strzelanie do różnych stworzeń było mu ulubione, że niekiedy zdechłego konia rzucono pod murem, a gdy się błędne psy cisnęły do padła, Król J. Mość z muru do nich palił. Że zaś psówby w końcu zabrakło, nie zabijano je na śmierć, kaleczono tylko, aby pozdrowiawszy, znowu się na podobny podwieczorek zbierać mogły.

Tego dnia jakoś i strzelania nie było, i opery nie zapowiedziano, i do królowej na muzykę August nie spieszył. Dwa razy przychodzili szambelanowie, odprawił ich mrużąc. Był to znak bardzo złego humoru. Dano natychmiast wiedzieć o tém Ojcu Guariniemu, który do króla pospieszył.

On jeden mógł z niego coś dobyć, innym się to nie udawało. Stary księżyna wszedł z tą swą spokojną miną, zawsze wesołą lub do uśmiechu skłonną.

Król nań chmurno popatrzył i głowę odwrócił.

Pomimo zimnego przyjęcia, Padre usiadł na taborecie i podparłszy się na rękę odezwał:

— Czy wolno spytać W. Kr. Mości, co tak zasepiło jego czoło? Wierny sługa się tém martwi.

Odwrócił się August, pokiwał głową; coś niewyraźnego zamruczał i chwycił fajkę. Nastąpiło milczenie.

— Lżejby było W. Kr. Mości — rzekł Padre — gdybyś raczył mi się zwierzyć.

— Głupstwo! — rzekł król.

— Nie warto się gryźć — odparł Ojciec.

— Głupstwo! — powtórzył raz jeszcze.

To powiedziawszy król wstał; począł się przechadzać wdychając, i jak miał zwyczaj, kiedy go co niecierpliwiło, nogą podrzucił co na drodze znalazł, lub co mu się zdawało leżeć na drodze.

Guarini wpatrywał się w niego jak w tęczę.

— To bo niedobrze jest — rzekł — że W. Kr. Mość, przy takiej pracy nie szukasz sobie rozrywki. Rozrywka jest człowiekowi koniecznie potrzebna, S. Jan na Pathmos miał hodowaną kuropatwę.

— Kuropatwę!! — powtórzył król zamyślony — ja wolę polować na cietrzewie; kuropatwa mała zwierzyna.

I chodził znowu powzdychiwając....

— Trzebaby albo muzyki, albo opery, albo obrazów, albo polowania.

August ręką machnął.

— Gdzież Brühl — spytał Ojciec.

— A! Brühl! jeden Brühl.... ale on zajęty, zajęty niebożatko, niech odpocznie sobie. Brühl dobry człowiek.

— Wyszmienity! — potwierdził Guarini — do niego W. Kr. Mość żalu nie masz?

— Ale co znowu!! Brühl... złoty Brühl — rzekł król, ale głowę zwiesił.

Trudno się było dowiedzieć.

— Jużciż W. Kr. Mość nie tęsknisz tak za Sułkowskim.

Drgnął król i stanął nagle. Guarini poznał że do rany rękę przyłożył.

— Otóżto Sułkowski: widzisz Ojczy — bąknął król. — Józefina go nie lubi. Jak można Sułkowskiego nie lubić?... he? powiedz ty?

Guarini zamilkł. Pytanie było wymierzone wprost jak strzał do piersi, jednak nie odpowiadał na nie.

Król nie lubiący mówić, powtórzył ciszej:

— Ojczy? jak można Sułkowskiego nie lubić?

Jezuita namyślał się bardzo długo. Chwila była stanowcza: należało przypuścić atak umiejętności; rozważał właśnie jak ma to uczynić. Spodziewał go się oddawna, przyszła godzina walna, trzeba tedy było począć.

— N. Panie — odezwał się — ja przeciwko Sułkowskiemu osobiście nie mam nic. Jako katolik chłodny jest i obojętny, to prawda...

Zdawało mi się też zawsze że naszą świętą królową panią nie dosyć czci i szanuje.

— O! o! o! — przerwał król — o! o!

— Przynajmniej ludzie tak i inni sądzili — mówił nie zmieszany Guarini. — Płochy jest to pewna, w pychę niepomierłą wzbiła go łaska pańska...

Zamilkł król posępnie słuchając.

— N. Panie — żywo zawołał zbliżając się Guarini — jesteście sami, nikt nas oprócz Boga nie słyszy. Proszę mi z ręką na sumieniu odpowiedzieć jak na spowiedzi, czy nigdy Sułkowski nie wodził króla a pana swego na pokuszenie??

Na te słowa August oczy otworzył wielkie, zarumienił się i nagle plecami odwróciwszy, nic nie odpowiadając chodzić zaczął.

Milczenie było dostateczną odpowiedzią.

Guarini się począł śmiać cicho.

— A nie jestże to zuchwalstwo? he? Pojmuję nawet że sługa i przyjaciel może chcieć czasem i na sumienie coś dla miłości pana wziąć, ale jużciżby też mógł poczekać, aż mu z góry skiną.

Spuściwszy głowę król chodził.

— Królowa ma przecucie — mówił Padre — co to się dziwić!! ale o tém, *satis*. Alboż to nie wiadomo szeroko, że on żywi myśli zdobywcze względem Austrii, względem domu któremu zawdzięczamy królowę Jchmość i przeciwko najświętszym przyrzeczeniom naszym...

August siadł w krzesło jakby znudzony i patrzył na mówiącego.

— A najgorsza ze wszystkich ta ambicyja i ta ufność że mu to wolno co zechce i że z królem a panem swym uczyni co mu się podoba. Są ludzie co to od niego słyszeli. Trochę pokory czy upokorzenia by mu nie zawadziło.

Alboż to dobrze, by ludzie mówili że on w Saxonii panuje, a nie król nasz miłościwy.

— E! e! e! — rzekł król — kto mówi? kto? to go powiesić!

— Tacy mówią, co słyszą jak się Sułkowski wychwala....

— Wychwala! to źle! — odparł król — uszy mu natrę.

Guarini uznał że doza lekarstwa zaadministrowana była na jeden raz dostateczną i zamilkł. Dopiero po chwili pochylił się do ręki króla.

— N. Panie, przebaczcie, darujcie, zapomnijcie. Duchownym jestem, suknia na mnie wkłada obowiązek mówienia prawdy. Ludzie światowi cofnąć się mogą przed nią, ksiądz musi rzec co ma w duszy. A komuż szczerzej jak temu co ludom panuje i co rzadko prawdę usłyszeć może?

— *Evero!* — szepnął król.

Ale z miny i głosu wyczytał ksiądz że rozmowy tej królowi było już nadto, że jój miał do przesytu. Szukał już czémby go zabawił, pewien że rzucone ziarno wniwdzie późnij sobie.

Niewiadomo czyby się udało Guariniemu wynaleźć przedmiot rozweselający, lecz wtém właśnie wszedł szambelan oznajmując że na pokojach królowej czeka N. Pana muzyka.

— Chodźmy! — odezwał się wzdychając August.

Guarini się uklonił, poszli.

Służba ze światłem poprzedała króla.

Pokoje królowej wcale różnie wyglądały teraz gdy je Józefina zajmowała. Nie było tu przepychu, skromność i powaga wielka, ale majestat cesarskiego domu w niej znać było.

Obrazy przyozdabiające ściany, wszystkie niemal religijnej były treści. Oprócz tego godła pobożne, krzyże i relikwiarze po gabinetach stały zamiast zwykłych świecideł.

Cały dwór trzymany w etykiecie surowej przez w. ochmistrzynię i marszałka dworu, składał się z kobiet podżytych i dobranych tak, aby ich piękność nie uczyniła królowi roztargnienia.

Tego dnia w wielkiej sali koncertowej, koncertmajster Jan Jerzy Pisendel, najsłynniejszy skrzypek swojego czasu, miał się popisywać wraz z kilku najprzedniejszymi solistami. Oprócz niego, na nowo przez siebie wynalezionym instrumencie, w rodzaju clavicembalo, miał się produkować sam wynalazca jego Pantaleon Heberstreit, który z Pisendelem o lepszą grywał na skrzypcach.

Na flecie mieli grać dwaj mistrze: Buffardia niezrównany wirtuoz i rywal jego Quanz, oba doskonali w swój sztuce. Było więc czego posłuchać.

Królowa trochę już kwaśna przechadzała się oczekując na męża, gdy wszedł nareszcie. Zbliżyła się żywo ku niemu usiłując wyczytać coś z twarzy, zrozumiała tylko iż był niezadowolony. Ale na to radziła skutecznie muzyka.

Gdy król siadł wygodnie, oczy przymrużył, a Buffardia mu zaśpiewał na flecie, mgły przechodziły i czoło się wypogadzało. Król wśród stojącego dworu do swojego krzesła spieszył, gdy Józefina nieco przystawszy za nim skinęła na Ojca Guariniego.

Nie miała jednak czasu dłużej z nim się rozmówić. Włoch szepnął jój tylko na ucho:

— *Poca roba... Sulkowski.*

Królowa przyspieszyła kroku i znalazła się prawie równocześnie z mężem u stojącego obok krzesła. Znać tylko na przybycie N. Pana czekano, bo też kapela się ozwała z uwerturą świetną i huczną, której król zaczął słuchać z uwagą wielką.

Na twarzy Józefiny w czasie muzyki więcej znać było zajęcie mężem i sprawami jakimiś ważniejszymi niż koncertem. P. Pisendel napróżno się popisywał swym smyczkiem. Królowa zdawała się go nie słyszeć. Oprócz innych osób dworu, pani Brühlowa także siedziała obok matki, a tuż za krzesłem pana stał wyprostowany Brühl, niewinny baranek, ze spuszczonei oczyma, skromny jakby nie był pierwszym i jedynym ministrem.

P. Guarini przesuwając się około niego, szepnął mu nieznacznie:

— Wojna się rozpoczęła, nieprzyjacieli się broni, wszystkie siły skupić należy; zatem bacność!....

Brühl stał jakby nie słyszał, delektując się muzyką. Grano już duet, w którym Buffardin z Quanzem szli na wypródkę. Król zupełnie zamknięte miał oczy, używał muzyki nie doznając dystrykcji żadnej. Ktoby był zobaczył z boku skierowane nań szyerskie wejrzenie Brühlowej, przelękłby się był pogardy z jaką nań patrzeć śmiała.

Tuż za jój krzesłem stał dwór ministra dopuszczony na koncert, a wśród niego odznaczał się piękny, młody mężczyzna, tak dziwnie do Watzdorfa podobny, iż się go jak widma przelęknąć było można. Wzrok Brühlowej czasem powłoczysto, zwolna szedł ku niemu, zatrzymywał się na pięknej jego twarzy, szukał oczów; wejrzenia się żeniły i rumieniec występował na lice młodego chłopaka. Brühl który w tamtą stronę nie patrzył, ilekroć

on się czerwienił, bladł powoli; zdawało się że mu czegoś znużone drgają oczy i poruszają się usta: musiał to być skutek muzyki.

Trwał ten koncert dosyć długo, potem podano wieszę, na osobnym stole dla królestwa obojga, przy marszałkowskim dla dworu. Król jadł tak i pił, iż zdawało się że o wszystkim zapomniał; jednakże po wieszę natychmiast zażądał z Brühlem odejść do swych pokojów.

Większa część dworu rozpięchła się; kobiety pozostały na wieczorne pacierze. Był bowiem zwyczaj w niektóre dni tygodnia, odmawianie modlitw i litanii pod przewodnictwem O. Guariniego, przy których bliższe osoby królowej panie zawsze bywały przytomne.

I tego dnia *exercitia* duchowne odbyły się w małej domowej kaplicy królowej i dopiero po nich reszta dworu uwolnioną została.

Miał i O. Guarini odchodzić, gdy królowa nań skinęła. W. ochmistrzyni usunęła się zaraz i stanęła w przyzwoitem oddaleniu.

— Cóż było mój Ojczy? Król...

— Sam zagaił o Sułkowskim. Wielce go boli, że niektóre osoby są mu przeciwne. Zagadnięty, nie mogłem zamilczeć, trzeba było wojnę rozpocząć.

— I cóż? i co? — spytała ciekawie królowa.

— Mówiłem dosyć długo: tyle, ile można, aby króla nie znużyć — kończył Guarini — powiedziałem wszystko com miał na sercu.

— A król?

— Milczący słuchał.

— Jakże się wam zdaje? zrobi to wrażenie na nim.

— Nieochybnie, ale teraz powtarzać potrzeba ataki. Sułkowski wraca, rzecz nie cierpi zwłoki; powinien zastać już króla nawróconym: inaczej przemówi nałóg, odezwie się przyjaźń dawna, zajmie swe miejsce i nic go już z niego wyrugować nie potrafi.

N. Pani — dodał Guarini — nie wymagajmy za wiele: nie można żądać, aby go spotkał los Hoyma. Winy nie są tak wielkie, dowieść mu ich niepodobna. Byleby się oddalił, na tém dosyć.

— Dosyć? — spytała Józefina — lecz znacie słabość króla dla niego? nie odezwie się ona później, nie skorzysta on z niej? nie znajdzie dróg? człowiek bezbożny, bo takim jest to pewna, wszystkiego chwycić się może. Widzieliście go kiedy z dobrej woli w kościele? Wiście, że nigdy nie zachowuje postów.

Wzdrygnęła się królowa i na chwilę zamilkła.

— Ja nie ustąpię — dodała — wy także powinniście działać. Brühl nie może.

— Chyba w ostatniej chwili — szepnął O. Guarini — i to ostrożnie. Do dobrego dzieła wszelkich sprężyn użyć należy: Bóg pomoże; Bóg pomoże. Kiedy powraca?

— Żona się go spodziewa co dnia: pisał do króla, że będzie w tym tygodniu. Spieszyć należy — dodała królowa.

Guarini skłonił się nisko i wyszedł.

Nazajutrz rano, wedle obyczaju Brühl był w pokoju króla, jak tylko wstał z łóżka. Nie była nużąca ta służba, ale nudna. Zwykle August milczał; trzeba było stojąc patrzeć nań i na uśmiech lub chrząknięcie, odpowiadać ukłonem.

Daleko więc zachodu miał Brühl rozciągając pilną straż około osoby J. Kr. Mości. Dla spokoju jego potrzeba było zapobiedz, ażeby nikt nie spodziany nie miał doń przystępu; przy wszystkich audyencyach bez wyjątku Brühl musiał być przytomnym. Jeśli król szedł na mszę, oczyszczano wprzód drogę najstaranniej z obcych osób, nie należących do dworu. Nikt się do niego zbliżyć nie mógł bez pozwolenia ministra w jego nieobecności. Zdaje się że król August, który spokój lubił nadewszystko i niespodzianek się lękał, rad był z tego, nigdy bowiem z pod kurateli nie próbował się wyzwolić i swoim stróżom okazywał wielką wdzięczność.

Po mszy i po niezbędnych posłuchaniach, na które nie wiele grzecznych słów wysłał roztargniony pan, Brühl został z nim sam na sam.

Mógł się domyślać że o czémś mowa będzie, bo król chodził niespokojny, stawał często naprzeciw niego, mrugał, uśmiechał się smutnie, odchodził, wracał znowu i stawał uporczywie, nie mogąc się jakoś zdobyć na rozpoczęcie rozmowy. W ostatku zatrzymał się, położył rękę na ramieniu ministra i spytał:

— Brühl, co ty mówisz o Sułkowskim?

Jakkolwiek przygotowany Brühl się zaciął i oczy spuścił.

— N. Panie — odparł zreźnie bardzo — ja pewno nieinaczéj o nim trzymam jak W. K. Mość.

— A wiesz ty co ja o nim myślę?

— Nie wiem, ale jestem wiernym sługą Pana mego, i mam za przyjaciół tych których on widzi dobrze, za wrogów tych co mu są nie mili. W. K. Mość byłeś łaskaw umieścić przy swéj osobie dwóch moich braci, otóż gdyby jeden z nich miał nieszczęście zasłużyć na gniew króla, wyparłbym się brata.

Królowi się twarz wypogodziła.

— Brühl! ja ciebie kocham! — zawołał.

Minister schylił się do ręki pana.

— Brühl, ja ciebie bardzo kocham — dodał August — i dlatego chcę się ciebie poradzić. Słuchaj, mnie nim straszają...

Spojrzał w oczy Brühlowi z natężeniem.

— Mów śmiało, mów...

— Ja osobiście nie mam nic przeciwko Sułkowskiemu, ale że łaska pańska która mnie pokorniejszym czyni, jego w pychę wzbija, to pewna, że może się czasem chwalił że on robi co chce, nie tylko w sprawach państwa, ale nawet z Najjaśniejszym Panem: to być może.

— Hm! to być może powiadasz! to być może, a tak! to być bardzo może — rzekł król. Prawdę powiedziawszy na muzyce mizernie się zna, a na obrazach téż nie wiele; jemu aby gołe, aby gołe! Ale tst! — dodał król — żeby Guarini nie słyszał — jaką on tu Venus przyniósł raz, com ja biędy miał z królową. Spalić ją kazała. A była bardzo piękna. No, i to prawda, że pozwalał sobie czasem...

Niedokończywszy August zapatrzył się w okno, zamyślił i ziewnął.

— Jak ty myślisz — zapytał — czy to prawdziwy Ribera ten co go wczoraj przysłali z Wenecyi?

Brühl ramionami ruszył.

— Ja, N. Panie jestem w tém zdania W. K. Mości.

— To może być Ribera — mruknął król cicho.

— Tak, to mógłby być Ribera — powtórzył Brühl.

— Ale mógłby być *il Frate*...

— O! niezawodnie że podobny bardzo do *Frate*.

— Ty się znasz Brühl.

— Uczę się przy W. Kr. Mości.

Począł się przechadzać August bardzo zadowolony, zbliżył się do ucha Brühlowi i rzekł:

— Królowa chce abym go odpędził, bo jéj ktoś szepnął, że mi doradzał bałamuctwa...

— Ale o to W. Kr. Mości nikt w świecie nie może posądzać! — krzyknął Brühl — nikt! wszyscy wiedzą o jego życiu przykładném...

— Ja nigdy nie dopuszczę żeby mnie posądzano — szepnął król — nigdy, nigdy! wolę... wolę...

Nie mógł dokończyć. Brühl się doń zbliżył i szepnął: żywa dusza, nikt! nie może posądzać W. K. Mości.

I rękę położył na piersi.

— Tak być powinno — szepnął August — i znizywszy głos jeszcze cichuteńko do ucha mu rzekł: Myślisz że on co wie? posądza? hę? hę?

— Z pewnością nie wie nic i wiedzieć nie może, ale ciągle będąc tu, nieustannie szpiegując, mógłby... ktoś to przewidzieć potrafi.

Król się zatrzwożony wyprostował.

— Kiedy tak, to go trzeba oddalić: tak, tak! lepiej będzie. Ty mi go zastąpisz.

Brühl znowu do ręki pańskiej pospieszył. Na czole Augusta widać jednak było troskę, wzdychał ciężko, kosztowało go rozstanie z przyjacielem młodości: lżę miał w oku.

— Brühl, to postanowione, tak królowa chce. Guarini radzi, ty nie masz nic przeciw; ale jak? jak? jak? mów... ale mów...

Minister spuścił oczy w dół, palec położył na ustach, przybrał postawę zadumanego i zafrasowanego. Król śledził każdy ruch jego i minę, czekał, aż zawyrokuje. Nagle podniósł głowę.

— N. Pani — odezwał się cicho — powodów do niełaski starczy: dosyć przypomnieć mu że sobie mógł pozwolić względem króla a pana zbytnej poufałości. Nigdy nie będę W. Kr. Mości radził surowości zbytnej, dosyć go oddalić od Jego oblicza, aby był najsrożej ukaranym. Wygnanie od dworu będzie dlań najcięższym wyrokiem.

— Tak jest — przebąknął król — nawet mu małą pensję zostawię.

Spojrzał na Brühla, ten potwierdzał co król mówił i kłaniał się.

— Więc wygnanie — dodał August — a jak to zrobić? zostawiam tobie, ulóżcie, żebym ja nie miał z nim przykrości, żadnego gadania długiego; nic, nic! Niech sobie jedzie...

Mówili jeszcze, gdy August już rozpromieniony tém, że zbył się kłopotu i zrzucił go na cudze ramiona, ruszył się żywo.

— Brühl — rzekł — oznajmić królowej, że mam z nią do pomówienia. Królowa jeżeli się nie modli, to maluje; jeśli maluje, ja tam mogę przyjść.

Brühl się wymknął natychmiast; w pięć minut potem, król w towarzystwie szambelana pospiesznie dążył do pokojów żony. W istocie zastał ją przy pastelu. Młody artysta z założonymi rękawami i krédą w ręku, stał w postawie pełnej uszanowania za królową, która siedziała u trójnoga przed naciągniętym papierem. Na nim rozpoczęta była głowa Chrystusa, około której pracowała najjaśniejsza artystka, niekiedy zwracając się ku swojemu pomocnikowi. Nie wiele tam w istocie było pracy N. Pani, bo pomocnik przysiadł się w jej niebytności przerabiając fałszywe tony i prostując zatarte rysy; ale nazajutrz królowej Józefie zdawało się, że ona to malowała sama i z roboty swój była wielce zadowolniona. Tym sposobem postępował dalej obrazek i w końcu zwał się dziełem rąk pańskich, a dwór cały uwielbiał talent córki Cezarów.

Gdy król wszedł nie wstała nawet Józefina, wskazując mu tylko na robotę rozpoczętą. August stanął za nią i długo z przyjemnością wpatrywał się w rysunek, który od wczoraj mało co popsuty jeszcze, wcale dobrze wyglądał. W końcu król powiedział komplement, a z boku spojrzawszy na artystę, dał mu znak ażeby się do przyległej salki oddalił, co biedny malarz spełnił kłaniając się aż do ziemi z nadzwyczajnym pośpiechem.

Obejrzał się August i schylił do ucha Józefiny.

— Więc — rzekł cicho — stanie się jak każesz, oddalimy Sulkowskiego: tom przyszedł powiedzieć.

Królowa się odwróciła szybko uśmiechając do męża.

— Ale tst! ani słowa — dodał August — maluj. Brühl to ułoży, ja nie chcę się tém gryźć.

— Nie potrzebujesz — rzekła Józefina — wezwij Ojca Guarini... Brühla, oni to dopełnią.

Nie chciał już o tém dłużej mówić August i natychmiast zwrócił rozmowę na obraz.

— Kolorytu mogę powinszować — rzekł — *tres fin*, i bardzo świeży. Liotard nie zrobiłby lepiej, słowo daję; malujesz ślicznie... nie daj tylko temu artyście psuć sobie i nie słuchaj żadnej rady.

— On mi tylko krédę temperuje — rzekła królowa.

— Głowa piękna! powieszę ją u siebie, gdy mi ją zechcesz darować. I uśmiechną się z galanterią.

Ponieważ godzina obiadu jeszcze nie wybiła, król skłonił się, pocałował w rękę Józefinę i odszedł, po drodze wskazując artyście wygnanemu do sali, aby królowej w pomoc pośpieszył.

Na twarzy pańskiej malowało się teraz zadowolenie ze zbytego ciężaru i wyswobodzenie od troski. Do wczorajszego całkiem był nie podobny: czoło miał wypogodzone, uśmiech na ustach, oddychał swobodnie i myśleć mógł o czém inném. Nie szło mu tyle o Sulkowskiego, co o zamęczenie drogiego spokoju, o kilka dni życia struty i zepsuty. Gotów był człowieka poświęcić, ale rad się był zbyć sprawy jak najrychlej i nic już o tém nie wiedzieć. Na wieczór zadysponowano strzelanie do tarczy przy pochodniach.

Gdy nazad powrócił do swych pokojów, poznać go nie było można.

Brühl z powodu tak wyjątkowych wypadków był na zawołanie, nie oddalał się wcale.

Spojrząwszy nań król rozśmiał się i rzekł:

— Rzecz skończona: po obiedzie strzelanie, wieczór muzyka, jutro opera.

Pospiesznie się zbliżył do oczekującego.

— Niech nikt o nim nie wspomina: rzecz skończona; ani nazwiska, ani nazwiska, proszę...

Podumał chwilę.

— Użyjcie kogo zechcecie, kładę to na was... byłem już o niczym nie wiedział.

Zamyślił się i nagle zakończył:

— Słuchaj Brühl, to Ribera...

— Tak jest N. Panie! to Ribera — potwierdził minister.

VIII

Karnawał w tym roku obiecywał się świetnym. W Saxonii wszystko szło jak najpomyślniej, szlachtę która skowycząc śmiała, wysyłano na rekolekcje do Plejssenburga; w Polsce zapewniały spokój, sejm pacyfikacyjny i śmierć ostatniego z Sobieskich. Faustyna śpiewała zawsze cudnie, a na grubym zwierzu w lasach Hubertzburgskich nie zbywało. Ostatni jarmark lipski, na którym się król bawił, przedziwnie obfitował w konie i psy myśliwskie. Dzień po dniu w cudownie najprzód obmyślanym szły porządku.

W tak błogimto spokoju zwiastowany powrót Sułkowskiego, napęlił trwogą, przyspieszył szturm królowej i wywołał wyrok na niego. Spodziewano się, że ulubieniec pański nawet do osoby króla przypuszczonym już nie zostanie.

Hennicke i jego pomocnicy pilnować kazali po wszystkich drogach i gościńcach; straża stały w bramach, poprzebierani ludzie zdala otaczali pałacyk Sułkowskich, aby jak tylko przybędzie, środki stanowcze przedsięwzięte zostały.

Ekwipaże generała-ministra i wielkiego ochmistrza dworu już były nadeszły wcześniej. Żona miała ku Pradze wyjeżdżać przeciwko niemu. Tę właśnie się lękano i bardzo zręcznie pani Kolowrathowa oznajmiła jej o woli królowej, ażeby w gotowości była przybyć do zamku, gdy jej znać dadzą i raczyła się nie oddalać z Drezna. Hrabina rada nie rada, posłuszną być musiała.

Nad wieczór 1 lutego (1738), hrabia Sułkowski znajdował się już w Pirna, gdzie koniom tylko chciał dać wytchnąć, aby przed nocą do Drezna pospieszyć. W gospodzie kurjer jadący przodem wszystko przygotował na przyjęcie ministra. Nikt w świecie jeszcze nie spodziewał się, nie podejrzewał, nie domyślał tak nieprawdopodobnego upadku. Wszystko co żyło w miasteczku, urzędnicy, burmistrz, rada, w paradnych strojach czekali na mrozie przed gospodą na przybycie tego, którego za wszechwładnego uważano, przed którym drżało wszystko.

Kurjer zapowiedział przybycie to jego ekscelencyi na godzinę czwartą; lecz że w wigilię dnia tego śniegi zawiąły drogi i kopno było na górzystych gościńcach, przyjazd się opóźnił.

Właśnie wszystkich oczy skierowane były w stronę Pragi, gdy od Drezna jeździec płaszczem obwinięty, na koniu zgrzanym nadbiegł i zsiadł przed gospodą. Była to najlepsza ze wszystkich pod *Koroną*, a właściciel jej Jonasz Hender, człek bardzo śmiały i rezolutny, zobaczywszy podróżnego, któremu by innym razem był rad bardzo, teraz poskoczył przeciwko niemu, aby go uprzedzić, że tu dlań miejsca nie było.

W klasycznym stroju dawnych gospodarzy, z fartuchem na piersiach białym jak śnieg, w futrzanej czapeczce na głowie, Jonasz ze swą rumianą i wesołą fizyognomią, stworzoną na uśmiechanie się do ludzi, przystąpił grzecznie ku nieznanemu.

— Przepraszam was... spodziewamy się jego ekscelencyi, hrabiego Sułkowskiego; kąta nie mam w domu, ani dla konia, ni dla was; ale pod *Palmową gałęzią*, choć zapewne nie to co u mnie, znajdziecie popas wcale dobry i człowieka miłego: to mój szwagier.

Przybyły zaledwie zdawał się chcieć słuchać Jonasza. Cugle koniowi rzucił na szyję, sam patrzył ku gospodzie roztargniony. Był to człowiek średnich lat, ale o wieku tylko z oczów i marszczek koło nich sądzić było można, gdyż zapewne dla zimna brodę i usta miał zawiązane chustką, a czapkę na czoło głęboko nasuniętą.

— Właśnie — bąknął stłumionym głosem z pod chustki, nie podnosząc jej — dlatego że tu stanie jego ekscelencya, i ja zajechać muszę: ja do niego jestem posłany.

Skłonił się oberżysta i własnoręcznie konia pochwylił.

— A! to co innego — zawołał — to co innego; proszę do mnie, niech się pan ogrzeje. Wino ciepłe z korzeniami gotowe, a niema na chłód jak glühwein: to doświadczone. Konia wezmą do stajni.

Parobek na skinienie poskoczył i chwycił zmęczonego siwego. Gospodarz w nadziei może iż się coś dowie, prowadził idącego do izby. Wpatrywał się weń, aby odgadnąć kto to mógł być taki, a ze stroju, ani z miny odgadnąć tego nie umiał. Ubiór był pospolity, mowa czysta i nie saska, obejście się bardzo poufałe znamionowało dworaka; lecz nic znowu tak bardzo znakomitego, na koniu, bez służby nie przybyło w takim niepozornym płaszczu i butach.

Jonasz zwykł był bystrém okiem rozpoznając znaczenie ludzi, trafiać zawsze w ton właściwy i obchodzić się z niemi jak komu przystało. Tym razem nie wiedział z jakiego ma zagrać tonu, ale spodziewał się po odślonieniu oblicza odgadnąć czy miał z masztalerzem do czynienia, czy z urzędnikiem. Zdumiało go to że wchodząc do domu podróżny, wcale najwyższym urzędnikom miasta, stojącym na mrozie nie oddał czolobitności. Mógł z tego wnosić, że się od nich sądził wyższym; lecz dworscy i wszyscy, co się ocierają o panów, tak bywają zarozumiali.

Ponieważ dla tak wielkiego jak Sułkowski pana, nie jednej izby potrzeba było, bo jechał dwornio i musiało mu być przestronno; została więc tylko izba samego gospodarza, do której Hender zaprosił nieznanego.

Można tu było spocząć bardzo przyjemnie, bo na kominie palił się ogień wesoly, rumiana gosposia coś przy nim warzyła; dwoje dziewczątek zwijało się pomagając jój, a izba była przystrojona cale pięknie i w sprzęt czysty zamożna. Hender pomógł nieznanemu rozwinąć się z ogromnego płaszcza i chusty, z pod której wyszła chuda, koścista, dziwna, a nie miła postać, z twarzą kancelaryjną, wcale nieprzyjemną. Oczy jój patrzyły jak dwoma świdrami w człowieka, a usta krzywiły się dziwnie i fałdowały.

Spojrawszy nań, Jonasz który był niepospolitym ludzi znawcą, zaraz sobie rzekł w duchu:

— To jakiś niebezpieczny człek.

Lecz tém gościniejszym wypadalo być dla tak strasznie wyglądającego posła ze stolicy. Choć mieszkańcy Pirny w Saxonii za Reatczyków uchodzą, a Hender był rodem z tego miasta, nie zbywało mu na roztropności. Starł fartuchem krzesło, przybliżył je do ognia i zaprosił siedzieć przybyłego, który bardzo obojętnie wszystkie świadczone sobie grzeczności przyjmował. Był jakby przybity i pogrążony w smutnych myślach jakichś.

Kilka razy gospodarz się coś odezwał, ale nie odebrał odpowiedzi. Przyniósł szklaneczkę grzanego wina na miseczce i podał ją z uśmiechem: podróżny ją przyjął, lecz ani mu głową nie kiwnął.

— To musi być ważna figura! — rzekł w duchu Jonasz — nieinaczéj.

Podwoił więc grzeczności i dzieciom się kazał trzymać z daleka, gdy wtém dała się słyszeć trąbka, klaskanie z batów, szmér w ganku. Sułkowski nadjeżdżał. Gospodarz jak oparzony wyleciał na spotkanie.

Nieznanomy gość pozostał nieruchomy, zamyślony ze szklaneczką wina w ręku. I to miało swe znaczenie. Właśnie w tryumfie wprowadzano ministra do przeznaczonych dlań pokojów: gwar był wielki, bo znużony pan dziękując, wszystkich do domów odprowadził. Służba zносиła skrzynki z wiktuałami...

Hender, którego téż we własnym domu wyproszono za drzwi, wszedł dosyć kwaśny do swojego mieszkania i niepomału się zdziwił zobaczywszy nieznanego, który pił wino zamyślony i w ogień patrząc, miny do niego robił nieprzyjemne. Zdawał się nic nie słyszeć i nie widzieć nawet gospodarza...

Ten stanął i czuł się w obowiązku głośno oznajmić:

— Jego ekscelencja przybyć raczył!

Kiwnął głową dziwny gość i skrzywił się; namyślał się widocznie. Wina dopiwszy, na pektoralik dobyty popatrzył, zrobił minę do niego nie dobrą, potrząsł znowu głową, za czapkę wziął i wyszedł...

Gdyby pan Jonasz Hender bywał w Dreźnie, a miał sprawy w wyższych urzędach, poznałby był radcę Ludovici w tym gościu.

Zwolna i jakby ze wstrętem radzca przyłożył rękę do klamki i nie pytając o pozwolenie, wsunął się do izby gościnnej.

Stół był w niej nakryty, służba się krzątała, młody adjutant generała stał w oknie, Sułkowski z wyciągniętymi nogami leżał na kanapie.

Zobaczywszy we drzwiach znaną twarz Ludovici'ego, porwał się rozpromieniony.

— To wy! — zawołał — a to przedziwnie! mieliście tę pocziwą myśl wyjechania naprzeciw mnie: cudownie! Niezmiernie wam wdzięczny jestem, przecież się coś dowiem o stolicy; ostatnie listy próżne były i czcze.

Jak się masz Ludovici, jak się masz...

Twarz radzcy, który się kłaniał jakoś smutnie, nic dobrego nie wyrażała. Przywitanie było milczące.

Ludovici z ukosa spojrzął na adjutanta. Sułkowski poszedł do drugiego pokoiku, w którym ogień palił się też na kominie. Zdziwiła go tajemnicza jakaś, przeciągnięta twarz Ludovici'ego.

Hrabia był w humorze jak najlepszym. Nad Renem i w Węgrzech, polecony wszędzie listami, imieniem swém i stanowiskiem jakie zajmował, jak najlepiej był przyjęty. Wracał szczęśliwy z wycieczki, dumniejszy niż kiedy, pewniejszy siebie niż dawniej.

Zaledwie weszli do drugiej izby, począł zasypywać pytaniami pana radzcę. Odpowiedzi płynęły skąpo, Ludovici jakby nie miał odwagi ust otworzyć; przypatrywał się ze smutkiem tej radości, którą miał jedném słowem zniszczyć i może w rozpacz zamienić.

Dał się zrazu wygadać Sułkowskiemu, który śmiejąc się, swe powodzenia, honory jakie mu oddawano i doświadczenie jakie zdobył opisywał szeroko. Zdawało się, że w przyszłości obiecywał sobie głowę Maurycego saskiego.

Ludovici patrzył i głową potrząsał tylko.

— Cóżci to radzco, przemarzył czy strząślesz się? co ci jest? usta ci się otworzyć nie chcą.

Ludovici się dokoła obejrzał.

— Nie mam się czego spieszyć — rzekł ponuro — bom z niczém dobrém nie przybył.

— Żona zdrowa?

— Chwała Bogu!

— Król zdrów?

— Tak, tak, zdrów! ale...

Radzca spojrzął na hrabiego i rzekł smutno:

— Z tém przybyłem, nie znajdziesz go w. ekscelencya jakimś go odjechał. Zmieniło się wiele rzeczy: ja tej podróży zawsze byłem przeciwny, jam ją odradzał.

— Ale cóż się tak złego stało? — zawołał lekceważąco Sułkowski.

— To, co najgorszego stać się mogło — odezwał się Ludovici. — Nieprzyjaciele pańscy oskarżyli go, królowa na czele, Guarini, hr. chytry Brühl... nie mam co goryczy sączyć po kropelce: jesteśmy zgubieni...

Sułkowski, który nań patrzył jak na człowieka coby zmysły postradał, ruszył ramiona i rozśmiał się.

— Co ci się śni? co ci się śni?

— Dałbym wiele, ażeby to snem być mogło — mówił dalej radzca tonem ponurym.

— Nie czas się łudzić, należy się ratować, jeżeli ratunek jeszcze możliwy. Przybyłem, wykradłem się, ważąc życie, aby was ostrzedz. W bramach strażę, w domu szpiegi... jeżeli przyjdziecie do Drezna tak że was w bramie poznają, nie dopuszczą was do króla nawet. Takie są rozkazy!

— Ale to nie może być! — gwałtownie wybuchnął hrabia — to głupia mistyfikacja, ktoś ci napłótl niedorzeczności, a tyś dobrodusznie mu uwierzył. Niéma na świecie człowieka, coby mi mógł serce króla odebrać. To proste niepodobieństwo, to bałamuctwo, to nikczemne kłamstwo! Ja się z tego śmieję! Mnie, mnie do króla nie dopuścić? Ludovici, tyś zmysły postradał...

Radzca ręce złożonywszy stał, patrząc na ministra z pewnym rodzajem politowania.

Sułkowski począł się przechadzać po pokoju żywo, śmiejąc się niekiedy sam do siebie.

— Skądże ty te głupie plotki pobralesz? — zapytał.

— Ale z najlepszego w świecie źródła — rzekł powolnie grobowym głosem Ludovici. Dałem słowo że nie odkryję tego, czy tej, co mnie przestrzegła i jechać kazała. To co mówię, jest najświętszą prawdą.

— Na Boga, ale jakże się to stać mogło? — zawołał Sułkowski nieco strwożony — mów?

— Król jest słaby — począł Ludovici — królowa jest kobieta i uparta, O. Guarini jest najprzebieglejszym z ludzi, a Brühl umie doskonale nas cudzemi zagrzebywać rękami. Otóż cała tajemnica. Nie taileś wasza ekscelencya swęj niechęci dla mnichów, masz ich pracy owoce.

Wszystko ułożone. Spiskowi wymogli na królu oddalenie wasze, choć się opierał długo. Pójdziecie na honorowe wygnanie z maleńką pensyjką, abyście Brühlowi nie przeszkadzali robić milionów. Lękają się wpływu waszego, słabości serca króla, więc was do tego nie dopuszczają.

Sułkowski się zmarszczył.

— Jesteś tego pewnym? — rzekł krótko.

— Najpewniejszym: w bramach rozkaz mają strażę, w zamku pilnują także. Dostaniecie odprawę... jak skoro ukażecie się w mieście.

— I król widzieć mnie nawet nie zechce? — wybuchnął Sułkowski.

— Król jest niewolnikiem — rzekł Ludovici.

Przez chwilę zdawał się namyślać Sułkowski.

— Jeżeli myślicie z całym dworem ruszyć do miasta — odezwał się Ludovici — rzecz skończona; wpadniecie w ich ręce. Może jest jakiś środek dostać się mimo nich do króla: użyjcie go. Macie wpływ, probujcie działać; ale to walka o śmierć, o życie, z królową, ze spowiednikiem i z Brühlem.

Z namarszczoną brwią chodził Sułkowski długo, zbliżył się potem do radzcy i poklepał go po ramieniu.

— Jesteś pewnym tego?

— Jak że żyję.

— No, to milcz... ja się ich wszystkich nie boję: mnie tak zgnieść jak Hoyma i innych nie można. Jam twardy.... Zobaczmy...

Najmniejszego nie dawaj znaku po sobie; chodźmy jeść: siadam z tobą na konia. Dwór zostanie tu, za kilka godzin będziemy niepoznani w Dreźnie. Ciekawym kto mi się odważy jutro drzwi królewskich zabronić! Zobaczmy...

Wszak do miasta się dostaniemy niepoznani?

— Musimy — odparł krótko Ludovici.

— Trzeba jeść, aby ludzie się z głodu czego nie domyślali. Chodź!

To mówiąc wprowadził radzcę do pierwszej izby, gdzie stół był już zastawiony. W milczeniu lub rozmawiając o rzeczach obojętnych, zaczęli się posilać, ale Sułkowski mało się czego dotknął. Pił wino i łamał chleb, którym stół przed sobą zarzucał. Radzca zmęczony jadł za wszystkich.

Sułkowski się odezwał do młodego adjutanta:

— Hrabio Alfonsie, i wy i konie pomęczone: nocujcie w Pirnie. Ja chcę żonie uczynić niespodziankę, siadam na konia i razem z radzcą przetrzęsę się trochę do Drezna.

Adjutant zdał się niezmiernie zdziwiony. Sułkowski zwyczajnie podróżował wygodnie i z pewną okazałością; takie *incognito* w brzydką porę, po drogach śniegami zawianych, pod wieczór, wydało mu się dziwnym. Z wejrzenia jego wyczytawszy zdumienie, Sułkowski dodał z przymuszonym uśmiechem:

— Nie ma w tém nic tak nadzwyczajnego, czasem i fantazy młodzieńczej w starszym wieku trzeba dogodzić.

To mówiąc wziął na stronę owego hr. Alfonsa i cicho dał mu polecenie.

Adjutant wyszedł natychmiast.

Sułkowski stał milczący i zamyślony.

Wkrótce dwa świeże konie osiodłane stały u wrót gospody; radzono ministrowi aby choć sługę lub mastalerza wziął z sobą, lecz stanowczo odmówił. Podróż ta dla adwokata, który już drogę z Drezna do Pirny raz przebył, nie bardzo będąc do konia nawykły, przykrzejszą była jeszcze niż dla pana; lecz nie chciał Sułkowskiego odstąpić.

Szczęściem dla obu, niebo się wyjaśniło, śnieg przestał pruszyć i mrozek tylko ostry wziął na noc. Konie były nawykłe do drogi którą często przebywały, dosyć więc było puścić im cugle, aby się trzymały bitego gościńca. Słońce się miało ku zachodowi, puścili się klusem wyciągniętym, hrabia przodem, adwokat za nim, nie mówiąc słowa do siebie.

Wkrótce mrok padać zaczął, lecz śnieg nieco przyświecał i konie szły instynktem. Pomijali szybko rozrzucone nad drogą osady, domki i gospody.

Już było ciemno i noc nadchodziła i światła gęste zwiastowały Drezno. Gościniec też zaczynał być więcej ożywionym; lekkie sanie, jezdni, piesi i ciężkie wozy wymijały się nawołując. Na wypogodzonym niebie czarne wieże kościołów widać było zdaleka....

Sułkowski zwolnił kroku i musiał zaczekać trochę, nim go Ludovici napędził.

— Jeżeli w bramach pilnują — odezwał się — trzeba pewnych ostrożności przy wjeździe.

— W. ekscelencya zawiniesz się płaszczem i będziesz musiał na ten raz jechać za mną, jako mój towarzysz. W bramach pilnują wprawdzie, ale patrzą na ekwipaże i dwór z którym się spodziewają pana.

— Mówiłeś że i około domu mojego pilnują także?

— Z pewnością — odparł Ludovici.

— Więc albo do domu nie pojedę i ukryję się u was, lub muszę pieszo tam wnijsć niepostrzeżony.

— I tegobym nie życzył — przerwał radzca — w terażniejszych czasach za sługi ręczyc niepodobna: ktokolwiek zobaczy i doniesie.

Sułkowski się zamyślił i rozśmiał gorzko.

— To zabawne — zawołał — któżby mi dziś rano był powiedział, że nie będę gdzie miał bezpiecznie przenocować w Dreźnie!!

Ruszył ramionami.

— Jeżeli tak jest w istocie ze mną źle — bąknął po chwili z wyrazem dumy — nie chcę narażać nikogo.

Mój Ludovici, podejmij się tylko konia odesłać na pocztę, ja pójdę pieszo i miejsce sobie wynajdę, a co mam czynić będę wiedział.

To powiedziawszy zawrócił konia Sułkowski, okrył twarz. Ludovicego puścił przodem, przygarbił się na siodle i z miną pacholka, który się wlecze za swoim panem, pojechał w trop za radzcą.

Zbliżyli się do bramy. W istocie jak zwykle stały w niej straże, lecz radzca dał im jakieś zmyślane nazwisko na pastwę, niebardzo się nawet dwukonnym przypatrywano i bez przeszkody wjechali do miasta.

Już byli o kroków kilkanaście od wrót, gdy żołnierz przypadł do Ludovicego.

— Zkąd pan? z Pirny może?

— Z Pirny, tak jest — rzekł radzca.

— Nie słyszałeś pan o J. ekscelencyi hrabi Sułkowskim, który dziś miał przybyć właśnie.

— Owszem — zawołał dobrodusznie Ludovici, zwracając się na siodle ku pytającemu — gospoda pod *Koroną* zamówiona dla J. ekscelencyi, ale nadbiegł kuryer z oznajmieniem, że dopiero za parę dni z Pragi wyruszy.

Żołnierz odbiegł rad że to ich od pilnej straży nocnej uwalniało, a radzca i hrabia ruszyli dalej.

W mieście ruch jeszcze był dosyć wielki, jak zwykle czasu karnawału. Około stariej poczty Sułkowski zsiadł, oddał konia Ludovicemu, kilka słów mu szepnąwszy i zadumany udał się pieszo ku domowi.

Nie wątpił już teraz po zapytaniu u wrót, że to o czym mu doniósł radzca, prawdą było; musiał więc z pewnymi ostrożnościami dostać się do domu. Zawahał się nawet czyby mu raczej gdzieindziej nocować nie wypadało, ale duma nie dopuszczała kryć się jak winowajcy. Szło mu tylko o to, ażeby mógł wnijsć przez służbę, której nie dowierzał, niepostrzeżony. Odwykły dawno od podobnych tajemnych wycieczek i szukania środków skrytych, Sułkowski zrazu nie bardzo umiał sobie poradzić.

Dziwnym uczuciem przejmował go widok ulic, ludzi których poznawał, powozów przesuwających się, całego tego wesołego ruchu karnawałowego. Mijali go mniejsi urzędnicy i słudzy różnych dworów, których on widywał a którzy się w osłoniętym pieszo idącym człowieku nie domyślali wcale tego, przed którym niedawno mało na kolana nie padali. Położenie własne wydawało się Sułkowskiemu bajecznym niemal, cała przyгода marzeniem, niebezpieczeństwo urojeniem jakimś. Gniwał się niemal że temu mógł

uwierzyć. Mierzył stanowisko jakie zajmował z groźbą upadku i nie pojmował ażeby coś podobnego ziszczyć się mogło....

Śmielęj jakoś pod panowaniem tych myśli zmierzał ku swemu pałacykowi. Na staję już od niego będąc, dostrzegł ludzi kilku przechadzających się dokoła i niby oczekujących na kogoś. Postacie te, kryjące się po kątach, potwierdziły iż strażę koło wrót nań czatowały. Za każdym zbliżającym się powozem, ludzie ci wyskakiwali z za węgłów i kryjówek i kołując biegli się przejeżdżającym przypatrywać. Sułkowski wsunął się w boczną uliczkę; niepewnym był co pocznie. W tej chwili na myśl mu przyszedł człowiek jeden, któremu zdawało się że mógł zaufać. Był nim Ojciec Vogler Jezuita, dawny spowiednik króla, człowiek stary, który się napozór dobrowolnie oddalił od dworu, ustępując Ojcu Guariniemu.

Żył on prywatnie, do niczego się nie mieszając, rzadko pokazując na dworze, teraz zatopiony w książkach. Niegdyś ulubieniec króla, wyszedł z łask jego nie umiejąc go zabawić, nie starając się podobać, podkopywany powoli. Był to człowiek milczący, surowy, pracowity; zresztą tajemniczy i ukrywający się z sobą. Sułkowski miał go za kapelana i spowiednika w swym domu i zyskał sobie jego życzliwość. Chociaż Vogler napozór żył zdala od wszystkich intryg dworskich, sam nawet O. Guarini zdawał się go lękać i okazywał mu wielkie uszanowanie. Vogler nie krył się ze swym wstrętem dla Brühla, a choć mówił mało, znać było, iż cały ten dwór i wszystko co się tam działo w smak mu nie szło.

Przypomniawszy sobie teraz Sułkowski iż przed wyjazdem Vogler go przestrzegał, ażeby na długo się nie oddalał, zbyt łaskom nie ufał, i tym co przyjaźń dlań odgrywają nie wierzył.

Jeżeli kto to Vogler musiał być najlepiej o wszystkim uwiadomiony. Hrabia zmuszony przekradać się przez stary rynek i ludną ulicę zamkową, przy której mieszkał Jezuita, zasłonił się płaszczem jak najstaranniej i siedł w cieniu pod kamienicami, aby nie mógł być poznanym. Powozy i lektyki dążyły ku zamkowi; poznał port-chaise Brühla, którą jego hajducy klusem nieśli do zamku; minął ją, uśmiechając się sam do siebie z goryczą, którą pierwszy raz poznał w życiu. Na myśl mu teraz nie wiedzieć dlaczego przyszła ta scena uliczna z Erellem prowadzonym na osle i zdało mu się że go spotkał los nieszczęśliwego dziennikarza.

Dom w którym mieszkał Vogler należał do zamku, a wniósł doń było w małej uliczce bocznej, na której teraz ciemność panowała. Drzwi główne stały jeszcze otworem, ale na wschody musiał się drapać omackiem. Wiedział że Vogler zajmował mieszkanie na drugim piętrze. Zadzwoił więc do drzwi, które z trudnością mógł wynaleźć w ciemnościach.

Zakrywszy twarz czekał długo aby mu otworzono. Mały chłopaczek z ogarkiem w ręku drzwi uchylił.

— Pater Vogler?

Chłopak się wpatrywał bojaźliwie w nieznanego przychodnia i wahał co ma odpowiedzieć.

— Pater Vogler? — powtarzał hrabia głośnie — interes pilny, bardzo pilny! Czy sam jest?

Chłopak nie umiał sobie poradzić, drzwi zostawił otwarte, a sam ze świecą umknął. Dopiero po chwili powrócił ręką pokazując nieznanemu aby wszedł. Sułkowski nie zrzucając z siebie płaszcza wbiegł do mieszkania.

Była to cela uczonego. Wpółrodku stół foliantami zarzucony, przy ścianach proste półki, na których stały i leżały w nieładzie wielkie stopy książek i papierów. Na stole paliła się lampka z umbrellką. Przed nią stało wysiedziane krzesło skórą obite, z którego tylko co powstał człowiek chudy, wysokiego wzrostu, przygarbiony, łysy, z oczyma przymrużonemi. Zdawał się odwiedzinami nocnymi niezmiernie zdziwiony i oczy osłabione pilno zwrócił na wchodzącego, który jeszcze był osłoniiony cały. Dopiero gdy chłopak drzwi zamknął, Sułkowski zrzucił nakrycie z głowy, odkrył twarz i zbliżył się do O. Voglera, który pochwywszy go za rękę, krzyknął z podziwienia.

— Tst! — zawołał Sułkowski.

Vogler go uściskał milczący i posadził, ale najprzód wyszedł do przedpokoju, aby dać rozkazy stosowne chłopcu.

Hrabia sparty na stoliku milczał a myślał.

— Widzę — rzekł drżącym głosem wracając Jezuita — że musisz wiedzieć o wszystkim, choć tu u nas nikt nie wie nic jeszcze.

Nikt nie widział was?

— Wprost tu przybywam z podróży — rzekł hrabia. — W Pirna dowiedziałem się o tym spisku, którego potwierdzenie z ust waszych słyszę, domyślam się. Więc to prawda? więc śmiano?...

Vogler poruszył ramionami.

— Tak jest, czekają na was z tą niespodzianką dobrzy przyjaciele — rzekł zwolna — do króla was nie dopuszczają.

— Właśnie na tym mi zależy, abym ja im niespodziankę uczynił i do króla wszedł mimo ich wszystkich — zawołał Sułkowski. — Mylą się ci panowie; król na niewidziane może podpisać wyrok, ale jeśli ja go zobaczę, jeśli ja z nim godzinę pomówię tylko, odzyskam dawną władzę: a naówczas... Naówczas — zawołał Sułkowski, wstając i podnosząc pięść ściśniętą do góry — nie ja pójdę precz, ale ci co się na mnie targnąć śmieli.

Zamilkł.

Vogler załamane ręce podniósł do góry.

— Idzie o to, ażebym miał gdzie przenocować i przeczekać do jutra, aby o przybyciu mojem nie wiedział nikt. Na dworze nikomu z pewnością nie wydano rozkazów żeby mnie nie dopuszczono, z prawa i z urzędu mam o każdej godzinie przystęp do N. Pana: nikt mi go wzbronić nie może. O godzinie jedenastej król sam: Brühl niema.

Jezuita słuchał z uwagą, nie okazując jak sądził plan hrabiego.

— Nie macie nic do stracenia, próbować należy; potrzeba: musicie.

— Odważycie się mi dać nocleg u siebie? — zapytał Sułkowski z uśmiechem zwątpienia.

Nie namyślając się O. Vogler odpowiedział:

— Proszę: nie będzie wam wygodnie; ale moje mieszkanie na usługi wasze. Jesteście tu bezpieczni, bo do mnie albo nikt lub rzadko kto przychodzi. Rozgośćcie się panie hrabio i niech Bóg pomoże dobrej sprawie.

Sułkowskiemu oczy błysły.

— Jeśli do króla dostąpię, jestem pewny, wygrałem sprawę...

— Daj Boże! — szepnął Vogler.

Nazajutrz rano Brühl przez Hennickego wiedział iż Sułkowski za parę dni dopiero ma przybyć. Posłano ajenta tajemnego do Pragi, ażeby tam i w powrocie czuwał nad nim. Na dworze cały spisek ten największą był tajemnicą, hrabina Sułkowska którą królowa uprzejmie przyjmowała na zamku nie miała najmniejszego przeczucia. Król odzyskał był humor wyborny, a karnawał obyczajem dawnym, obiecywał się świetnie.

O ranniej godzinie minister stawił się po rozkazy, odebrał je i zostawiwszy O. Guarniego na zwiadach przy królu, sam do pałacu odjechał. Tu przywdziawszy ubranie nowe, gdyż kilka razy na dzień etykieta zmieniać je zmuszała, kazał się nieść w lektyce do hrabiny Moszyńskiej. Był u niej teraz jak w domu. Hrabia mąż ję przed kilką miesiącami życia dokonał, została wdową i Brühl był pewnym równie ję serca, jak tego że ręki nie odda nikomu. Stosunki jego czuliej przyjaźni z piękną panią nie były tajne. Codziennie z nią odbywały się narady, co wieczora pani Moszyńska, jeśli Brühl przyjmował u siebie, przyjeżdżała do niego. Wiedziano że nim rządziła. Często bardzo Hennicke, gdy pilno wypadło mu o czémś donieść, bo radzić się nie potrzebował, szukał ministra u hrabinęj.

I tego dnia Brühl wszedł tu jak do domu, dla wytchnienia. Moszyńska odpoczywała z książką w ręku, w żalobie jeszcze po mężu, piękna w tym stroju i majestatycznie poważna.

Zobaczywszy w progu wchodzącego zdala zawołała doń hrabina:

— Sułkowski? cóż Sułkowski? jest? przybył?

— Nie ma go! Z Pirny dali wiedzieć że dopiero za dwa dni przybędzie.

Fryderyka głową poruszyła z nieukontentowaniem widoczném.

— To nienaturalne — odezwała się — to podejrzone. Żona mi mówiła że najpóźniej miał być wczoraj. Ktoś mu mógł dać znać.

— Niepodobieństwo! Nikt nie wie!

Hrabina się rozśmiała.

— Liczmy osoby przypuszczone do tajemnicy — rzekła wydobywając piękną rękę białą i na paluszkach zaczynając rachować: królowa, Kolowrathowa, król, Guarini, w Henryku, ja i zapewne żona wasza. Ta, gdyby jój nie powiedziano, odgadłaby; dodajmy Hennickiego...

Słyszeliście kiedy, żeby tajemnica ósmiu osobom powierzona utrzymać się mogła?

Brühl głową potrząsał lekceważąc to sobie.

— Choćby się dowiedział, to go nie uratuje. Królowi żona tak dogryzła Sułkowskim, że dla najdroższego mu pokoju wyrzec się go musi.

Tak rozpoczęta rozmowa, przeszła wkrótce na inne przedmioty. Brühl wszakże pomimo pozornego spokoju, trochę był zamyślony i ponury. Około południa brał za kapelusz i miał zatrzymującą go hrabinę pożegnać, gdy zapukano do drzwi i jak widmo błąd, nieczekając pozwolenia, wpadł Hennicke.

Zmieniona jego twarz i samo wniście szturmem do salonu zwiastowało już jakąś katastrofę. Hrabina się porwała z siedzenia.

Brühl pobiegł ku niemu.

Hennicke mówić nie mógł, oczy mu latały obłąkane na wszystkie strony.

— Co ci jest? Hennicke: opamiętaj się! — krzyknął Brühl.

— Co mi jest! Sułkowski potajemnie od wczoraj był w mieście, o godzinie jedenastej zjawił się na zamku, nikogo nie pytając wszedł do króla. O. Guarini, który przy nim był, powiada że król zbladł jak marmur.

Hrabia jak gdyby o niczym nie wiedział i nie domyślał się niczego, w najczulszych wyrazach pozdrowił króla, przyklęknawszy, i oświadczył że pierwszym jego krokiem było i pragnieniem, upaść do nóg pana. Król się rozczulił i uściśnął go. Zaczął opowiadać wesoło o podróży, o przygodach, króla rozśmieszył... i wszedł wprost w dawne swe obowiązki, nikogo nie pytając.

W chwili gdy to mówię, Sułkowski jest u N. Pana: na zamku popłoch; królowa płacze, O. Guarini błąd chodzi... wszystko stracone.

Brühl i Moszyńska spojrzeli na siebie.

Brühl nie zdawał się przełkniętym, ale podrażnionym mocno. Zaciśnął usta.

— Słuchaj Hennicke, Sułkowski tam przecież pozostać przez cały dzień nie może; spotkać się z nim nie mam ochoty: dać mi znać, gdy do domu odejdzie.

Doskonale pilnowano po bramach i wybornie spełniono moje rozkazy — dodał minister sucho.

Podszedł do hrabinę, pocałował ją w rękę szepcząc słów kilka i skinąwszy na Hennickiego oddalił się z nim razem.

W krótkich słowach opisana przez radzcę scena, w istocie była ciekawą. Na zamku upiór żaden nie byłby uczynił większego wrażenia nad niespodzianie zjawionego Sułkowskiego, który nie pytając o pozwolenie wszedł do króla. August osłupiał na chwilę, bo nic w świecie przykrzejszym dlań być nie mogło, nad wymówki i spory. O. Guarini mimo mocy nad sobą nie mógł ukryć pomieszania. Sułkowski z pozorną wesołością przywitał pana na klęczkach, potem począł opowiadać o sobie, radować się że miał szczęście oblicze króla oglądać. To uspokoiło nieco Augusta. Uważał tylko Ojciec Guarini, że słowa prawie się nie odezwał, mruzczał i uśmiechał się.

Zrazu Padre chciał pozostać do końca rozmowy i nie zejść ze stanowiska; później przyszło mu na myśl że był obowiązany donieść o wypadku królowej, aby natychmiast środki właściwe przedsięwziąć. I choć król niespokojnie się oglądał, Guarini po godzinie prawie przysłuchiwania się wyjść musiał. Sułkowski mówił wesoło i żywo, ale jakby gorączkowo. Chociaż najmniejszym słowem nie tknął położenia swojego, nie dał poznać że wie co go czeka, domyślać się było można z rozdrażnienia, ze śmiałości z jaką występował, że waży ostatnią stawkę na kartę. Król oglądał się jakby przestraszony i przybierał postawę coraz surowszą; chwilami się dawał rozchmurzyć i wnet wracał do sztywności jakiejś zimnej.

Dopóki Ojciec Guarini znajdował się w pokoju, hrabia mówił tylko o swjej podróży i wyprawach; gdy za nim drzwi się zamknęły, zmienił nieco ton i przedmiot.

— N. Panie — mówił z niewypowiedzianą tęsknotą — spieszyłem tutaj; miałem jakieś przeczucia przykre, choć te się dzięki Bogu nie sprawdziły, i serce W. Kr. Mości

ręczy mi za to że się ziścić nigdy nie mogą. Służę panu mojemu od dzieciństwa, poświęciłem mu życie, gotowem oddać jego resztę; potrafiłem pozyskać łaskę i zaufanie, w sumieniu mojem czuję się czystym; nie obawiam się spisków nieprzyjaciół, choćbym ich miał, a nie sądzę ażebym mógł ich mieć, bo nikomu nic złego nie uczyniłem... Król słuchał z tą powagą przymuszoną ciągle, która nic dobrego nie zwiastowała.

Sułkowski odezwał się jeszcze raz o ucałowanie ręki. Dał mu ją król zmieszany, mrużąc, przestępując z nogi na nogę, ale nie odzywając się żadnym zrozumiałym słowem. Hrabia zapalał się coraz mocniej i mówił ze zwiększającą się, rosnącą coraz gorączką.

— Królu mój, panie mój, w twe serce ja wierzę jak w Boga! bogdajby tylko intryganci przewrotnemi jakimi i chytremi podszeptami mi go nie odebrali.

— O! o! — przerwał August — tu intrygantów nie ma.

— A na jakież dwór się oni nie wcisną? jakież oni sukienki nie wdzieją? — zaśmiał się Sułkowski. — N. Panie, jam żołnierz i rąbię po rycersku; w bawełnę nic obwijać nie umiem. Są źli ludzie, a ci co najśłodszy, najpokorniejszy, najusłużniejszy, ci właśnie najniebezpieczniejszy. Panie i królu mój! nie chcę innych wymieniać, ale Brühl... Brühla się pozbyć potrzeba lub o władzę wszystkiemi i odbierze W. Kr. Mości prawdziwych przyjaciół, aby sam tu władał i rozporządzał.

Mówiąc to patrzył na twarz królewską, która się okryła purpurą a w chwili jednej bladła i stała się białą a siną. Oczy Augusta nabrały dzikiego wyrazu, jaki nadaje gniew wstrzymywany w sobie. Sułkowski znając go wiedział że trzeba było wybuch taki raz zwyciężyć, aby miłującego pokój pana opanować; nie trwało to nigdy długo. Król miał popęd gwałtowny czasami do rozerwania więzów, ale sprobował ledwie swęj siły, cofał się przed tém co go użycie jęj kosztować miało. Hrabia widział go nieraz w położeniu podobnym i zamiast się ustraszyć, stał się śmielszym jeszcze.

— N. Panie — zawołał doganiając króla, który zwolna wstawszy ku oknu się cofał. W. Kr. Mość cichy słusznie w pamięci wielkiego rodzica swojego, niech on Wam za wzór służy. Ten nad sobą nikomu panować nie dawał, ani królowej, ani faworytom, ani ministrom, ani mnichom. On panował wszystkim. W. K. Mość możesz skinąć tylko, chcieć, rozkazać, a zamilknie co szemrze, poleci precz co cięży i więzi... Trzeba mieć odwagę życia i panowania, trzeba użyć żywota i władzy, którą Pan Bóg dał: trzeba te więzy potargać.

Król słuchał, ale coraz bardziej przerażony, oburącz zatknął sobie uszy i zamiast dać jakakolwiek odpowiedź, jeszcze się dalej usunął ku oknu.

Sułkowski który już zaszedł tak daleko, że cofnąć się było niepodobieństwem; bił, jak mu się zdawało żelazo póki było gorące.

— Czuję tu — rzekł — że się targam na wielkie rzeczy, ale czynię to przez miłość dla mojego pana, którego chcę widzieć tak wielkim jak był rodzic jego, tak szczęśliwym jak on. Co warto to życie klasztorne! Pragniesz W. K. Mość spokoju, ale go będziesz miał przy sławie i dobrej myśli, jak skoro skinąć zechcesz i energicznie objawić swą wolę.

Tych opiekunów nie proszonych jak Pater Guarini i pan Brühl trzeba odprawić. Królowa, święta pani, cnót wielkich, niech się za nas modli, niech buduje swym przykładem, a my N. Panie, pojedziemy lada dzień Węgry zdobywać, bo Jego Cesarska Mość Karol VI, nie długo pociągnie. W obozie dopiero odetchniesz N. Panie.

Rozśmiał się Sułkowski...

Król patrzył w okno ponuro: żaden ruch i słowo nie zdradziło myśli jego.

Widocznie znużony był.

Szczęściem w tęg chwili, ruch na korytarzach zwiastował godzinę obiadową; August ruszył się z miejsca, jakby nie czekając dworu chciał iść. Sułkowski podszedł do ręki, wziął ją prawie siłą, zaczął całować gorąco. Rumieniec na twarz króla wystąpił. Wszedł właśnie W. marszałek dworu i zastał hrabiego żegnającego się z N. Panem w tak czuły sposób, iż najmniej nie powątpiewał o lasce w jakiej faworyt zostawał.

Część tęg rozmowy, niestety, królowa sama z za drzwi, wraz z O. Guarinim wysłuchiwała, ręce łamiąc.

Sułkowski wyszedł oślepiiony, pewien siebie, ufając w to że potrafi przerobić wszystko, i że nic mu nie grozi więcej. Z dawniejszą swą butą i zarozumiałością przywitał dworzan i urzędników, których na zamku spotkał, i po krótkiej rozmowie z nimi, kazawszy sobie podać lektykę dworską, do domu nieść się polecił.

W jego przekonaniu wszystko było jak najszcześliwiej skończone i zwyciężone. Wierzył w serce króla, widział walkę jaką stoczył z sobą, lecz pewien był że zwyciężył. W domu przywitał żonę pogodną twarzą, rozkazał zwołać Ludovicemu urzędników, przynieść papiery po południu i złożyć sobie raporta z czynności.

Ludovici nadbiegł pospiesznie i został odprawiony z tém, ażeby do dnia następnego były wygotowane punkta jak najmocniej mogące Brühla potępić, wykazujące nadużycia, fałszywe rachunki, zaległości i t. p.

Cała część dnia i noc następna miały być poświęcone zgromadzeniu dowodów jak najbardziej obarczających.

Radzca odebrawszy te rozkazy, wyruszył natychmiast dopilnować ich spełnienia.

Gdy się to działo u Sułkowskich, król przy obiedzie z początku do ust nic wziąć nie chciał. Znano go zbyt dobrze, ażeby nie użyto najskuteczniejszego środka. Frosch i Storch znaleźli się naprzeciw stołu, wyprostowani oba... mierząc się oczyma zwiastującymi wkrótce mającą wybuchnąć walkę. Frosch rozkraczony z rękami w kieszeniach, ani chciał spojrzeć na Storcha, raz nań czy dwa wzgardliwém rzuciwszy okiem; Storch przekrzywiwszy usta, zmrużywszy powieki, pokazywał nań palcem i stojąc wyprostowany nieznacznie, zwolna sunął się ku niemu. Dla niepoznaki nogi jego sklezione nie poruszały się, ale całym ciałem przyparty do ściany dźwigał się cicho ku współzawodnikowi, zdającemu się nań nie zwracać uwagi.

Gdy się znalazł tak blisko Froscha, iż między nięgo a ścianę mógł się wcisnąć, podniósł nagle kolano i na nięm podrzucił go w górę. Frosch uderzony krzyknął, król spójrzał i twarz mu się rozmarszczyła.

Zwykle owe trefne żarty rozpoczynały się z mimiką wyrazistą, ale w milczeniu. Okrzyk Froscha był znakiem rozpoczęcia wojny na języki. Oba ci bohaterowie słyęli z rodzaju dowcipu, który starczył na dnie powszednie królowi.

— Zdrajco! — zawołał Frosch stojąc naprzeciw Storcha — nie masz odwagi, mnie bohatera zaczepić i wyzwąć do walki, bo więsz że starłbym cię na pył, na proch i jedném dmuchnięciem nieczyste szczątki puścił na cztery wiatry! Zachodzisz mnie podstępem, nikkzemnie, podle, więc kara cię należna nie ominie.

Storch udając skruszonego i przestraszonego, przyczém oczy mu się wywrały tak, że w nich tylko białka widać było; nagle padł na kolana, złożył ręce i zdawał się błagać miłosierdzia. Nieporuszony tém Frosch rzucił się na schylonego i złożyło się tak, że przez głowę mu się przewaliwszy, nogami zawisł na ramionach; Storch wstał chwyciwszy go za pięty i zaczął z nim biegać po pokoju, ale go tymczasem obu rękami Frosch bił w plecy a w końcu za uszy pochwycił i oba się potoczyli na ziemię.

Król o wszystkiém zapomniawszy począł się śmiać i aż się wychylił, aby przyjemnego tego widowiska nie stracić; przywróciło mu to nawet apetyt i zaraz jeść łapczywie począł.

Królowa, choć ją to wcale nie bawiło, a na sercu miała troskę wielką, udawała że się śmieje.

Wkrótce potem przy niskim stolczku Frosch i Storch grali w warcaby najpocieszniej w świecie, zrywając sobie peruki i biegając za sobą po kątach.

Wszystko to wraz z kilkoma szklankami dobrego wina, poprawiło znacznie humor królowi, tak że Józefina nie wątpiła iż po obiedzie do pilnego dzieła przystąpić będzie można, które niecierpiałoby zwłoki.

Brühl z Ojcem Guarinim oczekiwali w królewskich pokojach. Minister nie wahał się w zamku na własną już odpowiedzialność wydać rozkazy, aby w razie zjawienia się Sułkowskiego, powiedziano mu iż N. Pan przyjąć go nie może. Szambelanowie mieli polecenie złożyć się czém chcieli, a na żaden sposób hrabiego nie dopuścić.

Była to walna bitwa, która niewiadomo czyjém skończyłaby się zwycięstwem, bo mowa Sułkowskiego pewne na królu uczyniła wrażenie, gdyby nie to że królowa Józefina słyzała część znaczną śmiałych wykrzykników hrabiego i poduszczeń do odzyskania niepodległości.

Jak zwykle August po obiedzie aż do opery lub muzyki śpieszył przywdziać szlafrok i zamknąć drzwi swe natrętom, i już zęgnął Józefinę nic o Sułkowskim nie wspomniawszy, gdy ona go sama zatrzymała w gabinecie.

— Auguście — zawołała — słyzałam co ci mówił i do czego cię nakłaniał Sułkowski.

— Gdzie? jak?

— Byłam u drzwi! — przerwała Józefina — i dobrze się stało że się tam znalazła przypadkiem. Ty jesteś aniołem dobroci, ale król takim być nie powinien. Ten zuchwalec obraził majestat królewski, mnie, ciebie; śmiał się zapomnieć do tego stopnia, aby ci radzić życie bezbożne. Auguście, jeżeli noga tego człowieka postanie na dworze, pioruny i kara boska ścigać nas będą.

Tyś to ścierpiał...

— A, a cóż? a jakże? — zapytał August — to mnie męczy. Ja potrzebuję spoczynku. Wypędzić go... no... wypędzić.

— Daj natychmiast rozkazy.

August posłusznie głową skłonił. Niedowierzająca mu jednak królowa, posłała natychmiast po Guariniego i szepnęła mu, aby działał niezwłocznie.

Brühl posępny i zmieszany czekał na pana. Zobaczywszy go nie powiedział nic August, tylko z wymówką pokiwał głową, pogroził, i rzucił się na krzesło.

Prawie w téjże chwili wchodził śmiejąc się O. Guarini.

— A! a! zguba się nam znalazła! N. Panie. Sułkowski powrócił, znać pomiarkował że niepotrzebnie szukać chciał szczęścia po świecie. *Chi sta bene, non si muova*. Źle mu tu znać było, jednak wrócił, bo gdzieindziej jeszcze gorzej!

August fajkę palić zaczynał, i wskazał nią na Brühla.

— Ten winien? ha? po co wpuścili! Królowa słuchała, głupstwa gadał... Pfuj!

— Nie jam winien, ale nas ktoś zdradził N. Panie — zawołał Brühl.

— Rób co chcesz — rzekł król żywo — nie chcę widzieć. Napisać rozkaz, do podpisu dać, posłać...

— Ale niema się czém trapić! niema sobie czém psuć humoru i zdrowia. N. Panie — dodał Guarini — Faustyna dziś śpiewa razem z AlbuZZi, są w najczulszej zgodzie, kochają się jak dwie gołąbki.

Obejrzał się August i zamruczał:

— *Amor, quel che piace!*

Był to początek śpiewu, którego o mało nie zanucił, lecz zaraz się zajął fajką.

O. Guarini dbały o to, ażeby smutne przerwać myśli, nastroił tak rzeczy, iż natychmiast wniesiono przysłany z Wenecyi przepyszny portret Giorgiona. Ujrawszy go król porwał się w uniesieniu:

— *A, che bello!*

Zapomniał o wszystkim.

— Co to za miękkość! jaka słodycz... co za koloryt, jakie życie! — wołał lubując się arcydziełem i oczy mu się uśmiechały.

W pół godziny potem w jakimś niezmiernie ważnym teatralnym interesie prosiła o posłuchanie Faustyna i otrzymała je.

Cofnęli się wszyscy. Nadzwyczaj ożywioną rozmową bawiła króla dobre pół godziny, a gdy wyszła August ją wzrokiem przeprowadzał tak rozpromienionym, jak gdyby ani ministrów, ani interesów, ani żadnego utrapienia na świecie nie było. Chmury zostały rozproszone do jednej.

Nie tak było łatwo niepokój królowej i innych osób, wpływających do spisku rozpedzić. Znano śmiałość Sułkowskiego, przywiązanie króla do niego, środki jakich mógł użyć ażeby się docisnąć, wiedząc obyczaj Augusta i mając na dworze przyjaciół i protegowanych wielu. Straże więc tego dnia rozstawiono wszędzie, około pałacu hrabiego, który się ruszać nie myślał, około opery, na zamku, u drzwi bocznych, u wnijscia na wschody wiodące do apartamentów królewskich...

O. Guarini nie odchodził na chwilę, królowa czuwała. Brühl naradzał się, biegał, hr. Moszyńska jeździła, Hennicke ze wszystkiemi podwładnemi, Globig, Loss, Stammer, cała czereda sekretarzy i służby Brühla, rozsypali się po mieście zajmując przeznaczone im stanowiska.

Ruch ten wszystek wcale nie obchodził Sułkowskiego, pewnego swojego zwycięstwa i wygotowującego notaty, któremi miał położyć przeciwnika. Hrabia swém ranném wystąpieniem dumny, przekonany był, iż niém wrażenie na królu uczynił, które wszelkie inne przeważy.

Żona mniej dowierzająca, pojechała wieczorem do królowej. Nie przyjęto ją zrazu. Zaniepokojona tęp, domagała się usilnie chwilowego posłuchania i wreszcie je otrzymała.

Józefina przyjęła ją bardzo zimno, lecz z narady O. Guariniego odegrać miała rolę całkiem nieświadomej spraw dworu i nie mięszającej się do niczego.

Hrabina Sułkowska panną będąc była freiliną królowej, miała jej łaskę i niczém na zmianę uczuć nie zasłużyła. Weszła do pokoju, w którym Józefina nad książką pobożną siedziała, niewiedząc sama jak ma rozpocząć rozmowę.

Z przybranym uśmiechem oznajmiła N. Pani, że przyszła się szczęściem swém z nią podzielić z powrotu męża. Z tego zręcznie przeszła do pogłosek, jakoby nieprzyjaciele jego szkodzić mu usiłowali.

— Moja hrabino — przerwała królowa — mówmy o czém inném, proszę cię; ja zajęta jestem mojami dziećmi, modlitwą, sztuką, ale do żadnych spraw i intryg dworskich się nie mięszam i wcale o nich wiedzieć nie chcę.

Jeszcze raz usiłowała uzalić się hrabina, królowa powtórzyła zimno:

— O niczém nie wiem. Król się mnie wcale nie radzi, ja się do jego spraw nie wtrącam...

Po krótkiej rozmowie zwróconej zaraz przez królowę na świeżo nawróconego i ochrzczonego Izraelitę, którego hrabina była kumą, potem na nabożeństwo postne, jakie się od Popielca zaczynać miało; pani Sułkowska wstała i ze smutkiem pożegnała królowę.

Czy uwierzyła w tę całkowitą nieświadomość wszystkiego, w to usunięcie się zupełne od dworskich intryg, odgadnąć trudno. Dosyć spokojna, bo nawykła wierzyć w męża, odjechała do domu.

Późno w noc nadszedł Ludovici, ale w humorze nie zwiastującym nic dobrego. Przychodził z oznajmieniem, że w poszukiwaniu aktów znajdował nieprzełamane przeszkody, że urzędnicy nie byli na swych miejscach po biurach, że wszystko się dnia tego rozpręgło, że go zbywano rozmaitemi nieprawdopodobnymi i śmiesznymi pretekstami i że na jutro w żaden sposób gotowym z papierami być nie może.

IX

Są charaktery podobne Sułkowskiemu, które niebezpieczeństwa do ostatniej chwili widzieć i wierzyć w nie nie chcą. Ani to co mu od królowej przyniosła żona, nie kryjąc iż była zbyt zimno i obojętnie przyjętą, ani to co mu oznajmił Ludovici, nie odjęło zaufania w siebie i wiary w przyszłość.

Zdawało mu się że król doń był nadto nawykłym, aby się bez niego mógł obejść. Pewien był, że na nim silne uczynił wrażenie ostatnią rozmową, jeżeli się to w ten sposób nazwać mogło; nie wiedział zresztą może sam na co rachował, lecz był zupełnie spokojnym. Żona, kobieta skromna, bojaźliwa, znająca dwór i dwory i to co się zwykło zwać łaską pańską, choć nie okazywała tego po sobie, w śmiertelnej była trwodze. Wiedziała dobrze iż nielaska w Saxonii, zwłaszcza gdy się zajmowali przygotowaniem jej nieprzyjaciele, nie kończyła się na prostém usunięciu i wygnaniu. Szła za nimi pod jakimkolwiek pozorem konfiskata dóbr, a często i wiekuiste więzienie bez sądu i bez wymiaru... trwające życie całe. Sułkowski popadłszy w nielaskę, zawsze mógł być strasznym swym nieprzyjaciółom, przez stosunki na dworach: francuzkim, austryackim i pruskim; cóż więc naturalniejszego było nad obawę, aby go nie zamknięto dla własnego bezpieczeństwa?

W śmiertelnej trwodze spędziła noc pani Sułkowska, kryjąc łzy swe, któremi mężowi męztwa odejmować nie chciała.

Hrabia przeciwnie był w wyborzym humorze, zwierając się żonie co mówił królowi i jakie na nim uczynił wrażenie. Pochlebiał sobie że sieci zastawione przez nieprzyjaciół potargał, że wszystko powróci do dawnego stanu i że on teraz obali tę klikę nieprzyjazną, a królowę usunie tak i otoczy, aby niebezpieczną być przestała.

Nazajutrz rano d. 5 lutego hrabia po męczącej podróży nie zasnął długo, obudził się o zwyczajnej godzinie, ubrał i wedle dawnego obyczaju pojechał do króla na zamek.

Gdyby był cokolwiek więcej miał przebiegłości a mniej zaufania w siebie, dostrzegłby był z łatwością, że zobaczywszy go, wszystek dwór spowaźniał; że niektórzy się nieznacznie z drogi usuwali, a ci co nie mogli uniknąć z nim spotkania, nadzwyczaj byli małomówni

i chłodni. Sułkowski miał dawniej swobodę wchodzenia do króla, kiedy mu się podobało i gdziekolwiek się znajdował.

Dążył więc prosto do pokojów króla, wiedząc gdzie go szukać o tej godzinie, gdy Löwendahl zaszedł mu drogę grzecznie bardzo i oznajmił, że król w swoim gabinecie pilnymi sprawami jest zajęty i bez wyjątku żadnego, nikogo a nikogo wpuszczać nie kazał.

— Ale to się do mnie stosować nie może! — zawołał Sułkowski, uśmiechając się.

— Nie wiem — odparł Löwendahl — może się to później wyjaśni, lecz darujesz mi hrabia, że ja ściśle się muszę pilnować rozkazów i nie śmiem ich tłumaczyć.

Nie chcąc się poniżyć do sporu Sułkowski, pewien iż się później pomścić potrafi tego niewłaściwego znalezienia się; ukłonił zdala, zawrócił i odszedł.

Postanowił przyjechać powtórnie o godzinie jedenastej, gdy król wszystkich zwykł był przyjmować. Schodząc ze wschodów, zdala zobaczył port-chaise Brühla i to go mocno ubodło.

— Ale cierpliwości — rzekł w duchu — cierpliwości; są to ostatnie wysiłki tych ichmościów, przecież nie będą śmieli drzwi mi zamknąć przed nosem. Zobaczymy...

Pojechał do kancelaryi Ludovici'ego i znalazł go bladym i pomieszanym.

— Papiéry? macie papiéry? — zapytał.

— Dotąd ich nie mam, zbieram to co wprzód było przygotowane; jest coś w obejściu się ze mną urzędników tajemniczego, nic dobrego i nic nam nie zwiastującego pomyslnego: chodzą, a raczej uciekają jak poparzeni.

— Ja to rozumiem bardzo dobrze — zaśmiał się Sułkowski — jakże chcesz, aby kto widząc swój upadek nie stracił głowy. Ja się jeszcze do N. Pana docisnąć nie mogłem, powiedziano mi że zajęty w gabinecie. Musi być walna narada co tu zrobić z Sułkowskim, który wszystkim szyki pomieszał.

Zaczął się śmiać, a Ludovici westchnął, ale z błędu wyprowadzać nie myślał.

Ważyło się przez chwilę, czyby nie jechać do Brühla. Właściwie on powinien był już być u Sułkowskiego; usunięcie się także było rodzajem wypowiedzenia wojny. Nieczyste ma sumienie, rzekł w duchu, nie śmie mi się na oczy pokazać, a może węzełki zwija czując odprawę. To pewna, że nie dam mu tu popasać długo. Ludovici nie był tego dnia do rozmowy, milczał, zamyślał się, stawał nie słysząc co doń mówiono; przechadzał, stękał. Sułkowskiego to prawie śmieszyło.

Nie mając co począć z sobą, dla żartu postanowił odwiedzić hr. Moszyńską, aby zobaczyć jak go też przyjmie i czy bardzo się przestraszy.

Ruszył więc do hrabinęj, ale tu przeproszono go że godzina była ranna, a hrabina nie ubrana. Wrócił do domu, gdzie żona go u progu spotkała niespokojna...

Sułkowski, żartując z jęj przestachu, powiedział że natychmiast jedzie napowrót do króla. Zamilkła na to. Było trzy kwadransy na jedenastą, gdy Sułkowski na zamek udał się znowu. W przedpokojach osób znalazł bardzo mało. Frosch i Storch, którzy tylko przy królu byli tak pocieszni, siedzieli z minami powszednimi ludzi znudzonych i nie mających najmniejszej ochoty do błaznowania. Storch miał od padania na ziemię bóle w kolanach, a Frosch posępny wyglądał jak noc i nie widać było w nim najmniejszego do wesołości usposobienia. Siedział z obowiązku, oczyma i sercem będąc za oknem gdzieś w domu.

Gdy Sułkowski do drzwi apartamentu się zbliżał, paź króla przybiegł i oznajmił mu że N. Pan był u Najj. Pani. Do królowej iść ani chciał, ani mógł Sułkowski; tam potrzeba się było anonsować i mógł być nie przyjętym. Przeszedł się kilka razy po przedpokoju i nie wiedząc co z sobą począć, udał się napowrót do lektyki. Chciał się kazać nieść do domu, ale wiedział że widok tak wczesnego powracającego zaniepokoi żonę, wolał więc przebyć tę chwilę gdzieindziej.

Ta powtórna niebytność króla mogła mu dać do myślenia: w istocie dorozumiewał się intrygi, lecz w skutek jęj nie wierzył. Postanowił stałością i cierpliwością przemódz te przeszkody, wytrwać na stanowisku, nie okazywać zniecierpliwienia i był zawsze jeszcze pewien że zwycięży.

Po drodze był dom Faustyny... Postanowił wstąpić do nięj. Znał on admiracyą króla dla śpiewaczki i jęj usposobienia, miał nadzieję jeśli się nie dowiedzieć czego od nięj, to przynajmniej wyrozumić.

Już w przedpokoju dochodziła go taka wrzawa włoska, że niemal chciał się cofnąć, aby nie wpaść w niewłaściwe towarzystwo... Wtém drzwi się otworzyły i Amorevoli, Monticelli, Albuzzi, Puttini, Pilaja, kilku francuzów krzycząc i kłócąc się jeszcze poczęło się wysypywać z pokoju. Zobaczywszy Sułkowskiego, wszyscy natychmiast umilkli, rozstępując się i kłaniając mu nisko.

Faustyna, która ich wypędziła, właśnie stała na progu: zdziwiła się na widok hrabiego i zmieszana nieco, z uśmiechem wymuszonym zaprosiła go aby wszedł.

— Kiedyż w. ekscelecyja wróciliście? — zawołała — my nic nie wiemy o jego powrocie.

— A, bo ja dotąd napół jestem *incognito* — rozśmiał się hrabia — proszę sobie wystawić, piękna pani, że od wczoraj nie mogłem dostąpić szczęścia oglądania pana mego. Trzy razy byłem w zamku, a dwa nie zostałem przyjętym. Ja!! — dodał Sułkowski, wskazując palcem na siebie.

— Zaczynam sądzić, że kilkomiesięczne oddalenie, uczyniło mi dwór i jego obyczaje niezrozumiałymi i przychodzę do was prosić o tłumaczenie.

— Hrabia sobie przyjemne żarty ze mnie stroisz — odparła Włoszka spoglądając nań z pewnym politowaniem i uwagą — ja znam tylko dwór ze sceny. Na scenie królową jestem lub boginią, a szedłszy z desek, zupełnie nieświadomą istotą tego co się w świecie dzieje.

— Jednakże — ciszej począł Sułkowski — powiedźcie mi, słyszeliście co? czy się tu jaka burza na mnie zebrała staraniem waszego przyjaciela Guariniego naprowadzona...

— Nic a nic nie wiem — trzęsąc głową ozwała się Faustyna — mnie moje kłopoty teatralne starczą. Być bardzo może że na was panie hrabio spiskują, ale wy przecież obawiać się tego nie potrzebujecie.

— Ani się też lękam, lecz chciałbym *tirer au clair*⁶, co to jest?

— To jest zazdrość i współzawodnictwo — odezwała się Bordoni — my w teatrach doskonale to znamy: rzecz niezmiernie powszednia.

— A lekarstwo na to?

Faustyna ruszyła ramionami.

— Kto może się usunąć, uciec, a kto ma ochotę walczyć musi się bić i trwać w boju, bo spokojności nie znajdzie nigdzie i nigdy.

Sułkowski nie śmiał jęj przypomnieć przestróg, jakie mu dawała przed kilką miesiącami, teraz mowa jęj i usposobienie były całkiem zmienione: Faustyna lękała się.

Widząc że się niewiele dowiędzie, hrabia spytał o nową operę, o muzykę, o Hassego; przeszedł się po saloniku kilka razy i pożegnał Faustynę.

Postanowił wprost jechać do domu. Pomimo wiary która go dotąd nie opuszczała, chmurne miał czoło i musiał się powstrzymywać, aby nie okazać niecierpliwości jakiej doznawał.

Przed pałacem znalazł ekwipaż dworski. Baronówna Löwendahl córka w. ochmistrza dworu była u jego żony. Sułkowski poszedł do salonu.

Na kanapie siedziały dwie panie zajęte żywą i niespokojną rozmową. Widząc go wchodzącego panna Löwendahl, żywa osóбка, niezbyt już młodziuchna, która zawsze o wszystkim była najlepiej uwiadomioną, porwała się z kanapki i podbiegła ku niemu. Na twarzy jęj widać było pomieszenie i rozdrażnienie niezwykle.

— Hrabia mi to najlepiej objaśniesz — zawołała witając się. Na dworze zaszły czy gotują się jakieś zmiany. Nie możemy odgadnąć co to być może.

— Ale zkądże panie to wnoszą? — zapytał witając się gospodarz.

— Wiem doskonale — poczęła żywo panna Löwendahl. Przed godziną król posłał po starego generała Baudissina, który leży na podagrę chory i kazał mu do siebie przyjechać.

Generał który ledwie o kiju się może po pokoju przechadzać, kazał przeprosić króla, tłumacząc się chorobą; mimo to posłano po niego raz drugi i widziałam na moje oczy sama że musiał jechać i pojechał na zamek.

— Nie wiem co to może być — odpowiedział spokojnie Sułkowski — Byłem na zamku dwa razy, ale oba razy najśmieszniej w świecie trafiłem tak że króla widzieć nie mogłem.

⁶*tirer au clair* (franc.) — wyjaśniać. [przypis edytorski]

Zaczął się śmiać, panna Löwendahl ciągnęła dalej szczebiocząc żywo.

— Od kilku dni już głoszą że Baudissin, który kilka razy napróżno o dymisyę prosił, dostanie ją nareszcie. Nic mu tak złego nie będzie, bo dawno odpocząć potrzebuje. Gorzej daleko, bo drudzy mówią że mój ojciec może także być odprawionym.

— Nie sądzę — rzekł Sułkowski — ale żem od kilku miesięcy nie był w Dreźnie, nie rozumiem tego wszystkiego, nie jestem *au courant*.

Panna Löwendahl spojrzała nań.

— Domyślić się łatwo. Miejsca są potrzebne dla nowych kreatur.

— Cicho! cicho! — przerwała hrabina — doprawdy ja się lękam już i słowa...

Hrabia ramionami ruszał.

— Popłoch próżny — rzekł — zmieni się to wszystko wprędce.

Na te słowa wszedł kamerdyner.

— Jego ekscelencja w. ochmistrz baron Löwendahl i J. E. generał Baudissin.

Wszyscy po sobie spojrzeli, marszałkówna poblądła i cofnęła się ku kanapie.

— Prosić — zawołał idąc ku drzwiom Sułkowski.

W téjże chwili wchodzili już oznajmieni goście, a Löwendahl zobaczywszy córkę, zdziwiony nieco na nią popatrzał, jakby wymawiał że ją tu znajduje.

Przywitanie było zimne, Sułkowski sztywnie i chłodno przyjmował gości, nie umiejąc sobie wytłumaczyć ich odwiedzin. Wskazywał im siedzenia, gdy Baudissin zbliżył się do niego i rzekł:

— Hrabia pozwolisz ażebyśmy mogli mówić bez świadków; przychodzimy z polecenia króla.

Twarz Sułkowskiego nie zmieniła się wcale, wskazał natychmiast drzwi przyległego gabinetu.

Kobiety które cichéj rozmowy posłyszć nie mogły, siedziały przestraszone i zacieka-wione. Sułkowska błada, drżała czując że to nie zwiastowało nic dobrego.

Panna Löwendahl chciała odjechać i nie miała siły, hrabina zatrzymywała ją gwałtownie.

Gdy się we trzech w gabinecie znaleźli, Baudissin, stare, posłuszne żołnierzysko z widoczną przykrością dobył z kieszeni fraka papier... rozkaz z królewskiej kancelaryi przysłany i przez króla własnoręcznie podpisany.

W milczeniu podał go Sułkowskiemu, który w przejściu z salonu do gabinetu, jak gdyby próg innego świata przestąpił, stał błądy i widocznie rażony jak piorunem.

Drżącemi rękami ujął ten papier, oczy nań zwrócił, czytał a nie rozumiał: stał jak obłąkany.

Löwendahl któremu i żal się go zrobiło i szło o to aby coprędzej się ztąd wydobyć, widząc że hrabia stoi, milczy i nie zdaje się rozumieć, o co idzie, stanął za nim i głośno czytać zaczął powoli...

Pismo było w niewielu wyrazach krótko zredagowane.

„J. Kr. Mość zauważywszy, że hrabia Sułkowski po kilkakroć i ostatni raz przy widzeniu się z nim, zapomniał się a uchybił J. Kr. Mości; uznał właściwem, urzędy jakie przy J. Kr. Mości sprawiał odjąć i od obowiązków wszystkich przy sobie uwolnić. Jednakże ze względu na długoletnią służbę jego, raczył mu pensją jako generałowi pozostawić”....

Coś gorszego może spodziewał się zapewne Sułkowski wnosząc z tego co innych spotykało, rozpatrzywszy się więc w piśmie, przyszedł wkrótce do siebie i odzyskał przytomność.

— Wola Najjaśniejszego Pana — rzekł — jest dla mnie świętą. Jakkolwiek czuję się niesprawiedliwie dotkniętym, skutkiem zapewne poduszczeń nieprzyjaciół moich, zniósł co mi przeznaczono.

Jeżeli się nawet zapomniał w obec J. Kr. Mości, pewnie to raczej było skutkiem mojej miłości dla N. Pana, niż braku poszanowania.

Baudissin i Löwendahl nie odpowiedzieli nic. Sułkowski przed którym niedawno jeszcze, niemal na twarz padali, ujrzał na nich pierwszych skutek nielaski.

Dawna grzeczność zapomnianą została: Baudissin obchodził się z nim jak z równym, a Löwendahl jak z podwładnym. W twarzach było widać zakłopotanie i chęć jak najrychlejszego uwolnienia się.

Oba skłonili się z dala, obłudno, Sułkowski oddał im ukłon i wyprowadził do sali. Tu zdaleka tylko pożegnawszy siedzące panie, wyszli co najrychlej. Hrabia niewiele już po sobie okazując wrażenia, przeprowadził ich grzecznie do sieni i powrócił spokojny niemal tak, że żona domyślić się z twarzy nie mogła co się stało. Potajemna ta narada nie była daremną.

Panna Löwendahl dosiadywała chcąc się o czémś dowiedzieć.

Nieśmiano go pytać.

Z zimną krwią Sułkowski przystąpił do stołu i spojrzął na żonę, której twarz wyrażała niespokojną ciekawość.

— Winszuję pani — rzekł głosem, w którym lekkie przebijają się drżenie — jesteśmy wolni. N. Panu podobało się ze swęj służby mnie odprawić. Nie boli mnie to nic a nic, chociaż dobrego i kochanego pana żałuję. Na dworze tym jednak w takim składzie okoliczności jaki jest dzisiaj, wytrwać uczciwemu człowiekowi było trudno.

Żona rzuciła się na kanapę zasłaniając oczy.

— Moja droga — rzekł hrabia — uspokój się, proszę. Przyczyną odprawy ma być to że m się w obec króla J. Mości zapomniał, co znaczy że m mówił niemiłą i nieproszoną prawdę; król mi zostawił raczył pensyę generalską a dał mi nieoszacowaną swobodę — dodał rękę wyciągając ku żonie — pojedziemy do Wiednia.

Panna Löwendahl patrzyła na hrabiego z podziwieniem. Nie mogła pojąć téj spokojności z jaką przyjął nagły swój upadek ze szczytu. W istocie duma Sułkowskiego nie dozwalała mu ani mocno uczuć wrażenia, ani go okazać. W prędkim czasie po piérwszém osłupieniu przyszedł do siebie i po pańsku przyjął co los mu wydzielił.

Być bardzo może, iż spodziewał się jeszcze zmiany...

Hrabina płakała.

Uczuła panna Löwendahl że była tu zbyt cną, bo pocieszyć nie mogła, a przytomnością swą nie dała się im wynurzyć przed sobą; ścisnęła więc w milczeniu rękę przyjaciółki i wysliznęła się z pokoju.

Sułkowska padła twarzą na kanapę.

— Droga moja — zawołał hrabia — zaklinam cię na wszystko, bądź mężną. Nie przystoi nam dać poznać żeśmy dotknięci. Zawdzięczamy sercu króla, że ja nie jadę jeszcze do Königsteinu na miejsce Hoyma i że zamiast mi odebrać majątek, zostawia mi pensyę. Wygnanie w Uebigau, na które jestem wskazany, niema w sobie nic strasznego i nie wyłącza nadziei... obalenia tego całego rusztowania, które zręczna ręka poczciwego, słodkiego, wiernego mojego przyjaciela Brühla zbudowała...

Uspokój się proszę cię.

Ale niełatwo łyż ukoić było.

Sułkowski nic nie mówiąc spojrzął na zegarek, podał rękę żonie i szepcząc pocichu, przeprowadził ją do jéj pokojów.

X

Jeżeli co może w człowieku obudzić najwyższą wzdrgę dla plemienia ludzkiego, to widok zmiany nagłej, jaką wywołuje ruina i upadek, przed chwilą jeszcze bałwochwalczo czczonego ulubieńca losu.

Jest w tém coś tak nikczemnego, tak upadającego, iż serce wzdryga się na to; ale w takich tylko razach człowiek poznaje świat i wyprobowuje swych współbraci. Kto nie przeszedł przez podobne przesilenie sam, nie odczuł tego co ono budzi w sercu, nie pojmie jaką goryczą zapływa.

Sułkowski który od dzieciństwa był przy królewiczu i nawykł uważać się za przyjaciela, który nie przypuszczał nawet, ażeby coś podobnego jemu się trafić miało, znosił swą dółę z dumą chłodną; lecz nie mógł się powstrzymać od najwyższej pogardy, jaką w nim już obejście się dwóch królewskich posłów wzbudziło.

Wysłał natychmiast po Ludovicego. Radzca był mu winien wszystko, był mu do ostatniej chwili wiernym; lecz... obawa o los, o miejsce, o stanowisko sprawiły że teraz już na zawołanie nie przybył, wymawiając się zajęciem urzędowém.

— Wypadnie więc — rzekł zimno hrabia — ażebym ja poszedł do niego z wizytą, choćby dla odebrania papierów, jeśli te nie są już w ręku Brühla, i jeśli niemi nie okupił przebaczenia.

Wybrawszy popołudniową godzinę, hrabia tegoż dnia udał się na zamek. Pochód ten był prawdziwą drogą krzyżową.

W mieście już od dwóch godzin wiedziano o upadku Sułkowskiego; chociaż jedną chyba dumą tylko mógł zawinić względem podwładnych i nikomu nic złego nie uczynił, a dla wielu był aż nadto dobrym, wszyscy się czuli w obowiązku okazywać mu, jak się radowali niepomiernie z jego upadku.

Przechodził około kancelaryi Brühla; zobaczyli go pisarczykowie przez okno: cała zgraja ich z piórami za uchem, z rękami w kieszeniach, ze śmiechem na ustach, wybiegła na ganek, w ulicę, żeby się wczorajszemu władcy, a dziś skazanemu winowajcy przypatrzeć.

Sułkowski słyszał i widział co się wkoło działo, ale miał tyle mocy nad sobą że się ani obejrzał, ani dał poznać iż coś widzi i czuje. Przeszedł wolnym krokiem i pominął ich, choć długo szyderstwa i wykrzyki dochodziły jego uszów.

Po drodze co krok spotykał kogoś z tych co wczoraj mu się najuniżeniej kłaniali, a dziś udawali że go nie widzą, lub wpatrywali się natrętnie nie zdejmując kapelusza, ażeby okazać iż sobie drwią z niego.

Mijały go powozy, z których ciekawe wychylały się głowy i ściagały go oczyma. Na zamku, wnijscie nieboszczyka nie uczyniłoby było pewnie większego wrażenia: szepty, cofania się, śmiechy, lub usuwanie się z drogi witały go wszędzie.

Nieśmiano mu drzwi zamknąć, ale służba nawet nie ustępowała idącemu. Przy tych usposobieniach trudno się było do kogo odezwać, nie było kogo zapytać.

Sułkowski cofnąłby się był może i nie postął tu więcéj, ale chciał i postanowił raz jeszcze króla zobaczyć.

Wiedząc godziny łatwo mu było obrachować, iż król nawykły do bardzo regularnego życia, przechodzić będzie przez garderobę, idąc do królowej. Tu szczęściem nie było nikogo. Wprawdzie służba mogła oznajmić N. Panu i przestrzedz o nim, lecz ważył się już na wszystko.

Przez kilkanaście minut, ów mocz co niedawno trząsał całym dworem i królem, pozostał sam, w kątku rozmyślając nad tém jakie los mu zgotował koleje. Zadumał się tak, gdy drzwi się otworzyły; król nie patrząc i nie widząc go wszedł z szambelanem, a gdy Sułkowski nagle przypadłszy do nóg mu się rzucił, chciał przerażony cofnąć się nazad.

Hrabia za nogi go pochwycił.

— N. Panie — zawołał — niegodzi się abyś sługę twego niewysłuchawszy odpędzał. Od dzieciństwa miałem szczęście wiernie sprawować me obowiązki przy osobie W. Kr. Mości.

Na twarzy króla zbladłego odmalowało się jak największe pomieszenie i trwoga. Głosem przerywanym zawołał:

— Sułkowski... ja nie mogę... idź... ja nie chcę słyszeć nic...

— Na Boga W. Kr. Mość zaklinam — podchwycił hrabia — nie domagam się nic oprócz tego abym czysty odszedł, bo się nim czuję i jestem w sumieniu. Racz W. Kr. Mość przypomnieć lata które przebyłem u jego boku, czym kiedy zawinił, czym się przewierzył, czym się zapomniał i przekroczył przeciw winnemu poszanowaniu....

Są ludzie którzy mnie chcą usunąć, aby oko pilne strzegące ich czynności, czuwać nie mogło; chcą mnie oddalić dlatego żem wierny. Królu...

Podniósł oczy, August swoje drżącymi rękami zasłaniał i niecierpliwie nogami tupął powtarzając:

— Nie chcę nic słyszeć...

— Ja się chcę tylko usprawiedliwić.

— Dość — zawołał król — mam najmocniejsze postanowienie rozstać się z wami: to się już zmienić nie może. Ani wam, ani rodzinie waszój, ani nikomu nic się złego nie stanie... bądź spokojny, ale idź, idź, idź!!

Król mówił to tak gwałtownie i z takim przestachem, jakby się obawiał aby kto nie nadszedł na tę scenę, lub żeby lzy go nie zmięczyły.

— N. Panie! — krzyknął w rozpacz hrabia porywając się z ziemi — nie chcę nic, ale niechże mi choć wolno będzie za doświadczone od W. Kr. Mości łaski i dobrodziejstwa złożyć ostatni raz dzięki; o ostatnią łaskę proszę: niech królewską rękę, której winienem tyle, ucałuję.

Królowi także na lzy się prawie zbierało, ale miał za sobą szambelana, świadka i szpiega zarazem; wyciągnął więc rękę drżącą, którą hrabia pochwycił okrywając pocałunkami.

— Królu mój! — zawołał — i tażto ręka mnie dziś odpycha niewinnego! Niewinnego powtarzam, bom chyba zbyt miłości dla W. Kr. Mości mógł zgrzeszyć.

Niepokój i trwoga w królu rosły widocznie.

— Dosyć! — krzyknął — ja was słuchać nie mogę, nie chcę, i rozkazuję odejść.

Sułkowski zmilczał już, skłonił się i odstąpił. August pominął go i rzucił się co żywiej do drzwi ku pokojom królowej wiodącym, które się zaraz za nim zamknęły.

Hrabia potrzebował chwili aby zebrać myśli i siły, sparł się o mur, ręką ucisnął czoło, pozostał tak jakiś czas i miał już odejść, gdy nadchodzący szambelan w sposób najnieprzyzwoitszy oznajmił mu ażeby dłużej tu nie bawił.

— N. Pan rozkazuje panu przezemnie natychmiast zamek opuścić, i nie pokazywać się więcej na dworze. Wolą jest N. Pana abyś pan zamieszkał w Uebigau.

Sułkowski spojrział dumnie, nic nie odpowiedział i wyszedł.

Wrzało w nim wszystko, umiał się jednak pohamować; ostatni wysiłek nadaremny był zrobiony: nie pozostawało nic nad wypicie tego kielicha bez wzdrygnięcia. Chęć jakiejś pomsty odzywała się w sercu, ale ją umiał przytłumić; wiedział że onaby raczej nieprzyjaciółom posłużyła niż jemu.

Powrócił do domu, aby rozchorowaną żonę uspokoić i zapewnić że się niczego lękać nie mają.

Wygnanie do Uebigau pod samém Dreznem, dozwalało się spodziewać i spotkania z królem i może wytłumaczenia. Chciał więc w pierwszej chwili Sułkowski zająć pałacyk mu przeznaczony, ale żona słysząc i mówić o tém nie dozwoliła.

— Brühl się tém nie ograniczy, będziemy w jego rękach! Znajdzie powód do nowego prześladowania, jedźmy natychmiast, uciekajmy z przeklętej Saxonii. Do Polski, do Wiednia, gdzie chcesz, byle nie tu!!

Przez cały ten wieczór około domu Sułkowskich widać było krążących ludzi, kupki stojące ciekawych przypatrujące się oknom, śledzące życia, pragnące widzieć i nasycić się drganiem ofiary. Sułkowski chwilami z za firanek niewidzialny, stawał i nawzajem wpatrywał się w tę tłuszcę nikczemną, ze wzgardą i oburzeniem. W ciągu wieczora nie ukazał się nikt, nie przyszedł, nie odezwał. Na dole tylko kamerdynerowi oddano urzędowy papier, którym J. Kr. Mość uwalniał hr. Sułkowskiego od sprawowania obowiązków ministra spraw zewnętrznych, wielkiego podkomorzego dworu i wielkiego koniuszego.

Papier ten rzucił hrabia na stół nie mówiąc słowa.

Tegoż wieczoru po powrocie z zamku, było przyjęcie u Brühla. Nim się goście zjechali, minister wyszedł do sali, aby być gotowym na ich przyjęcie. Twarz jego zdradzała poruszenie wielkie i niepokój, znużony był po ciężkiej walce. Rzucił się właśnie na fotel, gdy z przeciwnéj strony weszła pani Brühlowa.

Nim ją zobaczył zatopiony będąc w myślach, miała mu się czas przypatrzyć. Z sztyderskim nieco wyrazem poglądała na niego.

Postrzegł ją nareszcie i wstał.

— Powinnam powinszować panu — odezwała się — jesteś jedynym panem sytuacji, królem Saxonii i Polski, Hennicke namiestnikiem, Los, Stammer i Globig wice-królami! nieprawdaż?

— A pani królową — rzekł uśmiechając się Brühl — *a double titre!*⁷

— Tak jest — rozśmiała się Brühlowa — i zaczynam się oswajać z mym stanem, znajdując że jest wcale znośnym.

Ruszyła ramionami.

— Byle to dłużej trwać mogło niż królestwo Sułkowskiego. Zapomniałam — śmiejąc się szepnęła — że waćpan rozumnie bardzo oparłeś swój tron na ramionach kobiet.

⁷*a double titre* (franc.) — podwójnie. [przypis edytorski]

Królowa, ja, która jestem drugą, Moszyńska i pani Sternberg, to coś znaczy; nie licząc Albuzzi, bo ta jest nadliczbową.

— Pani sama jesteś temu winną, iż muszę obcej pomocy szukać i serc poza domem.

— A! serc! serc! — przerwała Brühlowa — ani pan ani ja o sercach mówić nie mamy prawa. Mamy fantazyje nie serca, mamy zmysły nie uczucia, ale... tak lepij.

Odwróciła się od niego.

— Jedno słowo — odezwał się Brühl podchodząc za nią — jedno ciche słowo; później przyjdą goście i nie będę miał szczęścia rozmówić się z panią.

— To słowo?

Brühl się prawie do ucha przybliżył: — pani się kompromitujesz!

— Naprzykład?

— Ta młodzież z mojej kancelaryi...

Brühlowa zarumieniła się, minkę nastroiła dumną i gniewną.

— Mam moje fantazyje! — rzekła — a nikt mi ich zabronić nie może. Proszę się do nich nie mieszać, jak ja się nie wdaję w to co pan minister robi. Bardzo proszę!

— Pani!

Na te słowa, które zdawały się małą małżeńską sprzeczkę rozpoczynać, weszła hrabina Moszyńska, ożywiona, promieniejąca. Zbliżyła się do Brühlowej podając jej rękę i zawołała głośno:

— A zatem zwycięstwo! *sur toute la ligne!*⁸ W mieście całém mówią tylko o tém: dziwiają się, drżą...

— Cieszą — dodał Brühl.

— No, nie wiem doprawdy — przerwała Moszyńska — ale nam na tém dosyć że my się cieszymy z upadku tego prokonsula⁹. Jesteśmy przecież raz *en famille*¹⁰, i nie potrzebujemy się kłaniać pysznemu panu.

— Cóż słyhać? co myśli? — spytał minister.

— Jeżeli go znasz — zawołała Moszyńska — powinieneś się domyśleć. Pojedzie naturalnie do Uebigau, będzie siedział potrząsając głową po dawnemu i starać się nieomieszka zabiegać drogę królowi, intrygować, aby do łaski powrócić.

Brühl się rozśmiał.

— Tak, to bardzo do prawdy podobne; ale, droga pani... od Uebigau niedaleko do Drezna, ale też blisko i do Königsteinu... Wątpię... wątpię...

Nadchodząca hrabina Sternberg, żona nowego posła austriackiego, piękna czarnooka Wiedenska, pańskiego oblicza, arystokratycznej postawy, uchodząca także za Egeryę Brühla, wtrąciła, prawie nie witając się:

— Trzymam zakład że pojedą do Wiednia.

Brühl się skrzywił.

Dwie panie rozpoczęły z sobą rozmowę pocichu, a Moszyńska wzięła Brühla na stronę.

— Popelniliście błąd — rzekła — nigdy się nie powinno rzeczy robić przez połowę; będzie się mścił: należało go zamknąć...

— Królby na to nie zezwolił w pierwszej chwili — odezwał się Brühl — zanadto żądając mogliśmy go doprowadzić do otwartego buntu, a naówczas Sułkowskiby nam poucinał głowy. To jedno; powtóre, znam hrabiego i dlatego się go nie boję, głowa słaba: spisku uknuć nie potrafi. Nim wyjedzie z Uebigau, ja znajdę dowody na przywłaszczone dwa miliony talarów, a naówczas Königstein będzie usprawiedliwiony.

— Brühl! — rozśmiała się Moszyńska — dwa miliony talarów... a ty...

— Ja nie mam grosza! — zawołał minister — ja się rujnuję na występy, aby panu mojemu honor uczynić: jam w długach...

Zbliżył się do ucha hrabinéj.

— Nie sądz pani ażebym był tak ograniczony, bym nieprzyjaciela wypuścił z rąk niedobiwszy, ale musiałem to rozłożyć na dwa *tempa*. Z Uebigau w którym żyć musi, i zkad

⁸*sur toute la ligne!* (franc.) — na całej linii. [przypis edytorski]

⁹*prokonsul* (z łac. *proconsul*) — w starożytnym Rzymie tytuł nadawany od I w. p. n. e. konsulom po zakończeniu kadencji, równoznaczny z objęciem funkcji zarządu przydzielonej prowincji. Prokonsulowie w swoich prowincjach posiadali szerokie uprawnienia administracyjne, wojskowe i sędownicze. [przypis edytorski]

¹⁰*en famille* (franc.) — rodzina. [przypis edytorski]

nie tak szybko mi ucieknie, dostanę go gdy zechcę. Tymczasem zbieram dowody nadużyć. Król za kilka tygodni zgodzi się na wszystko.

Rozśmiał się dziwnie, gdy wtém nadchodzący wielki ochmistrz Löwendahl zmusił go opuścić hrabinę, która wolnym krokiem do kobiet przeszła.

Z Löwendahlem poszli znowu na ustronie.

— Jakże on to przyjął? — zawołał Brühl.

— Z razu osłupieniem, ale po chwili bardzo mężném sercem i wielką dumą.

— A jednak — syknął Brühl — mówił mi szambelan Friesen, że zaskoczywszy króla w garderobie, pełzał u nóg jego.

— To być może — rzekł Löwendahl — ale...

Nie miał czasu dokończyć, kamerdyner odedrzwi dawał mu znaki, musiał więc przeprosiwszy odbiedz gościa i pójść dowiedzieć się dla czego pilnego tak go odwoływano. Nie bez niepokoju przechodził salon, bo choć króla strzeżono pilnie, lękał się jeszcze aby dawny ulubieniec, pisma jakiego nie podrzucił, lub sam, mimo zakazu, nie przekradł się do zamku. Wiedziano o stosunkach jego z O. Voglerem, a choć jezuita rzadko bywał dopuszczany do króla, jako duchowny miewał wszelkiego czasu posłuchanie.

W gabinecie czekał Henniecke, dosyć poufale rozparłszy się na krześle. Wprawdzie ruszył się na widok ministra, ale znać było że go sobie lekceważył i że potrzebniejszym był on Brühlowi, niż Brühl jemu.

— Cóż tak pilnego — z wyrzutem począł minister — ludzie mogą sądzić że się coś stało?

— A! niech tam sobie sądzą — niecierpliwie odrzucił Henniecke — wasza ekscellencya bawisz się a ja pracuję; ja nie mogę dogadzać fantazyom jego.

— Coś ty oszalał?

— Ja? — zapytał spokojnie Henniecke.

— Zapominasz się! — zawołał Brühl.

Henniecke rozśmiał się.

— No no, dajmy temu pokój ekscellencyo, dla wszystkich możesz być wielkim człowiekiem, ale dla mnie...

Machnął ręką.

— Cobyś wasza ekscellencya znaczył bez Henniekego?

— A ty bezemnie? — zawołał trochę gniewnie Brühl.

— Ale ja jestem widelec, którym każdy minister musi jeść: to co innego.

Brühl złagodniał. No, coż tam? co? mów?

— Cobyś mi miał wasza ekscellencya dziękować, to burczysz. Henniecke był lokajem to prawda, ale właśnie dlatego że nim był nie lubi przypomnień dawnych.

To mówiąc rozwijał papiery.

— Ot co przynoszę: Ludovicego upoiłem, zapewniłem że go zrobimy radczą tajnym w departamencie i ręczę że takim tajnym będzie, iż nikt w świecie o tém się nie dowie! cha! cha! Mam już wskazówki. Są summy pobrane z akcyzy, są kwity, są zaległości wojskowe. Ho! ho! znajdzie się tego dużo! A z czegożby dobra kupował! Przecież po królu Leszczyńskim je nabył.

— Trzeba żeby dowody były — rzekł Brühl.

— Czarno na białém — mówił Henniecke.

— Na kiedy gotowém być może?

— Za dni kilka.

— Zbytecznie się śpieszyć nie mamy potrzeby — mówił Brühl — król musi pierwszy swój krok wielki wydychać. Faustyne zaśpiewa, O. Guarini zagada, prochu trochę wystrzelamy. Scena w korytarzu się zapomni, dopiero można będzie do drugiego aktu przystąpić.

Główną jest rzeczą, aby nikt tajemnicy nie wydał, aby się tego nie domyślano, aby podejrzenia nie miał i nie drapnął nam...

Henniecke który się wpatrywał bacznie w swego pryncypała, dodał:

— Trzeba mu niewidzialną wartość postawić i tu i w Uebigau. Wypadnie aby się kilku lokajów odprawilo; nie wielu on ich tam ma, a natomiast mu się nastręczy sług z naszój ręki, którzy czuwać będą i donosić.

— Bardzo dobrze — rzekł Brühl.

— Spodziewam się że dobrze, bo ja nigdy źle nic nie obmyślam — dodał Hennieke.
— Gdyby się nam wymknął do Wiednia, do Prus, choćby do Polski — rzekł zadumany Brühl — byłaby rzecz niewygodna i niesmaczna.

— Ba! i niebezpieczna — począł Hennieke poprawiając perukę — choć to głowa nie tęga, ale żadnym nieprzyjacielem gardzić się niegodzi.

— Zatem rzecz postanowiona — szepnął Brühl — waćpan zbierasz dowody winy. Mnie, który po nim biorę spadek, nie wypada przeciwko koledze i współzawodnikowi działać otwarcie. Ja go ciągle przed królem bronię i za nim proszę. Papiery te, niby przypadkowo podchwyczone zanieś hr. Wackerbarth-Salmour, to rzecz ułożona.

Chciał już odchodzić.

— Słuchaj Hennieke — rzekł cicho — ty się oddalać nie możesz, ale Globiga do tego użyć najlepiej. Już ciż takiego gościa jak Sułkowski w lada komórce osadzić niepodobna, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa, wypadnie mu tam dłużej zamieszkać. Rozumiesz! Globig niech pojedzie spacerem, sanna bardzo dobra, zapusty, ot tak... w odwiedzinach do komendanta i niech sobie opatrzy jakich czystych kilka pokojów dla hrabiego, żeby znów niezbyt mu było źle. Jest tam teraz próżnych dosyć. Niemówiąc dla kogo i co, niech oczyszcza, ale tak, żeby się tam nie domyślano.

Hennieke się rozśmiał. Wasza ekscellencya nie zapomnisz o mnie, że za takiego grubego zwierza coś mi się gościńca należy.

— Gdy go zamknijemy do klatki — rzekł Brühl. Ale mój Hennieke, powiadasz bym ja o tobie nie zapomniał, a mnie się zdaje że ty najlepiej sam o sobie pamiętasz.

— A wasza ekscellencya! — wyrwał się Hennieke, który papiery składał — obaśmy z jednego materiału, nie mamy się co okłamywać. Znamy się dobrze.

Brühl choć go tak ex-lokaj brutalsko częstował, nieśmiało nic odpowiedzieć, owszem łagodził go. Był mu potrzebnym.

Z wypogodzoną twarzą powrócił minister na pokoje, gdzie już stoliki do gry były gotowe. Pani Moszyńska bijąc paluszkami o stół, oczekiwała na niego.

— Siadajże — odezwała się — już o tej godzinie interesa wszystkie spać iść powinny!

XI

Zapusty w tym roku były weselsze niż w przeszłych latach, wszyscy starali się rozweselić króla, na którego czole często widać było jakoby obłok smutku i tęsknoty. W godzinach poobiednich ziewał czasami, a żarty O. Guariniego chybiały i niesłuchane rozpraszały się w powietrzu. Uproszono Faustynę aby śpiewając, podchodziła bliżej łoża królewskiej i dobieierała najulubieńszych aryi. Frosch i Storch mieli przyobiecane osobne wynagrodzenie za podwójną dozę żartów; strzelano co dzień do tarczy, soliści popisywali się świetnie, zabawy na zamku jaśniały przepychem strojów i bogactwem wymysłów. Brühl nie wychodził prawie z zamku, a ile razy król pozostał sam, stawał u drzwi czekając na rozkazy i zgadując myśli. August też bywał niekiedy w wesołym humorze i chrząkał a śmiał się ochoczo; ale czasem wśród uśmiechu napływała chmura, oblicze się nią zaciągało nagle: król odwracał się do okna, i zdawał się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Zaraz nazajutrz posłano Sułkowskiemu rozkaz niezwłocznego udania się do pałacyku wcale nieprzygotowanego na przyjęcie go zimą, do Uebigau. Musiał opuścić Drezno. Czatowali nań ludzie, żeby przeprowadzić go śmiechem i szyderstwami i oznakami lekceważenia.

Przy powozie hrabiego biegł jego piesek ulubiony Fido, zasadził się nań strzelec około mostu i pod karetą Sułkowskich z pistoletu go ubił.

Działo się to w biały dzień, wśród miasta a nikt nie rzekł słowa. Zuchwalec tryumfował, patrzący się śmieli, pies biedny padł ofiarą. Pani Sułkowska rozplakała się w powozie, hrabia ani wyjrzał, ani rzekł słowa: zniósł to ze stoicką rezygnacją, udając że o niczym nie wie.

Nikczemna tłuszcza przeprowadzała jadącego za most, biegnąc za powozem z krzykami. Woźnice popędzali konie, hrabia patrzył w dal chłodnymi oczami i ani drgnął nawet: nadto czuł się wyższym nad to aby cierpieć.

Hennieke i kancelarya Brühla wiedziała o tym dobrze, (jeśli do tego nie wpływała), doniesiono Brühlowi: uśmiechnął się tylko....

W mieście krążyły najosobliwsze powieści. Bądź co bądź nowy minister, który w kilka dni potem wziął na siebie znacznieszą część dostojęństw od których dawnego faworyta uwolniono, dowiedział się też przez swoich szpiegów, że upadek Sułkowskiego raczej żal obudza niż radość, raczej przestrasza niż nadzieję polepszenia. Szemrano wszędzie.

Brühl na to miał jeden ratunek: odosobnienie króla takie, aby słowo nieupoważnione do uszów jego nie doszło. Zaraz następujących dni rozpoczęło się obsadzenie wszystkich miejsc, których urzędnicy mieli przystęp do króla. Brat Brühla wszedł w obowiązki w. marszałka dworu, pozmieniano nawet paziów i lokajów podejrzanych o sprzyjanie i stosunki z Sułkowskim.

Karmiono Augusta wszystkiemi co tylko mu smakować mogło, ale go wzięto w opiekę najściślejszą. Było mu z tém zupełnie dobrze, bo oprócz dogodzenia nałogom swym nie potrzebował nic.

W piérszjej chwili o usunięciu i oddzieleniu królowej, dla zapobieżenia wpływowi jój, mowy być nie mogło; lecz w planie Brühla stało już pozbycie się Józefiny, jako najbliższa konieczność. W największej tajemnicy mógł to przygotować z pomocą żony; O. Guarini byłby się może na tak radykalny środek nie zgodził. Brühl czuł się wszechmogącym, a jego podwładni vice-króliki, jak ich nazywano, podnosili głowy do góry.

Obawa Sułkowskiego trwała jednak zawsze, sprawa z nim rozpoczęta była ale nie dokonana. Hennicke zbierał dowody nadużyć i rozproszonych pieniędzy. Szło o odebranie mu Fürstemburgowskiego pałacu, który od króla dawniej otrzymał w podarunku, o odjęcie mu pałacu w Uebigau i o zamknięcie rywala na klucz w Königsteinie, czego tyle było przykładów dawniejszych za panowania Augusta Mocnego, iż Brühl na nich się opierając, spodziewał się to dokonać łatwo. Sułkowski na swobodzie był wiekuiestém niebezpieczeństwem: Sułkowski w Wiedniu z żoną, był wrogiem na przyszłość straszny.

Przyczyniło się i to do zwiększenia obawy Brühla, iż odepchnięty hrabia nie okazywał się wcale przybitym. Przewożono sprzęty niedostające do Uebigau, a piękne położenie pałacu z widokiem na całą nad-Elbiańską okolicę, czyniło go wcale znośnym pobytom. Z okien swych mógł Sułkowski co dzień oglądać wieżę tego zamku, w którym niedawno panował.

Karnawał miał się ku końcowi, hrabia nie ruszał się z przeznaczonego mu miejsca pobytu.

Śledzono z ciekawością jego kroki, nie można się było dowiedzieć nic. Z miasta nie jeździł tam nikt, samotność była straszną. W Briesnitz zasadzone szpiegi napróżno wypatrywali gości. Ludzie z pałacu jeździli co dzień po żywność do Drezna, ale oprócz przekupek na rynku nie widywali nikogo. Nie dawał się pochwycić na niczém winowajca.

Co się działo w pałacu? nie wiedział nikt. Hrabia czytywał po całych dniach i rozmawiał z żoną, pisał listy, ale jaką drogą one i dokąd szły, tego doszedzić nie było podobna.

Jednego poranku Brühl wszedł z papierami do króla. Nic przykrzejszego królowi być nie mogło nad widok papierów i perspektywa rozmawiania o intrygach. Najmniejsze słowo sprowadzało chmury i ziewanie.

Brühl skracał też przykrą pracę, dając gotowe rzeczy do podpisu. Zasiadał August do stolika i nie rzuciwszy nawet okiem na akta kładł na nich jakby odbity z pomocą jakiejś maszyny podpis, zawsze jednakowy, czysty, wyraźny, majestatyczny i spokojny.

Tego dnia spostrzegłszy stos papieru, król zaczął się już gotować do pańszczyzny podpisywania, ale Brühl stał nieruchomie nie rozkładając tego co trzymał w ręku.

Kilka wejrzeń pytających skłoniło go wreszcie do mówienia, z którym się ociągać zdawał.

— N. Panie! — rzekł — dziś przybyłem w takiej przykrzej sprawie, że radbym jój i dla siebie i dla pana mojego najmiłościwszego uniknąć.

Król usta wykrzywił i poprawił perukę.

— Wolalbym żeby się tego podjął kto inny, ale nikt mnie wyręczyć nie chciał; — westchnął Brühl.... Muszę więc sam to przedstawić N. Panu.

— Hm?? — odezwał się August.

— W. Królewska Mość przyzna mi — mówił dalej minister — że do sprawy Sułkowskiego wcale się nie mieszałem.

— Skończone! dosyć! skończone! — przerwał niecierpliwie trochę król.

— Nie zupełnie — kończył Brühl — i to właśnie jest nieszczęście. Objąłem po nim sprawy; jestem człowiek sumienny, musiałem wejść we wszystko.

Oczy króla otwarte szeroko patrzyły na mówiącego, było w nich niemal coś groźnego.

— Znalazły się w papierach rzeczy, korespondencje ogromnie obwiniające niewdzięcznego sługę W. Kr. Mości; nadużycia, deficyt w kassie.

Król chrząknął mocno.

— Ale ja mam pieniądze jeszcze? Brühl? — zapytał żywo.

— Są, przecież nie tyle ileby ich być powinno — zniżając głos mówił minister. — Gorsza daleko iż listy, stosunki, komunikacje z dworami kompromitują Sułkowskiego i wskazują go jako wielce niebezpiecznego człowieka. W Polsce, jeśli się tam uda, będzie, zasłonięty prawami Rzeczypospolitej, wicherzyć; jeśli pojedzie do Wiednia, tam też może być niebezpiecznym. Słowem, gdziekolwiek się udał...

Mówiąc to Brühl powoli patrzył na króla jak w tęczę, zdawał się rachować z wrażeniem i do niego zastosowywać słowa. Znał on dobrze twarz i humor pański, a mimo to nie umiał sobie dobrze teraz wytłumaczyć co ona oznajmywała. August patrzył i słuchał zdumiony, oczyma biegał po pokoju, wracał na Brühla, czerwieniał, bladł, był zmieszany, żaden wyraz z ust mu się nie dobył.

Na chwilę przestał mówić minister, czekał. August chrząknął mocno. kaszlnął i wlepił oczy wyzywające w niego.

Kończył więc nie mogąc inaczej.

— W. Królewska Mość zna mnie i wie że jestem przeciwnym wszelkim gwałtownym środkom, ja też kochałem tego człowieka, byłem jego przyjacielem, mogę powiedzieć, dopóki się panu mojemu nie przენiewierzył. Dziś jako minister, jako sługa wierny, gwałt sercu zadać muszę.

Rozpoczęcie sprawy zapewne było z O. Guarinim obrachowane w ten sposób, iż Padre miał nadejść wśród rozmowy, i w istocie zjawił się w tém miejscu. Król chciał zużytkować inaczej przybycie Guariniego i przywitawszy go zapytał o Faustynę.

— Zdrowiuteńka! — zaśmiał się Ojciec. — *Chi ha la sanità e'ricco e se no'l sa...*

Ale Brühl stał z temi nieszczęsnymi papierami.

— W. Kr. Mość pozwolił bym tę niemiłą sprawę zakończył — rzekł, wtrącając się żywo. — O. Guarini wie o wszystkiém.

— A! wie! to dobrze! I zwrócił się król do Ojca. A co mówi?

Padre ramionami ruszył.

— Co pan mówi miłościwy! — odrzucił śmiejąc się — a ja! jam kapłan, ksiądz, mnie się niegodzi.

Nastąpiło milczenie, August oczy spuścił w ziemię; Brühl się uląkł nieco: szło wszystko w odwłokę.

— Za życia najjaśniejszego rodzica, Augusta Mocnego — podchwycił — Sułkowski byłby już na Königsteinie.

— Nie nie — rzekł August; ale usta mu się ścisnęły i zbladł, popatrzał na Brühla, wstał, przechadzać się zaczął.

Guarini z rękami złożonemi stał wydając westchnienia głębokie.

— Nigdy nie nastawałem na obchodzenie się surowe z nikim — rzekł Brühl — byłem i jestem za przebaczeniem, ale tu są ślady takiej niewdzięczności, takiego zdraźdźstwa.

Jezuita oczy w niebo podniósł i westchnął raz jeszcze....

Oba oni z Brühlem śledzili najmniejszy ruch króla i nie wiedzieli co sądzić. Nigdy może nie był tak zagadkowym. Znając go byli pewni iż przemódz i zwyciężyć potrafią, ale szło o to, aby nie nużyć Augusta, bo zmęczony miał zawsze długo żal do tych co go nudzili. Brühl spojrzął na Guariniego oczyma nagląc aby dobijał poczętego targu. Padre odstrzeżli podobnym wejrzeniem zdając to na ministra. August na podłodze nogą miał rozslany kobierzec i prostował, o czém inném myśląc.

— Co W. Kr. Mość rozkaże? — spytał natarczywie Brühl.

— Gdzie? jak? co? — mruknął król.

— Z Sułkowskim...

— A, z tym, tak... tak... — I znowu kobierzec król miał nogą patrząc na ziemię.

Naostatek jakby z wielkim wysiłkiem odwrócił głowę do Brühla i wskazał ręką na stół:

— Papiery te do jutra.

Minister się zmieszał, na żaden sposób nie chciał i nie mógł zostawić papierów. Chociaż pewnym był że ich król czytać nie będzie, obawiał się czegoś niespodziewanego, był nadto ostrożnym, rachował że się to da za jednym zamachem dokonać. On i Guarini nieznacznie spojrzeli na siebie.

— N. Panie — odezwał się Włoch cicho — to taka gorzka potrawa, że jój na dwa dania niewarto rozkładać. *Alcun pensier no paga mai debito*, co tu myśleć?

Król nic nie odpowiedział, po chwilce odwrócił się do Brühla:

— Strzelanie do tarczy po południu na zamku.

Wtrącenie tego rozkazu było znaczące, Brühl stał zmieszany.

— Ostatni jeleń długo nas męczył — dodał — ale rogacz był téż wart pracy.

Milczał trochę.

— A żubr ostatni zdechł — dodał — i westchnął.

Zegar wskazywał godzinę, w której król zwykł był iść do królowej, kazał zawołać szambelana.

Brühl czuł się odprawiony z niczém, a cały zachód był stracony. Nie wiedział czemu ten opór przypisać; Guarini i on spoglądali na siebie. Król spieszył z wyjściem. Musieli natychmiast za nim wyjść także z pokojów i Brühl wciągnął spowiednika do gabinetu przyległego.

Papiery rzucił na stół zniechęcony.

— Nie rozumiem — rzekł.

— *Pacienza! Col tempo e colla paglia Maturano le nespole!* — odparł Guarini — do jutra, to nie mogło się stać tak prędko. Król nie mówił nic, oswoi się z tą myślą, a że nic mu tak nie cięży jak ponawiane szturm, postawicie na swoim.

Zamyślił się minister.

— Zawsze to źle! — rzekł — w sercu coś dla Sułkowskiego zostało.

Poczęli szeptać i naradzać się z Guarinim. Jezuita natychmiast udał się do królowej, Brühl z papierami do domu.

Najregularniejszy w życiu swém król, jak mówiliśmy już, w popołudniowych godzinach, które szlafrokowemi nazywano: przy fajce, przypuszczał do siebie tylko tych co go mogli zabawić. Brühl jeśli się tam zjawił o tym czasie, musiał także zapomnieć o obowiązkach ministra, a wziąć na siebie trefnisia. Lecz że o tych godzinach nie groziło żadne niebezpieczeństwo, bo nikogo na zamek oprócz domowych nie wpuszczano; bardzo rzadko zjawiał się minister. Król bawił się z trefniami swemi, lub wedle fantazyi, nie wolno mu tylko było wezwać nikogo takiego, któryby do dworu nie należał, a Brühlowscy zausznicy, gdyby nawet rozkaz odebrali, znaleźliby sposób nie spełnienia go, aż zasięgnąwszy rady ministra.

Z czasów Augusta Mocnego, pozostał jak inni, przywiązany do dworu, sławny ów Hanswurst N. Pana, Józef Fröhlich, który się nosił z kluczem srebrnym szambelańskim na grzbiecie, biorącym w siebie kwartę wina.

Lecz dawniej ulubiony panu, teraz był tylko po nim pamiętką. Brühl który mu nie dowierzał, starał się go usuwać równie jak barona Schmiedel. Całkiem jednak dawnych sług ojca nie dopuściłby był August odpędzić. Fröhlich miał swój dom za mostem (*harrnhaus*), miał się już dobrze i nie często się pokazywał u dworu; ale ilekroć się pokazał, dosyć było Augustowi twarz jego pucolowatą i śmiejącą się zobaczyć, aby się już śmiać na kredyt, nim jeszcze wyrzekł słowo.

Dnia tego po obiedzie nie było Brühla. Frosch dostał fluksyi od policzka który mu Storch wymierzył, niby żartem... za co został ukarany aresztem przy kuchni. Nie bardzo się więc zdziwiono, gdy król pazia wysłał aby mu Fröhlicha sprowadził. Ponieważ figle Fröhlicha najwyrazistszemi się stawały i działały najmocniej gdy naprzeciw wesołej twarzy starego trefnisia stanął kammer-kuryer, baron Schmiedel z melancholiczném swoim obliczem; paż zapytał czy i Schmiedel miał być wezwany.

Król potrząsł głową i powtórzył mu:

— Fröhlich sam.

Wielkie było zdziwienie starego Hanswursta gdy mu na zamek iść kazano. Wdziął jak mógł najżywiej jedną ze trzechset sukni pstrych, które mu sprawił August Mocny; klucz swój przyczepił i puścił się mimo wichru przez most pieszo, myśląc tylko czém N. Pana zabawić potrafi.

Trefnisie też mają chwile, w których się im śmiać i śmieszyć nie chce. Jedną z takich właśnie przebywał ów Fröhlich *semper, nunquam traurig* na medalu, ale w naturze często jak ocet kwaśny. Nie wydawał się on z tém że mu terazniejsze panowanie wcale w smak nie szło, stare czasy wydawały mu się nieskończenie lepszemi, choć w istocie wcale nie były dobre.

Nałóg tylko i długie nawyknienie do wydobywania z siebie wesołości na rozkazy, zdołały z Fröhlicha i tym razem wykrzesać iskierkę... z którą w oczach i minie stawił się przed królem.

Oprócz dowcipu swego miał dla zabawy Fröhlich wielką zręczność w kuglarskich sztukach i tym razem łatwiej mu było począć od figla, niż od konceptu.

Uklękawszy przed królem i złożywszy czołobitność, Fröhlich oświadczył, iż tak biegł na rozkaz N. Pana, że mu w gardle zupełnie zaschło. Odczepił swój klucz szambelański i ośmielił się prosić, czyby N. Pan uwzględniając wiek jego i stargane siły, nie dozwolił mu dla wzmocnienia napić się wina... Król klasnął w ręce i kazał paziowi przynieść butelkę.

Fröhlich tymczasem oczyszczał nieco zaśniedziały klucz, z którego miał pić i opowiadał jak ten dar wysoko cenił, a jak go teraz mało używał. Paż stał z butelką gotów nalewać, gdy Fröhlich, zajrzawszy na dno, z przerażeniem ujrzał w niem coś siedzącego głęboko.

— Któżby się był spodziewał! — zawołał — ptacy sobie w niem gniazdo usłały... W istocie z klucza wyleciał kanarek. Król się rozśmiał, ale na tém nie było końca. W kluczu coś było jeszcze, Fröhlich z wielkimi krygi począł wydobywać wstążki. Różnobarwnego tego towaru wyciągnął ogromną kupę: sześć chustek od nosa, stoczek, garść orzechów. Jak się to wszystko tam mieścić mogło, było tajemnicą Fröhlicha.

Oświadczył potem, że nie będąc pewien czy w tym zaczarowanym kluczu jeszcze się co nie mieści, bodaj księżniczka zaklęta, woli dla bezpieczeństwa za zdrowie pana napić się z prostego kieliszka. Po odbytej ceremonii, paż odszedł do przedpokoju, a Fröhlich zaczął króla śmieszyć, przedrzeźniając aktorów na scenie.

Trwało to wszystko z pół godziny. Król się śmiał bo musiał, ale tylko oko Fröhlicha postrzegło że był niespokojny, poruszony i roztargniony.

Nie wiedział czemu to miał przypisać, gdy z nadzwyczajnym zdumieniem ujrzał króla idącego ku najdalszemu od wszystkich drzwi oknu i dającego mu rękami znaki, aby się zbliżył.

Było w tém coś tak tajemniczego i niezwykłego, że Fröhlich prawie się przeląkł. Na palcach jednak pospieszył i znalazł się u okna, przy którym król stał jakby przestraszony i niepewny, oglądając się niespokojnie dokoła.

Rozwiązania tej zagadki zdumiony trefniś, napróżno szukał w głowie.

— Słuchaj Fröhlich — rzekł król, zaledwie dosłyszalnym głosem — hm! śmieję się głośno, głośno! ale słuchaj co powiem: rozumiesz...

Trefniś nie rozumiał jeszcze nic, ale głową skinął i śmiać się zaczął tak, że śmiechem mógł najhucniejszą zagłuszyć rozmowę...

Król wziął go ręką za ucho i przyciągnął je prawie do ust.

— Fröhlich wierny, poczciwy, nie zdradzi — rzekł. Dziś tajemnie do Uebigau, rozumiesz! powiedzić mu, rozumiesz! niech zaraz ucieka do Polski.

Fröhlich zrazu szmer tylko i wyrazy słyszał, nie mógł pojąć ażeby król go za tajemnego posła chciał użyć. Na myśl mu jeszcze nie przyszedł Sułkowski. Rękami i miną zrobił znak zapytania.

Król pochylił się mu do samego ucha i rzucił w nie jedno słowo:

— Sułkowski!

Powiedziawszy je, jakby się sam zląkł tego zakazanego na dworze nazwiska, odskoczył na kilka kroków. Fröhlich'owi śmiech zamarł na ustach. Bał się, że może nie dobrze zrozumiał.

Twarz jego wyrażała znacząco tę niepewność, bo król nakazawszy mu znowu śmiać się, powtórzył dobitnie rozkaz.

Wyrazy z ust jego dobywały się urywane: pospiesznie, krótko, bez związku; trefniś jednak w końcu wiedział, iż król kazał mu oznajmić o niebezpieczeństwie i ostrzedz hrabiego, aby do Polski uciekał.

Dla niepoznaki słuchał jeszcze chwilę August konceptów, potem dobył z kieszeni garść dukatów i wsypał je Fröhlichowi do kamizeli.

— Idź! — rzekł.

Fröhlich przypuszczony do ucałowania ręki, natychmiast się wyniósł. W przedpokoju pochwaliwszy się dukatami, nie dał się paziom powstrzymać i co prędzej pobiegł do domu.

Nie mieściło mu się w głowie to, co się z nim stało. Potrzebował zebrać myśli, opamiętać się, naradzić z sobą, jak miał spełnić dziwny rozkaz króla, który bał się własnego otoczenia i trefnisia za powiernika użyć musiał. Zamyślił się, westchnął...

Zadanie było trudne. Mniej nawet oswojony z życiem dworu i losem faworytów, mógł się domyślić łatwo, iż koło Uebigau pełno szpiegów być musiało, a w samym pałacu nawet nie zbywało na nich.

Fröhlich był znaną wszystkim figurą. Szczęściem częste za Augustów maskarady nauczyły się przebierać i do niepoznania twarz i postawę przeinaczać. Fröhlich zamknął się w swojej izdebce i nie tracąc czasu przystąpił do wyboru peruki i sukni.

Były to pierwsze dni lutego, Elba stała w pędzie od Czech począwszy, a lód był jak mur. Zdało się więc Fröhlichowi, że przystęp do pałacu od strony rzeki mógł jeszcze być najbezpieczniejszym i najmniej strzeżonym. Zbyt było późno i niebardzo bezpiecznie iść pieszo za miasto, ale saneczek do Briesnitz łatwo mógł dostać. Przyrzekłszy dobrą zapłatę, puścił się w drogę. Gospoda wiejska pełna była gwaru zapustnego, bo tu ze stolicy najgorsze, ale najweselsze gromadziło się towarzystwo. Woźnicy kazawszy czekać, stary drugimi drzwiami wyszedł i pieszo puścił się ku Elbie.

Czuł, że chyba szczęśliwy traf jaki może mu niebezpieczne poselstwo ułatwić; zresztą myśl ta, że go król posłał, dodawała odwagi. Wahał się długo, w końcu do otwartej furtki wbiegłszy, na podwórze pałacu, wprost się puścił do sieni.

Tu znalazł pustki i ciemność. Sułkowski za najświetniejszych swoich czasów nigdy dworu nie trzymał wielkiego, teraz go jeszcze zmniejszył... Wschody stały ciemne. Dopiero wdrapawszy się na nie, usłyszał głosy ludzkie. W przedpokoju służba klóciła się, grając w karty.

Na widok dziwnie ubranego człowieka zjawiającego się o téj godzinie, skoczyli wszyscy przestraszeni, zadając pytania.

Fröhlich oznajmił im, że ma dwa słowa do powiedzenia hrabiemu i to jak najspieszniej. Kamerdyner najprzód go obrewidował i przetrząsł kieszenie, bojąc się czy nie miał broni i niezamierzał jakiej napaści, a dopiero potem pobiął do hrabiego.

W pałacu zrobił się rozruch: peruka i ubranie, chusta, którą miał przewiązaną brodę nie dały poznać Fröhlicha. Wprowadzono go do sali, do której dopiero teraz światło wniesiono. Sułkowski był nie ubrany, blady, ale spokojny i tak dumny, jak gdyby ministrem być nie przestał.

Gość zażądał oddalenia służącego. Wszystko to obudzało podejrzenia jakieś i obawy, lecz hrabia nie okazał trwogi. Gdy pozostali sam na sam, Fröhlich odsłonił twarz.

— Przed dwoma godzinami — rzekł — byłem zawołany do króla: powtórzę wam jego własne wyrazy.

„Dziś, tajemnie, do Uebigau... powiedzieć mu: niech zaraz ucieka do Polski.”

Sułkowski słuchał z niedowierzaniem.

— Król ci to mówił?

— Król, i z taką obawą, aby kto nie podsłuchał, jak gdyby był nie królem, ale niewolnikiem.

— Jest nim i na wieki zostanie — westchnął Sułkowski.

Zamyślił się hrabia.

— Bóg zapłać — odparł po przestanku krótkim — zażyłeś biedy dla mnie, a raczój dla króla. Czém ci mogę odwdziżyć?

— Tém jedném, abys hrabia spełnił wolę króla jeszcze dzisiejszej nocy.

Sklonił się. Hrabia stał zamyślony, jak przykuty do miejsca.

Za Fröhlich'em zamykały się drzwi i stary bił się już po śniegu do swoich sanek, a Sułkowski stał oparty o stół, niedobrze wiedząc co ma począć.

Znał już dosyć Brühla, ażeby wiedzieć, że z rady należało korzystać.

Nazajutrz król powracał ze mszy rannéj, gdy mu O. Guarini zaszedł drogę dopytując o zdrowie. Na to zwykle N. Pan odpowiadał czémś takiém, co pośredniczyło między chrząknięciem, uśmiechem a czkawką. Twarz zresztą dostojnego pana najlepsze dawała świadectwo, iż chorym być nie mógł. Odziedziczył w części siłę i zdrowie po ojcu, a że ich mniej nadużywał, służyły mu wybornie.

O. Guarini razem z innemi prowadził N. Pana na pokoje.

Król kilka razy spojrział nań badawczo, jakby chciał się czegoś dowiedzieć z twarzy, wreszcie rzekł lakonicznie:

— Mróz...

— Ja to najlepiej czuję, bom Włoch — rzekł Guarini — ale choć tak zimno N. Panie — szepnął cicho — są ludzie co się nie lękają podróży. Pewien hrabia, którego imienia nie chcę wymówić, bo miał nieszczęście popaść w niełaskę... wybrał się, słyszę, nocą, nie wiadomo dokąd...

Król jakby nie słyszał, nie odpowiedział nic.

Na pokojach oczekiwał Brühl z papierami, ale zmieszany i kwaśny.

August zbliżył się do niego szybko.

— Brühl! te papiery co wczoraj, skończyć trzeba.

— Już wszystko skończone — odparł minister z westchnieniem.

— Hm! co? — spytał August, udając zdziwionego.

— Winowajcy już niema Najj. Panie, musiał się czuć do grzechu: nocą uciekł do Polski.

Król ręką w stół uderzył i okazał twarz zdumioną bardzo.

— Jestem pewny zdrady — dodał minister, niespokojnie się kręcąc. Znać że na dworze ma jeszcze zwolenników i przyjaciół; lecz prędzej, później wszystko się odkryje.

Zamiast odpowiedzi, August stojącą ogromną tabakierę porcelanową otworzył i podsunął ją ministrowi nic nie mówiąc.

Brühl z ukłonem, dotknął końcami palców tabaki.

— Polować się będzie koło Taubenheim — odezwał się król — niech zaraz ekwipaże przysposabiają.

I poszedł do okna.

XII

Brühl zwyciężył, nie miał jednak tój pociechy ażeby nieprzyjaciela się pozbył na zawsze; musiał przez długie lata lękać się zawsze odwetu, o który wszakże Sułkowski się nie pokusił. Objąwszy dobra po królu Leszczyńskim w Polsce, mając na Szlązku znaczne majątności, dorobiwszy się u dworu wiedeńskiego tytułu księcia, bawił najwięcej w Wiedniu i nie próbował przypominać się Augustowi, nad którym Brühl od tój chwili rozciągnął jak najtroskliwszą opiekę.

Opowiadanie nasze jest wstępem do życia Brühla, który aż do śmierci Augusta III władał Saxonią i Polską; potrafił się przerobić na polskiego szlachcica i odegrał wedle słów własnych, jedną z najciekawszych ról ulubieńca, któremu szczęście służyło do zgonu. Szkodaby było ten ciekawy dramat psuć opowiadaniem jego treści. Brühl jest postacią historyczną, zarazem i typem swéj epoki nadzwyczaj wybitnym: w Brühlu maluje się cały August III, jak w zwierciadle.

Moglibyśmy zakończyć ten epizod, nie dodając doń nic więcej, gdyby nam tradycja nie pozostawiła jednej ciekawéj sceny, która do naszego opowiadania jako epilog należy.

W r. 1756 w czasie wojny z Prusami, gdy Brühl na szczycie swéj potęgi, zostawując w szponach zwycięzcy całe mienie, pałace, galeryę, bibliotekę, zbiory, uchodzić musiał do Polski wraz z Augustem późną już jesienią; dworskie ekwipaże z powodu złéj drogi na Szlązku i niedostatku koni, na kilka taborów rozbite zostały. Król znajdował się w najpierwszym z nich, minister jego wypadkiem znalazł się w ostatnim. Obawę miał wielką, aby się nie dostał w ręce króla pruskiego, który go nienawdził. Pragnął więc koniecznie doścignąć króla i przy nim bezpieczniejszym się czując, dalszą podróż odbywać.

Wszystko się jednak jak najniebezpieczniej składało: padały konie, łamały się koła i pośpiech stawał się niemożliwym. Jesienne deszcze popsuły drogi tak, że dwa razy większa

nad zwykłą ilość koni nie starczyła do powozów. Minister rad nie rad musiał zcierpieć co mu było przeznaczonem i uledeł losowi swemu. Jechał pod wrażeniem wypadków, o jakich już był uwiadomiony, milionowe i niczém nie nagrodzone poniósłszy straty, jako wygnaniec wraz z królem chroniąc się do Polski, w której absolutne rozporządzenie się nie było możliwem jak w Saxonii. Zręczność Brühla i tu na wiele niedogodności umiała znaleźć lekarstwo, lecz szło trudniej i mozolnie. Nie dziw też, iż dawny losu ulubieniec chmurny był, przelękły niemal i zniecierpliwiony. W krótkim przeciągu czasu piękna twarz jego nad miarę postarzała. Miał chwile roztargnienia, w których nie dobrze rozumiał co doń mówiono.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie wlokły, gdy jedno z małych szlązkich miasteczek pokazało się z za szarej opony dżdżystej, z wieżyczką kościoła i oświetconymi domami. Brühl spodziewał się tu znaleźć króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile dalej nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwej słoty na nocleg w mieście pozostać. Chciał Brühl słać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próżnem: do rana koni dostać się nikt za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospody w miasteczku, które tylko jedną miała. Dostyc liczna służba towarzysząca, już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi, rozbiegła się szukać stosownego mieszkania.

W gospodzie *pod Koniem*, zajęte było wszystko. Podróżny dwór polskiego pana rozściierał się w niej szeroko.

Ministrowi zdawało się że dostyc będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni poza izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkiem i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekscellencyi pobiegł *pod Konia*, gdzie znalazł dostyc szumny dwór i dostyc pańsko wyglądającego kogoś tytułowanego księżciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczej, ustąpienia części gospody dla jego ekscellencyi.

Usłyszawszy nazwisko książe ów dziwnie się skrzywił, zamyślił i odparł niemcowi bardzo dobrą niemczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętej nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Deszcz z wichrem bił tymczasem w okna karety tak skutecznie, iż we wnętrzu jęj mokro było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl nie zastanawiając się dłużej nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajeżdżać *pod Konia*.

Spodziewał się że tu ktoś wyjdzie przeciwko niemu, ale się omylił: nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był w razie gdy go lekceważono, podwajać grzeczności, uprzejmości i nadskakiwania; wysiadł więc z mocnem postanowieniem zawstydzienia swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi: minister wbiegł do obszernej izby, w której ogień się palił na kominie i dwie świece na stole i szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale nie zmieszanego tém niespodziewanem spotkaniem, nieco tylko postarzałego, ale dumniejszego jeszcze niż kiedykolwiek był — Sulkowskiego.

Książę stał milczący, z góry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem: obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl po pierwszym rzucie oka zbladł przerażony i chciał się cofnąć nazad, zdawało mu się że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru twarz się tak dziwnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sulkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Przyszedł mu znać na myśl i Pater Guarini i jego włoskie przysłowia i język tak na dworze używany, bo począł od włoskiego:

— *Si riscontrano gli nomini, e non le montagne.*

Brühl stał osłupiały: widocznem było, że nie chce i nie może pozostać.

— Musiałeś pan słyszeć bajkę — rzekł Sulkowski — o burzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... coś podobnego jest z nami. Przecież w taką słotę i pluchę nawet nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się napół ku drzewom.

— Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nadużywać nie będę, by się znęcać nad nim — dodał Sulkowski. Prawdziwie zabawna rzecz takie spotkanie dla mnie i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu, losu ręka mnie pomściła.

— Mości książę! — przerwał Brühl jak najłagodniej.

— Mości hrabio — odparł Sułkowski — gdyby to od waćpana było zależało, zamiast księztwa miałbym dziś wygodną kwatery w Koenigsteinie.

— Mości książę — wtrącił Brühl — przypisujesz mi większą władzę niż miałem... Upadek swój winienes położyć najprzód na karb własnej nieopatrzności, potem słusznego czy nie gniewu królowej imości, naostatek woli N. Pana, której ja byłem tylko wykonawcą.

— Mości hrabio! — rzekł Sułkowski — należy wcale odwrotnie powiedzieć, tak jak historia kiedyś zapisze, że N. Pan był i jest wykonawcą jego fantazyi...

— Książę się mylisz...

— Hrabia nie możesz mnie przecie sądzić tak ograniczonym — dokończył Sułkowski — abym znając lepiej od innych charaktery i położenie, dał sobie wmówić niewinność pańską!

— Boga biorę na świadka! — zawołał, składając ręce Brühl.

— To najwygodniej — odparł Sułkowski — bo świadek ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, aby dla nich zstępował na ziemię. Najlepszym świadectwem Bożem jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszjej polityki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zżymnął.

— To nie koniec, to początek! — rzekł — zobaczymy jak na tém wyjdą najezdniczy, a jak my.

— Tak, król i pan na Ocieszynie jedziecie drugie uszczęśliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu co Saksonię! — rozsmiał się Sułkowski.

— W zarządzie Saksonii — kłaniając się rzekł Brühl — nie potrzebowałem żadnych inowacyi, dosyć mi było wstępować w ślady mojego znakomitego poprzednika.

Sułkowskiemu oczy błysnęły.

— Poprzednik pański inaczej układał przyszłość Saksonii — rzekł Sułkowski dumnie — dowodem ten plan, który podchwyciwszy mu wydałeś pan dworowi austriackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zżymnął się.

— Ja? ja o tém nie wiem nic — przebąknął ponuro zmieszany... Jeśli kto się tego dopuścił...

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł zdala po pokoju, unikając zbliżenia do Brühla.

— Słuchaj Brühl, mówię po staremu i bez tytułu — rzekł zwracając się — nie graj komedyi przynajmniej ze mną: to się na nic nie zdało. Tak samo jak ze mną nie odegrasz jój w obliczu historii, której okłamać niepodobna. Zamkniesz usta Erellom i Justim, zakażesz pisać, mówić, myśleć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą. Możesz sobie kupić bezkarną terażniejszość, ale nie jest w niczyjej mocy uczynić cię czystym przed historią. Staniesz przed nią jak na sąd Boży nagim, odartym z maski, różu i bielidla, a uniknąwszy pęgierza za życia, nie ujdiesz go po śmierci.

— Moje życie całe jest jawnym! — zawołał Brühl unosząc się — tajemnic nie mam: pragnę tego sądu mości książę.

— A gdybyś go nie chciał, czy chciał mości hrabio, nie unikniesz; to darmo... będzie nieubłaganym i okrutnym.

— Poddaję się mu — przerwał Brühl — nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś mości książę, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie dało się to samo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce wcisnęło.

— Jak się to szczęście nazywa? — śmiejąc się zawołał Sułkowski — Padre Guarini, czy...

Brühl się zarumienił, książę ramionami ruszył.

— Na honor hrabio, ja zdala admiruję was... Nie mówcie mi że jaby to samo co wy na waszém miejscu mógł uczynić! Ja wyznaję w pokorze nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakieście dokonali przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonii, znałem Augusta III, pana naszego, szlachetną ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energią jój dopomagać. To co mam winienem wspaniałomyślności pana mego a nie przewrotnym rachunkom.

— Mości książę — przerwał Brühl — tego już nadto.

Sułkowski się zwrócił ku niemu ruszając ramionami.

— Przecież my oba jak Augurowie rzymscy możemy się z téj komedyi za kulisami śmiać nie kryjąc przed sobą!! Możecie być dla drugich niewinnym Efraimem... Ale dla mnie będziecie starym dobrze znanym Brühlem, któregom widział w paziowskim mundurze kłaniającego się lokajom....

Ministra twarz bladła i czerwieniała naprzemiany, niecierpliwość go porywała, widać było że chwilami chciał wyjść, to znowu jakby nierozpaczając jeszcze o tém że się potrafi zbliżyć i wytłumaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w towarzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszonność, sofizmat zawsze gotowy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego ociążałość, sądził, iż go pokona w końcu. Tu jednak rachuba chybiła, Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Napróżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl w końcu odezwał się cedząc pocichu wyrazy:

— W. Książęca Mość winienbyś choć dlatego być nieco względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

— Tak, ale w Polsce panie Brühlu, są pewne prawa, które więcej znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczej się Brühl mnie niż ja jego obawiać może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja też niedawno ze szlachcica urósł na austriackiego księcia.

— Zaszczyt szlachectwa polskiego i ja z W. Ks. Mością mam wspólny — przerwał Brühl.

— A! przedziwna farsa! — rozśmiał się Sułkowski. — Jestże w kraju całym jeden człowiek coby nie wiedział jakieście z turyngskiego do polskiego szlachectwa przyszli. To wasze szlachectwo jest jak wszystkie wasze czyny okłamaniem prawdy.

— Mości książę, jeśli życzysz sobie bym opuścił izbę — rzekł Brühl zabierając się do wyjścia.

— Wcale nie, bo mnie ta scena bawi — odparł książę — ale powtarzam panu, my z sobą komedyi grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący, wpośród ciszy słycać tylko było deszcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą przykuwającą go do téj jedynej wolnej izby, którą z nieprzyjacielem podzielać musiał. Minister namyślać się zdawał.

— Mości książę — odezwał się — mówmy jak starzy towarzysze...

— Fatalne przypomnienie! — mruknął Sułkowski.

— Na dowód że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przedznać. Brzemie tych urzędów, które dźwigam, w istocie dla mnie zaciężkie.

— A tak — przerwał Sułkowski — mógłbyś się niemi podzielić, liczymy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższej izby podatkowej, akczyzy generalnej, fundacyi namburgskiej i merseburskiej dyrektor, generalny komisarz portów morza Bałtyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, pólkownik szwoleżerów i regimentu pieszego, fundacyi meissenńskiej kapitularz, proboszcz Budziszynski, kawaler polskiego orderu Orła Białego i rosyjskiego ś. Andrzeja, a nawet pruskiego Orła Czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! śmiał się Sułkowski.

— Bez żartu — przerwał Brühl — jestem znużony, nie jestem zazdrosny; jedź książę do Warszawy, ja go z królem przedznam.

— Tak, aby nazajutrz potem bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednej z fortec saskich — przerwał Sułkowski. — Nie: dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i ztamtąd genialne wasze podziwiać czyny!!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owéj sławnej książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym a w innych świętoszkiem czyniła¹¹ i chętnie odgrywał rolę niewinnéj ofiary.

— A! — zawołał — nie ma pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nademnie przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to co mogłem kiedy dobrego uczynić przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nademną: ci którym życzę dobrze, ścigają mnie.

¹¹książka o modlitwie — *Die wahre und gründliche Gottseligkeit aller Christen iugemein, nebst einer abhandlung vom Gebet.* 1740. Drugie wydanie z r. 1773. [przypis autorski]

— A! kochany hrabio — śmiał się Sułkowski — rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nieprzystała wam. Gracie ją źle.... bracia Morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie jak ja wyśmieją. Dajcie temu pokój: ogrzycie się przy kominie i nie mówmy więcej.

To mówiąc, książę usunął się prawie pod samo okno, znalazłszy fotel w kątku siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce zdale, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpocznieniem. W dziwném tém położeniu, spoglądając niekiedy na siebie przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyjaciela i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc został już zbity z tropu i nie mógł nowej wynaleźć ścieżki, któraby go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny a na podwórzu wzmagał się wicher i niepogoda. W kominie świszczął i wyl jesienny wiatr najdzikszymi głosami, czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jój tonem zgadzało. Niekiedy drzwi otwarte w gospodzie, zatrzaśkiwały się same gwałtownie, tak że ściany domu drgały. Resztki ognia jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły w nią kłęby dymu, to znowu wzmagając się wracały do kamina. Najweselej usposobiony umysł musiałby był uledeć wrażeniu téj nocy, i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał.

Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drzémać obojętny.

— Pozwól mi, książę, słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

— Co za delikatne i drażliwe sumienie! — szepnął Sułkowski.

— Król nasz, dziś urazy zapomniał, przebłagaćby go było łatwo — dodał — ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u W. Książęcój Mości, ale ks. biskup krakowski lub....

— Czy hrabia chciałbyś mi wmówić — odezwał się zagadnięty — że król kiedykolwiek zażalonym był na mnie?? Nie ludź się pan tém, byłem i jestem świadomym wszystkiego co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody iż królowi narzuciliście gwałtem moją niełaskę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

— Ja? ja? przeczę temu i protestuję — zawołał Brühl.

— Brühl! — krzyknął Sułkowski — za kogo mnie masz, bym ci przypisywał robotę własnoręczną, tam gdzie mogłeś ją cudzemi wykonać rękami? Nadto jesteś doskonałym artystą, abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać.

Brühl ruszył ramionami.

— Nic łatwiejszego nad potwarz! — rzekł z westchnieniem.

— A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę — dodał Sułkowski. Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie; przekonałbyś się że znam moję sprawę do gruntu.

— Tak — przerwał żywo Brühl — lecz jeśli w istocie znasz do gruntu sprawę, toś książę i to wiedzieć powinien....

Tu się zaciął nieco.

— Że ja także jestem w rękach: ludzi, sił, nazwij to jak chcesz, których narzędziem być muszę.

— Powiedz hrabio, że chcesz być ich narzędziem — rzekł Sułkowski — i właśnie żem ja nie mógł i nie chciał być niczyjém, zostałem strącony. Do téj roli jam stworzony nie był, a waćpan odegrywasz ją jak prawdziwy wirtuoz.

I począł się śmiać cicho.

— Ale książę kochałeś króla — rzekł minister rzucając się w inną stronę — nie miłozby było zbliżyć się do niego.

— O! pewnie gdybyście przez lat czternaście pracując nad tą łagodną i flegmatyczną naturą nie uczynili z niej lalki wam posłusznej, nałogowo do spokoju nawykłej i nieumie-

jącej kochać nikogo, a bawiącej się wszystkiem — westchnął Sułkowski. Patrząc dziś na tę ruinę człowieka, nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszej.

Zamilkli znowu — Brühl dodał jeszcze:

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zabliznić do reszty ranę, i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z méj strony wszystko co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi Bożemu.

— Bóg i Brühl, jak to brzmi! — rozśmiał się Sułkowski. — Naprawdę pozazdrościłeś sławy Zinzendorfowi. W dziwném usposobieniu spotkałem w. ekscelencyą; między luteranizmem saskim, a katolicyzmem polskim. Widać, że te dwa wyznania zeszyły się na granicy i zdublowały, a ztąd taka pobożność!

— Jestem katolikiem — odezwał się Brühl.

— Wiem, w Polsce — odparł Sułkowski — *ratio status*.

Brühl zamilkł.

— A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was pocziwy Guarini tak proteguje.

Mówiąc splunął Sułkowski, pochylił się i przyległ niemal do szyby ciemnej, chcąc wyjrzyć na podwórze.

Potém słowa niemówiąc, wziął futrzaną czapkę i zostawując Brühla samego, wyszedł z izby do sieni. Wiatr wyl ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to nie wchodząc już do izby, książkę kazał kamerdynerowi zaprzęgać.

Służący chciał protestować.

— Do pierwszej lepszej wsi, gospody, chaty, byle ztąd precz — zawołał. — A prędko!!

I nie wszedł już do gościnnej w której Brühla pozostawił; wołał się zimną, a gdy nareszcie po dość długim oczekiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliwym i pytającemu słudze odparł:

— Dokąd chcesz: wszystko jedno.

Przez oświecone z wnętrza okno gospody widać było cień czyjs, jakby usiłujący dojrzyć w ciemności co się przed domem działo. Powóz Sułkowskiego ruszył, i głowa w oknie znikła.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bruhl-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Brühl. Opowiadanie historyczne, tom II, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0412-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).